

Odlamki kosmosu

Tytuł oryginału *Shards of Space*

Przełożyli Grażyna Grygiel Piotr Staniewski

Ale co to wszystko znaczyło? Dlaczego składali statek w takim pośpiechu? Dlaczego umieścili w nim właśnie jego — tylko jego — i wystrzelili? I ta cała niezwykle ważna misja — jeśli była tak istotna, dlaczego jej staranniej nie zabezpieczyli?

Może wybuchła jakaś epidemia. Był jedyną nie zarażoną osobą. Zbudowali statek i wystrzelili go w przestrzeń. Misja? Skontaktować się z inną planetą, znaleźć antidotum, sprowadzić je.

Śmieszne. Spojrzał znów na konsolę i nacisnął guzik „Widok z tyłu”.

I prawie zemdlął.

Jaskrawe, oślepiające światło wypełniało cały ekran, paląc oczy. Pośpiesznie zmniejszał skalę do momentu, gdy obraz na ekranie zmienił się na tyle, że Ran był w stanie zorientować się, co to jest.

Nova. A list wspominał moment błysku.

Wiedział, że Novą było Słońce. I że Ziemia została pochłonięta.

Superdrink poszukiwaczy

Piaskochód sunął gładko po falistych wydmach. Sześć grubych kół podnosiło się i opadało niczym ciężkie zadki idących parami słoń. Skryte za chmurami słońce biło z trupiobladego nieba, oblewając żarem płócienny dach pojazdu. Również spalone piaski wokół zionęły odbitym ciepłem.

— Nie śpij — powiedział sobie Morrison, naprowadzając pojazd z powrotem na wyznaczony kompasem kurs.

To już dwudziesty pierwszy dzień na wenusjańskiej Pustyni Skorpionów, dwudziesty pierwszy dzień walki ze snem, gdy piaskochód kołysał się na wydmach, sunąc powoli przez małe garbate fale. Nocą podróżowałyby się wprawdzie łatwiej, ale należało unikać licznych parowów o stromych ścianach i omijać częste głązy wielkości domu. Teraz rozumiał, dlaczego ludzie udawali się na pustynię zespołami: jeden prowadził, a drugi potrząsał nim, by towarzysz nie zasnął.

— W pojedynkę jest jednak lepiej — zapewniał siebie głośno Morrison. — Wystarczy dwa razy mniej zapasów. I nie ma przypadkowych morderstw.

Głowa zaczynała mu opadać. Wyprostował się gwałtownie. Przed nim roziskrzony krajobraz tańczył w polaryzującej szybie przedniej. Piaskochód przechylał się i kołysał ze zdradziecką łagodnością. Morrison potarł oczy i włączył radio.

Był to silnie zbudowany opalony długonogi mężczyzna o krótkich czarnych włosach i szarych oczach. Przybył na Wenus z zaliczką dwudziestu tysięcy dolarów, by szukać szczęścia na Pustyni Skorpionów, tak jak czyniło to już wielu przed nim. Ekwipunek nabył w Presto, ostatnim mieście na skraju pustkowia, i wydał wszystko na pojazd i sprzęt. Zostało mu jedynie dziesięć dolarów.

W Presto suma ta wystarczyła dokładnie na drinka w jedynej w mieście knajpie. Morrison zamówił więc żytniówkę z wodą, pił ją z górnikami i poszukiwaczami i śmiał się z opowieści weteranów o stadach wilków piaskowych i o eskadrach żarłocznych ptaków, które mieszkały w głębi pustyni. Wiedział wszystko o ślepotcie słonecznej, udarach cieplnych i awariach telefonów. Był przekonany, że jemu nic takiego się nie przydarzy.

Ale teraz, po dwudziestu jeden dniach i trzech tysiącach kilometrów nauczył się szacunku dla tej bezwodnej pustyni z kamienia i piasku, o powierzchni trzy razy większej od Sahary. Naprawdę można tu było umrzeć!

Ale można było również zostać bogaczem i właśnie to planował Morrison.

Radio brzęczało. Gdy nastawił je na cały regulator, słyszał bardzo słaby szmer muzyki tanecznej z Venusborgu. Potem dźwięki te ucichły i pozostał tylko szum.

Morrison wyłączył radio i chwycił mocno kierownicę. Spojrzał na zegarek. Kwadrans po

dziwiątą rano. O wpół do jedenastej przerwie jazdę i trochę się prześpi. Człowiek musi odpoczywać w tym upale. Ale tylko półgodzinna drzemka. Skarb leżał gdzieś przed nim, a on chciał go znaleźć, zanim poziom zapasów drastycznie spadnie.

Drogocenne, wychodzące na powierzchnię żyły złotyty muszą leżeć przed nim! Już od wielu dni spotykał ślady tego minerału. Może natknie się na prawdziwą bonanzę, tak jak Kirk w osiemdziesiątym dziewiątym lub Edmonton i Arsler w dziewięćdziesiątym trzecim. Jeśli tak się stanie, zrobi to co tamci. Zamówi Superdrinka Poszukiwaczy i niech diabli wezmą koszty.

Piaskochód sunął naprzód ze stałą prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i Morrison próbował się skupić na wypalonym żółtobrazowym krajobrazie. Tamta odległa, brunatna plama piaskowca przypominała kolorem włosy Janie.

Kiedy stanie się bogaty, pobiorą się z Janie, a on powróci na Ziemię i nabędzie farmę oceaniczną. Wystarczy jedno bogate znalezisko — wtedy kupi sobie przestwór głębokiego, niebieskiego Atlantyku i koniec z poszukiwaniem skarbów. Może niektórzy ludzie sądzą, że hodowla ryb jest nudna; dla niego będzie ciekawa.

Wyobrażał to sobie teraz. Płyną stada makreli, pasą się w planktonowych zagrodach, a on ze swym wiernym delfinem wypatrują srebrnego błysku drapieżnej barakudy albo stalowoszarego rekina, skradającego się za rozgałęzionym korałem...

Morrison poczuł, że piaskochód się przechylił. Rozbudzony złapał kierownicę i mocno nią skręcił. W czasie gdy sobie przysnął, wóz przepelzył za kruszącą się grań wydmy. Piasek i kamyki wyskakiwały spod grubych opon, gdy piaskochód usiłował znaleźć oparcie na podłożu. Pojazd niebezpiecznie się przechylił. Opony zapisały na piasku, odzyskały przyczepność i zaczęły wciągać pojazd z powrotem na zbocze.

Nagle cały stok wydmy runął.

Wóz przewrócił się i potoczył po zboczu. Morrison pluł piaskiem wypełniającym mu usta i oczy, a pojazd obracał się i obracał, opadając w pustkę.

Przez sekundy Morrison wisiał w powietrzu. Wóz wylądował dokładnie na kołach. Pękły dwie tylne opony i Morrison usłyszał podwójny huk. A potem uderzył głową w przednią szybę.

Kiedy odzyskał przytomność, popatrzył przede wszystkim na zegarek. 10:35.

— Czas na drzemkę — rzekł do siebie — ale chyba najpierw zbadam sytuację.

Przekonał się, że jest na dnie płytkiego uskoku zasłanego kamykami o ostrych jak noże krawędziach. Dwie opony eksplodowały przy uderzeniu, przednią szybę diabli wzięli, pękły jedne drzwi. Ekwipunek leżał rozrzucony dookoła, ale wydawał się nie naruszony.

— Mogło być gorzej — rzekł Morrison. Schylił się, aby starannie zbadać koła.

— Już jest gorzej — stwierdził.

Dwie pęknięte opony były w strzępach i nie nadawały się do naprawy. Nie dałoby się z nich zrobić nawet dziecięcego balonika. Swoje zapasowe opony wykorzystał dziesięć dni temu, przekraczając Diabelski Ruszt. Poprzednie zużył i wyrzucił. Nie mógł się dalej posuwać bez opon.

Rozpakował telefon. Otarł kurz z jego czarnej plastikowej obudowy, a potem wykręcił Warsztat Ala w Presto. Po chwili na małym ekraniku pojawiła się długa, żałosna, poplamiona smarem twarz mechanika.

— Warsztat Ala. Mówi Eddie.

— Cześć, Eddie. Tu Tom Morrison. Kupiłem od was piaskochód miesiąc temu. Pamięta pan?

— Jasne, że pana pamiętam — rzekł Eddie. — To pan jest tym facetem, który wyruszył samotnie na Szlak Południowozachodni. Jak się sprawuje autobus?

— Doskonale. Wspaniały samochodzik. Dzwonię, gdyż...

— Ale co się stało z pana twarzą? — spytał Eddie.

— Nic takiego — odparł Morrison — Zwaliłem się z wydmy i uszkodziłem dwie opony.

Odwrócił aparat tak, by Eddie mógł zobaczyć opony.

— Nie do naprawienia — stwierdził Eddie.

— Tak myślałem. Zapasowe zużyłem, kiedy przekraczałem Diabelski Ruszt. Niech pan posłucha, Eddie, chciałbym, by mi pan przeprotował parę opon. Mogą być bieżnikowane. Bez nich nie mogę ruszyć wozu.

— Jasne — rzekł Eddie. — Tylko że nie mam żadnych opon bieżnikowanych. Będę musiał przeprotować panu nowe, po pięćset za sztukę. Plus czterysta dolarów opłaty za solidoportację. Razem tysiąc czterysta dolarów, panie Morrison.

— W porządku.

— Dobrze, proszę pana. Jeśli okaże mi pan gotówkę albo czek, który mógłby pan wysłać z pokwitowaniem odbioru, natychmiast się tym zajmę.

— W danym momencie — rzekł Morrison — nie mam przy sobie ani centa.

— A rachunek bankowy?

— Opróżniony do czysta.

— Obligacje? Własność? Cokolwiek, co może pan zamienić na gotówkę?

— Nic prócz tego wozu, który mi sprzedaliście za osiem tysięcy dolarów. Kiedy powrócę,

wyrównam rachunek tym piaskochodem.

— O ile pan powróci. Przykro mi, panie Morrison. Nic nie mogę zrobić.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — spytał Morrison. — Wie pan przecież, że zapłacę za opony.

— A pan zna reguły na Wenus — rzekł Eddie, a na jego smutnej twarzy pojawiły się zmarszczki uporczywości. — Nie ma kredytu! Płać i bierz!

— Nie mogę prowadzić samochodu bez opon — powiedział Morrison. — Czy macie mnie zamiar tu zostawić?

— Kto, do cholery, chce pana tam zostawić? — spytał Eddie. — Takie rzeczy przytrafiają się poszukiwaczom każdego dnia. Wie pan, co musi pan zrobić, panie Morrison. Trzeba wezwać Służby Publiczne i ogłosić się bankrutem. Przekazać to, co zostało z piaskochodu — hodu, sprzęt i wszystko, co znalazł pan po drodze. Wyciągną pana.

— Ja nie zawracam — rzekł Morrison. — Niech pan spojrzy! — Przysunął telefon do ziemi. — Widzi pan ślady, Eddie? Widzi pan te czerwone i fioletowe plamki? Drogocenne minerały są niedaleko!

— Wszyscy poszukiwacze widzą ślady — odparł Eddie. — Ta cholerna pustynia jest pełna śladów.

— Te są bogate — oświadczył Morrison. — Prowadzą prosto do skarbu, to obfite złożenie. Eddie, wiem, że to poważna prośba, ale jeśli mógłby mi pan odpalić ze dwie opony...

— Nie mogę — rzekł Eddie. — Ja tylko tu pracuję. Nie mogę przeprotestować panu żadnych opon, dopóki nie pokaże mi pan najpierw pieniędzy. Gdybym to zrobił, wyrzuciliby mnie z pracy i prawdopodobnie zapudłowali. Zna pan prawo.

— Płać i bierz — powiedział ponuro Morrison.

— Właśnie. Niech pan będzie rozsądny i natychmiast zawróci. Może będzie pan mógł spróbować kiedy indziej.

— Dwanaście lat zbierałem na tę zaliczkę — rzekł Morrison. — Nie wracam.

Wyłączył telefon i próbował skupić myśli. Czy mógł jeszcze zadzwonić do kogoś na Wenus? Tylko do Maxa Krandalla, który skupował szlachetne kamienie. Ale Max nie zdołałby zebrać tysiąca czterystu dolarów w tym swoim nędznym biurze, metr na półtora, obok venusborskiego rynku klejnotami. Max ledwo wykrobywał na własne utrzymanie, a cóż dopiero mówić o wspieraniu zagubionych poszukiwaczy.

— Nie mogę prosić Maxa o pomoc — zdecydował Morrison. — Przynajmniej dopóki nie znajdę złoty. Prawdziwego złoty, a nie jedynie śladów. Jestem zdany na samego siebie.

Otworzył tył wozu i rozpoczął wyładunek ekwipunku, układając go na piasku w stertę. Selekcja powinna być staranna — wszystko, co weźmie, będzie musiał dźwigać na plecach.

Telefon trzeba wziąć, a także lekki sprzęt probierczy. Koncentraty żywnościowe, rewolwer, kompas. I nic prócz wody, tyle wody, ile udźwignie. Resztę gratów musi zostawić.

Nim zapadł zmierzch, Morrison był gotów. Patrzył z żalem na dwadzieścia pozostawionych pojemników z wodą. Na pustyni woda była najcenniejszym dobrem, ustępującym jedynie telefonowi. Ale nic nie można na to poradzić. Napił się do woli, podniósł plecak i ruszył na południowy zachód w głąb pustyni.

Trzy dni wędrował w tym kierunku. Potem, na czwarty dzień, skręcił na południe za coraz bogatszą ziłą. Słońce, wiecznie schowane, lało na niego żarem, a trupioblade niebo wydawało mu się dachem z rozpalonej blachy. Morrison szedł śladem skarbu, a coś szło jego śladem.

Szóstego dnia wyczuł jakiś ruch tuż na skraju swego pola widzenia. Siódmego dnia zobaczył, kto towarzyszy mu z daleka.

Wenusjański wilk, mały, chudy, pokryty żółtym futrem. Z długich szczęk wystawały mu zęby. Był to jeden z niewielu ssaków, które zadomowiły się na Pustyni Skorpionów. Gdy Morrison go obserwował, obok pojawiły się dwa inne wilki piaskowe.

Odpiął kaburę rewolweru. Wilki nie próbowały podejść bliżej. Miały mnóstwo czasu.

Morrison szedł naprzód. Żałował, że nie zabrał strzelby. Ale oznaczałoby to cztery kilogramy więcej, co z kolei oznaczało cztery litry wody mniej.

Kiedy o zmierzchu ósmego dnia rozbijał obóz, usłyszał trzaski. Obrócił się i zlokalizował ich źródło: trzy metry na lewo i nieco w górze. Pojawił się tam mały lejek, maleńka trąba powietrzna jak wir w morzu. Obracał się i wydawał charakterystyczne trzaski solidoportacji.

— Któż mógłby mi coś portować? — zadał sobie pytanie Morrison, gdy wir powoli się rozszerzał.

Solidoportacja z bazowego projektora do adresata w terenie — to podstawowy sposób transportu towarów przez ogromne odległości na Wenus. Można było przeportować każdy przedmiot nieożywiony. Istot żywych portować się nie dawało, gdyż proces powodował pewne nieznaczące, lecz katastrofalne zmiany protoplazmy. Gdy wprowadzono portowanie, kilka osób przekonało się o tym z fatalnym skutkiem.

Morrison czekał. Trąbka powietrzna stała się lejkiem o metrowym przekroju. Z leja wyszedł chromowany robot, trzymając wielki worek.

— Och, to ty — rzekł Morrison.

— Tak, proszę pana — rzekł robot, gdy całkowicie wyłonił się z pola. — Williams Cztery do pańskich usług, Poczta Wenusjańska.

Robot był średniego wzrostu, cienkonogi i płaskostopy. Wyglądał jak humanoid i miał miłe usposobienie. Od dwudziestu trzech lat załatwiał całość wenusjańskich usług pocztowych: sortował, doręczał i archiwizował. Zbudowano go solidnie i przez dwadzieścia trzy lata poczta zawsze dochodziła.

— Proszę, panie Morrison — rzekł Williams 4. — Z przykrością stwierdzam, że poczta odwiedza pustynię tylko dwa razy w miesiącu, ale na szczęście dostarczana jest bezwłocznie. To jest dla pana. I to. Myślę, że jest jeszcze coś. Piaskochód nawalił, co?

— Całkowicie — rzekł Morrison, biorąc swe listy.

Williams 4 grzebał nadal w torbie. Chociaż był niezwykle sprawnym pocztowcem, znano go jako najgorszego plotkarza na trzech planetach.

— Gdzieś mam jeszcze jeden — ciągnął Williams 4. — To bardzo źle, że wóz nawalił. Nie buduje się ich tak, jak za mojej młodości. Niech pan posłucha dobrej rady, młody człowieku. Niech pan zawraca, póki jeszcze pan może.

Morrison potrząsnął głową.

— To głupie, po prostu głupie — rzekł stary robot. — Szkoda, że pan nie ma mojej perspektywy. Zbyt wiele razy natykałem się na was, chłopcy, jak leżeliście na piasku w wysuszonych workach z własnej skóry, a wasze kości ogryzały wilki piaskowe i obrzydliwe czarne ptaszyska. Dwadzieścia trzy lata dostarczałem pocztę do przystojnych młodych ludzi jak pan i każdy z nich myślał, że jest jedyny w swoim rodzaju, inni niż wszyscy.

Komórki oczne robota zamgliły się od wspomnień.

— Ale oni nie są inni niż wszyscy — rzekł Williams 4. — Są wszyscy jednakowi, tak jak roboty z jednej taśmy montażowej... zwłaszcza gdy wilki skończą już z nimi. I wtedy muszę odsyłać listy i rzeczy osobiste do ich ukochanych na Ziemi.

— Wiem o tym — rzekł Morrison. — Ale niektórym się udaje, prawda?

— Naturalnie — rzekł robot. — Widziałem, jak mężczyźni zdobyli jedną, dwie, trzy fortuny. A potem umierali na piaskach chcąc zdobyć czwartą.

— To mnie nie dotyczy — rzekł Morrison. — Ja chcę tylko jedną. A potem mam zamiar kupić sobie podmorską farmę na Ziemi.

Robot wstrząsnął się.

— Mam lęk przed słoną wodą. Ale niech każdy dostaje swoje. Powodzenia, młody człowieku.

Robot starannie obejrzał Morrisona — prawdopodobnie by stwierdzić, jakie rzeczy osobiste ma on przy sobie — a potem wszedł z powrotem w powietrzny wir. Po chwili zniknął. Po następnej chwili zniknął sam wir.

Morrison usiadł, by przeczytać pocztę, list był od jego pośrednika handlowego, Maxa Krandalla. Mówił o kryzysie panującym w Venusborgu. Zawierał aluzję, że Krandall zbankrutuje, jeśli żaden z jego poszukiwaczy nie natrafi na coś naprawdę cennego.

Następny list od Wenusjańskiej Kompanii Telefonicznej zawiadamiał, że Morrison jest winien dwieście dziesięć dolarów i osiem centów za dwumiesięczne usługi telefoniczne. Jeśli natychmiast nie wpłaci tej sumy, jego telefon zostanie wyłączony.

Ostatni list pochodził aż z Ziemi, od Janie. Pełen nowin o kuzynach, ciotkach i wujkach. Opowiadała mu o działkach na Atlantyku, które obejrzała, i o cudownym małym zakątku, jaki znalazła niedaleko Martyniki na Morzu Karaibskim. Błagała go, by dał spokój poszukiwaniu złotyty, jeśli jest to przedsięwzięcie niebezpieczne; że znajdą inny sposób sfinansowania farmy. Przesyłała ucałowania i życzyła wszystkiego najlepszego z okazji nadchodzących urodzin.

— Urodzin? — zdziwił się głośno Morrison. — Zaraz, zaraz, dzisiaj mamy dwudziestego trzeciego lipca. Nie, dwudziestego czwartego, a moje urodziny są pierwszego sierpnia. Dziękuję za pamięć, Janie.

Tej nocy śnił o Ziemi i błękitnych przestworach Oceanu Atlantyckiego. W miarę jednak jak zbliżał się świt, kiedy upał stawał się dotkliwszy, śnił o biegnącej kilometrami żyle złotyty, o szczerzących zęby wilkach piaskowych i o Superdrinku Poszukiwaczy.

Morrison wszedł na dno dawno wyschniętego jeziora. Skąła ustąpiła miejsca piaskowi. Potem znowu pojawiła się skąła — pozgniatana i poskręcana w tysiące ponurych kształtów. Czerwień, żółć i brąz płynęły mu przed oczyma. Na całej pustyni nie było ani jednej plamy zieleni.

Wędrował przez labirynty zwalonych kamieni pustyni wewnętrznej, a wilki sunęły z dala po obu stronach, dotrzymując mu kroku.

Nie zwracał na nie uwagi. Wystarczająco absorbowało go pokonywanie przeszkód w marszu na południe — sterczących skał i pól potłuczonych kamieni.

Jednak jedenastego dnia po porzuceniu piaskochodu ślady złotyty były prawie tak bogate, że można by go wyplukiwać. Wilki wciąż szły trop w trop, a woda prawie się wyczerpała. Jeszcze jeden dzień wędrówki i koniec z nim.

Morrison odpiął telefon i wykręcił numer Służb Publicznych w Venusborgu.

Ekran ukazał poważną, surowo odzianą kobietę o stalowoszarych włosach.

— Służby Publiczne — rzekła. — Czym możemy służyć?

— Cześć — rzekł radośnie Morrison. — Jaką macie pogodę w Venusborgu?

— Upał — poinformowała go kobieta. — A tam u pana?

— Nawet nie zauważyłem — odparł z uśmiechem. — Zbyt jestem zajęty liczeniem swego majątku.

— Znalazł pan złoty? — spytała kobieta. Wyraz jej twarzy złagodniał.

— Jasne, że tak — rzekł Morrison. — Ale niech pani jeszcze o tym nikomu nie opowiada. Wciąż ogradzam moją działkę. Myślę, że przyda mi się napełnienie tego.

Uśmiechając się swobodnie, podniósł pojemniki na wodę. Czasami ten numer przechodził. Czasami, jeśli okazywałaś dosyć pewności siebie, Służby Publiczne wlewały do pełna, nie sprawdzając rachunku bankowego. Oczywiście było to sprzeniewierzenie, ale nie czas na drobiazgi.

— Mam nadzieję, że pana rachunek jest w porządku? — zapytała kobieta.

— Oczywiście — rzekł Morrison, czując, jak sztywnieje mu uśmiech. — Moje nazwisko Tom Morrison. Może pani po prostu sprawdzić...

— Och, nie robię tego osobiście — odparła kobieta. — Niech pan trzyma mocno ten pojemnik. Nalewamy.

Trzymając kanister w obu rękach Morrison patrzył, jak woda, przeporzona siedem tysięcy kilometrów z Venusborgu, pojawia się w postaci wąskiego krystalicznego strumyczka nad otworem pojemnika. Strumyczek wlewał się do środka wydając cudowny, bulgoczący dźwięk. Morrison patrzył i czuł, jak w wyschniętych ustach pojawia mu się ślina.

Potem woda nagle przestała cieknąć.

— Co się stało? — spytał Morrison.

Jego ekran szerniał. Potem pojaśniał znowu, a Morrison ujrzał mężczyznę o wąskiej twarzy. Napis przed nim głosił: Milton P. Reade, Wiceprezes. Księgowość.

— Panie Morrison — powiedział Reade. — Pańskie konto ma debet. Uzyskał pan wodę podając fałszywe fakty. To przestępstwo.

— Mam zamiar zapłacić za wodę — rzekł Morrison.

— Kiedy?

— Natychmiast gdy powrócę do Venusborgu.

— Czym zamierza pan zapłacić? — spytał Reade.

— Złotytem — rzekł Morrison. — Niech pan spojrzysz tu dokoła, panie Reade. Ślady są bogate! Bogatsze, niż były u Kirka! Natrafie na złoża powierzchniowe za dzień...

— Tak myślą wszyscy poszukiwacze — stwierdził Reade. — Każdy poszukiwacz na Wenus jest o dzień drogi od złoża. I wszyscy oczekują kredytu od Służb Publicznych.

— Ale w moim przypadku...

— Służby Publiczne — ciągnął nieubłagane Reade — to nie organizacja filantropijna. Jej statut wyraźnie zabrania udzielania kredytu. Wenus — to rubieże, panie Morrison, dalekie, rozciągnięte rubieże. Każdy wyrób przemysłowy trzeba tu importować obłędnym kosztem z Ziemi. Mamy własną wodę, ale jej znalezienie, oczyszczenie i portowanie jest kosztowne. Nasza kompania, tak jak wszystkie kompanie na Wenus, z konieczności działa z bardzo wąskim marginesem zysku, który natychmiast jest inwestowany w dalszy rozwój. Dlatego właśnie na Wenus nie udziela się kredytu.

— Wiem o tym wszystkim — rzekł Morrison. — Ale mówię panu, potrzebuję tylko dzień czy dwa...

— Absolutnie niemożliwe. Zgodnie z zasadami już teraz powinniśmy odmówić panu pomocy. Czas na zameldowanie o pańskim bankructwie był tydzień temu, kiedy uszkodził pan piaskochód. Człowiek z warsztatu zameldował o tym, tak jak wymagają tego przepisy. Ale pan nie. Mamy całkowite prawo tam pana pozostawić. Czy pan to rozumie?

— Tak, oczywiście — rzekł ze znużeniem Morrison.

— Jednakże kompania zdecydowała naciągnąć przepisy na pańską korzyść. Jeśli natychmiast wyruszy pan w drogę powrotną, będziemy pana zaopatrywać cały czas w wodę.

— Jeszcze nie wracam. Jestem już niemal przy prawdziwej żyłce.

— Musi pan zawrócić. Niech pan będzie rozsądny, Morrison! Jak wyglądalibyśmy teraz, gdyby każdy poszukiwacz błędził po pustyni, a my zaopatrywalibyśmy go w wodę. Byłoby tam dziesięć tysięcy ludzi, a my byśmy zbankrutowali w ciągu roku. Już teraz naciągam przepisy. Niech pan zawróci.

— Nie — rzekł Morrison.

— Niech pan lepiej przemyśli to jeszcze raz. Jeśli nie zawróci pan teraz, Służby Publiczne nie biorą dalszej odpowiedzialności za zaopatrzenie pana w wodę.

Morrison kiwnął głową. Jeśli pójdzie dalej, istnieje niebezpieczeństwo, że umrze na pustyni. Jeśli zawróci, co wtedy? Wyląduje w Venusborgu, bez grosza przy duszy i z długami, szukając pracy w przeludnionym mieście. Będzie spał w miejskim schronisku i jadł zupę dla ubogich razem z innymi poszukiwaczami, którzy zawrócili. W jaki sposób zdoła zebrać na bilet powrotny na Ziemię? Kiedy zobaczy znów Janie?

— Chyba pójdę dalej — rzekł Morrison.

— Wobec tego Służby Publiczne nie biorą na siebie dalszej odpowiedzialności za pana — powtórzył Reade i rozłączył się.

Morrison spakował telefon, pociągnął łyk ze szczupłych zapasów wody i poszedł dalej.

Wilki piaskowe galopowały po obu stronach, podchodząc coraz bliżej. Z góry wytropiła go deltoskrzydła kania. Balansowała dzień i noc na prądach powietrznych, czekając, aż wilki go

załatwią. Potem stadko małych latających skorpionów zobaczyło czekającą kanię. Przepędziły wielkiego ptaka na górę, w warstwę chmur. Latające skorpiony czekały przez dzień. Potem je z kolei przegoniła eskadra czarnych orłów.

Piętnastego dnia po wypadku wozu ślady stały się bardzo bogate. Według wszelkich prawideł powinien był już spacerować po złotycie. Złoty powinien być wszędzie dookoła. Ale Morrison nadal go nie widział.

Usiadł i potrząsnął swym ostatnim kanistrem. Nie usłyszał chlupotu. Odkorkował pojemnik i odwrócił nad ustami. Dwie krople wpadły do spieczonego gardła.

Upłynęło około czterech dni od rozmowy ze Służbami Publicznymi. Musiał jakoś zużyć ostatki wody wczoraj. A może było to przedwczoraj?

Zatkał pusty pojemnik i rozejrzał się po spalonym gorącym krajobrazie. Nagle wyciągnął telefon z opakowania i wykręcił numer Maxa Krandalla w Venusborgu.

Okrągła zmartwiona twarz Krandalla ustaliła się na ekranie.

— Tommy — rzekł Krandall — wyglądasz okropnie.

— Nic mi nie jest. Troszkę wyschłem, ale to wszystko. Max, jestem tuż przy żyłce.

— Na pewno? — zapytał Krandall.

— Sam zobacz — rzekł Morrison, obracając telefonem. — Popatrz na formacje kamieni! Czy widzisz dokoła czerwone i fioletowe znaki?

— Ślady jakieś są — przyznał Krandall z powątpiewaniem.

— Świadczą o bogatym złożu tuż za nimi. Musi tam być! Posłuchaj, Max, wiem, że nie masz pieniędzy, ale poproszę cię o przysługę. Przyślij mi pół litra wody. Tylko pół litra, tak żebym mógł iść przez dzień czy dwa. Możemy obydwaj stać się bogaci za cenę pół litra wody.

— Nie mogę tego zrobić — rzekł smutno Krandall.

— Nie możesz?

— Właśnie. Tommy, posłałbym ci wodę, nawet gdybyś wokół miał tylko granit i piaskowiec. Czy sądzisz, że pozwoliłbym ci umrzeć z pragnienia, gdybym mógł coś na to poradzić? Ale nie mogę nic zrobić. Spójrz!

Krandall obrócił swym telefonem. Morrison zobaczył, że krzesła, stół, biurko, segregator i sejf zniknęły z biura. W pomieszczeniu pozostał tylko telefon.

— Nie wiem dlaczego nie zabrali telefonu — rzekł Krandall. — Zalegam z dwumiesięczną opłatą.

— Ja też — rzekł Morrison.

— Jestem splukany — rzekł Krandall. — Nie mam nawet dziesięciu centów. Nie martwię się o siebie. Mogę zawsze jeść w kuchni dla ubogich. Ale nie mogę przeportować ci wody. Ani tobie, ani Remstaaterowi.

— Jimowi Remstaaterowi?

— Tak. Szedł szlakiem na północy, przez Zapomnianą Rzekę. Jego pojazd zламаł w zeszłym tygodniu oś, a on nie chciał zawrócić. Wczoraj skończyła mu się woda.

— Wyciągnąłbym go z tego, gdybym mógł — rzekł Morrison.

— I on wyciągnąłby ciebie z tego, gdyby mógł — odparł Krandall. — Ale nie możesz i on też nie może. Tommy, masz tylko jedną szansę.

— Jaką?

— Znajdź złotyt. Nie po prostu ślady — znajdź prawdziwe złożo, warte prawdziwych pieniędzy. Potem zadzwoń do mnie. Kiedy naprawdę będziesz miał złotyt, zadzwonię do Wilksa z Tri-Planet Mining i zmuszę go, by dał nam jakąś zaliczkę. Zechce prawdopodobnie pięćdziesiąt procent wartości złoża.

— To czysta grabież!

— Nie, to po prostu wysokie koszty kredytu na Wenus — odrzekł Krandall. — Nie martw się, nadal pozostanie masa pieniędzy. Ale musisz najpierw znaleźć złożo.

— W porządku. Powinno być gdzieś tutaj. Max, którego dziś mamy?

— Trzydziestego pierwszego lipca. Dlaczego pytasz?

— Po prostu byłem ciekaw. Zadzwonię, kiedy coś znajdę.

Morrison rozłączył się, siadł na małym głazie i patrzył tępo w piasek. Trzydziesty pierwszy lipca. Jutro są jego urodziny. Rodzina będzie o nim myśleć. Ciotka Bess w Pasadenie, bliźniaki w Laosie, wuj Ted w Durango. I oczywiście Janie, czekająca w Tampie.

Morrison uświadomił sobie, że jeśli nie znajdzie żyły, jutro mogą być jego ostatnie urodziny.

Wstał, umocował telefon w plecaku obok pustych pojemników na wodę i ruszył na południe.

Nie był sam. Towarzyszyły mu ptaki i zwierzęta pustynne. Nad głową niestrudzenie krążyły ciche, czarne kanie. Wilki piaskowe przypełzły bliżej z obu stron.

Wywaliły czerwone języki, czekając, aż jego ciało runie na ziemię.

— Jeszcze nie umarłem! — krzyknął do nich Morrison.

Wyciągnął rewolwer i wystrzelił do najbliższego wilka. Chybił z odległości pięciu metrów. Przyklęknął, ujął rewolwer mocno w obie dłonie i znowu wypalił. Wilk zaskowitył z bólu. Stado natychmiast rzuciło się na zranione zwierzę, a kanie runęły w dół po swoją część.

Morrison z powrotem wpakował rewolwer do kabury i poszedł dalej. Wiedział, że jego organizm jest silnie odwodniony. Krajobraz skakał i tańczył mu przed oczami, nogi stąpały niepewnie. Pozostawił puste pojemniki, wyrzucił wszystko prócz zestawu do testów, telefonu i rewolweru. Albo wyjdzie z pustyni w wielkim stylu, albo nie wyjdzie z niej wcale.

Ślady wciąż wyglądały obiecująco. Ale nie natrafiał na konkretne bogactwo.

Tego wieczora u stóp sterczącej skały znalazł płytką jaskinię. Wpełzł do środka. Przy wejściu zbudował barykadę z kamieni. Potem wyciągnął rewolwer i oparł się o ścianę jak najdalej od wejścia.

Na zewnątrz wilki piaskowe węszyły i kłapały szczękami. Morrison usadowił się prosto i przygotował na całonocne czuwanie.

Nie spał, ale też nie mógł całkowicie się rozbudzić. Dręczyły go sny i wizje. Był z powrotem na Ziemi .

— To tuńczyk — mówiła do niego Janie. — Coś musi być nie w porządku z ich dietą. Chorują, co do jednego.

— Fatalna sprawa — odpowiedział Morrison. — Natychmiast gdy udomowisz jakąś rybę, zamienia się w primadonnę.

— Masz zamiar tak stać i filozofować, kiedy twoje ryby chorują? — spytała Janie.

— Wezwij weterynarza.

— Już to zrobiłam. Nie było go. Jest u Blake'ów, zajmuje się ich mlecznym delfinem.

— Już dobrze, pójdę i zobaczę. — Nasunął na twarz maskę. — Nie zdążę nawet porządnie wyschnąć, a już muszę znowu wychodzić — rzekł z uśmiechem.

Twarz i pierś miał mokre.

Morrison otworzył oczy. Jego twarz i pierś naprawdę były mokre. Od potu. Kiedy patrzył na częściowo zablokowane wyjście jaskini, widział zielone oczy — dwoje, czworo, sześć, osiem.

Wypalił do nich, ale nie odstępowały. Znowu wystrzelił i kula rykoszetem odbiła się od ścian jaskini, wywołując deszcz kamiennych odłamków. Następnymi strzałami zdołał zranić jednego z wilków. Stado wycofało się.

Strzały opróżniły rewolwer. Morrison przeszukał kieszenie i znalazł pięć dodatkowych naboii. Starannie załadował broń. Świt musiał być już blisko.

I wtedy naszedł go znów sen, tym razem o Superdrinku Poszukiwaczy. Słyszał o nim w każdej małej knajpce na obrzeżach Pustyni Skorpionów. Starzy, obrośnięci poszukiwacze opowiadali o nim mnóstwo historii, a cyniczni barmani dołączali ochoczo swe wersje. Kirk dostał wielkiego w osiemdziesiątym dziewiątym na swoje specjalne zamówienie. Edmonson i Arsler otrzymali go w dziewięćdziesiątym trzecim. To było pewne. I inni ludzie też go dostali, kiedy usiedli na swych drogocennych, złotytowych działkach. Przynajmniej tak opowiadano.

Ale czy było tak naprawdę? Czy istniało takie coś jak Superdrink Poszukiwaczy? Czy w życiu zobaczy to tęczowe cudo, wysokie jak kościelna wieża, szerokie jak dom, cenniejsze niż sam złotyt?

Na pewno tak! Przecież prawie widział je w tej chwili...

Morrison drgnął i rozbudził się. Świtało. Z trudem wypełznął z jaskini, by stawić czoło nadchodzącemu dniu.

Potknął się i powlókł na południe, eskortowany z bliska przez wilki, ocieniany skrzydłami drapieżnych latających stworów. Skrobał po skałach i piachu. Bogate, bogate ślady!

Ale gdzie na tym pustkowiu był sam złotyt?

Gdzie? Prawie już o to nie dbał. Zmuszał do ruchu naprzód swe spalone słońcem, wysuszone ciało. Zatrzymał się jedynie raz, by wystrzelić, kiedy wilki podeszły zbyt blisko.

Pozostały cztery kule.

Musiał znowu strzelić, kiedy niecierpliwe kanie zaatakowały go z góry. Szczęśliwy strzał trafił w stado, strącając dwie kanie. Dało to wilkom powód do walki.

Morrison pełzł na ślepo.

I spadł z krawędzi niewielkiej skały.

Upadek nie był poważny, ale wytrącił mu z ręki rewolwer. Zanim zdołał go znaleźć, wilki zaatakowały. Tylko ich zachłanność uratowała Morrisona. Kiedy walczyły nad nim, odtoczył się i znalazł rewolwer. Dwa strzały rozproszyły stado. W wyniku zajścia została mu tylko jedna kula.

Będzie musiał oszczędzić tę kulę dla siebie, gdyż był zbyt zmęczony, by iść dalej. Opadł na kolana. Ślady były tu bogate. Fantastycznie bogate. Gdzieś obok...

— Coś niesamowitego! — wyszeptał Morrison.

Mały parów, w który wpadł, miał ściany z czystego złotytu.

Morrison podniósł kamyk. Widział wyraźnie głęboki, żarzący się złocisty połysk, ogniste czerwone

i fioletowe plamki głęboko w lśniącym kamieniu.

— Upewnij się — rzekł do siebie. — Żadnych fałszywych alarmów, żadnych wizji, żadnych złudnych nadziei. Upewnij się.

Odłamał kawałek skały kolbą rewolweru. Wciąż wyglądała jak złotyt. Wyjął sprzęt probierczy i wylał na odłamek kilka kropel roztworu. Roztwór zmienił się w zieloną pianę.

— Złoty, jasne jak słońce — rzekł Morrison, rozglądając się po jarzących ścianach skalnych. — Hej, jestem bogaty!

Wyjął telefon. Drżącymi palcami wybrał numer Krandalla.

— Max! — krzyknął Morrison. — Znalazłem to! Znalazłem prawdziwe złoto!

— Nie nazywam się Max — powiedział głos w telefonie.

— Co takiego?

— Nazywam się Boyard — rzekł mężczyzna.

Ekran wideo oczyścił się i Morrison zobaczył chudego mężczyznę o żółtej twarzy z cienkim wąsikiem.

— Przepraszam, panie Boyard. Musiałem nakręcić zły numer. Dzwoniłem...

— To nie ma znaczenia, do kogo pan dzwonił — przerwał mu Boyard. — Jestem Okręgowym Inspektorem Wenusjańskiej Kompanii Telefonicznej. Zalega, pan dwa miesiące z opłatami.

— Mogę zapłacić zaraz — rzekł Morrison z uśmiechem.

— To wspaniale — rzekł Boyard. — Natychmiast gdy pan to zrobi, usługi będą wznowione.

Obraz na ekranie zaczął ciemnieć.

— Niech pan zaczeka! — zawołał Morrison. — Mogę zapłacić natychmiast, gdy dotrę do pańskiego biura. Ale muszę odbyć jedną rozmowę telefoniczną. Tylko jedną rozmowę, tak bym...

— Wykluczone — powiedział zdecydowanie pan Boyard. — Dopiero po tym, kiedy zapłaci pan rachunek, wznowimy usługi.

— Ja mam pieniądze właśnie tutaj! — krzyknął Morrison. — Tutaj, w rękę!

Boyard zawahał się.

— Cóż, to nie jest zwykła praktyka, ale możemy wysłać specjalnego robota gońca, jeśli chce pan pokryć koszty tej operacji.

— Chcę!

— Hm. Tak nie robimy zazwyczaj, ale powiedziałbym, że... gdzie są pieniądze?

— Dokładnie tu — rzekł Morrison. — Rozpoznaje pan to, prawda? To złotyt!

— Mam powyżej uszu wszystkich sztuczek, za których pomocą poszukiwacze usiłują nas naciągnąć. Pokazywanie garści kamyczków. ..

— Ale to naprawdę złotyt. Nie widzi pan tego?

— Jestem biznesmenem — rzekł Boyard — a nie jubilerem. Nie odróżnię złotytu od złocienia.

Ekran zgasł.

Morrison gorączkowo próbował połączyć się z centralą. Nie było nic, nawet ciągłego sygnału. Telefon odłączono.

Odłożył aparat, zastanawiając się nad swym położeniem. Wąska rozpadlina, w którą wpadł, przez jakieś dwadzieścia metrów biegła prosto, potem zakreślała na lewo. W stromych ścianach nie było jaskini ani miejsca, gdzie dałoby się zbudować barykadę.

Usłyszał ruch za plecami. Obrócił się szybko i zobaczył olbrzymiego, starego wilka w pełnym galopie. Bez chwili wahania Morrison wymierzył i wypalił, odstrzelivując bestii czubek czaszki.

— Niech to diabli. Chciałem zachować tę kulę dla siebie.

Dało mu to moment wytchnienia. Pobiegł w dół parowu, wypatrując otworów w ścianach. Złoty jarzył się do niego i błyskał czerwienią i fioletem. A wilki piaskowe pędziły susami tuż za nim.

Potem Morrison stanął. Kręty parów kończył się ścianą.

Oparł się o tę ścianę, trzymając rewolwer za lufę. Wilki stanęły półtora metra od niego, gotowe do ataku. Było ich dziesięć czy dwanaście i w wąskim przejściu tłoczyły się w trzech rzędach. W górze krążyły kanie, czekając swojej kolejki.

W tej samej chwili Morrison usłyszał trzask solidoportacji. Wir zawisł nad głowami wilków, które pośpiesznie się wycofały.

— Akurat w porę! — rzekł Morrison.

— W porę czego? — spytał Williams 4, listonosz.

Robot wygramolił się z wiru i rozejrzał.

— Cóż, młody człowieku — rzekł Williams 4 — w parszywe położenie się wpakowałeś. Czyż cię nie ostrzegałem? Czyż nie radziłem ci, byś zawrócił? A teraz spojrzysz tylko!

— Miałaś całkowitą słuszość — rzekł Morrison. — Co przysłał mi Max Krandall?

— Max Krandall nie mógł nic przysłać i nic nie przysłał.

— Więc dlaczego tu jesteś?

— Ponieważ dziś są pańskie urodziny — odpowiedział Williams 4. — My z Departamentu Poczt zawsze wykonujemy specjalne usługi z okazji urodzin. Ma pan tutaj przesyłkę.

Williams wręczył mu korespondencję, życzenia urodzinowe od Janie, od wujków, ciotek i kuzynów z Ziemi.

— Jest coś jeszcze — rzekł Williams 4, grzebiąc w swej torbie. — Sądzę, że było tam coś jeszcze. Niech zobaczę... tak, tutaj ma pan to.

Wręczył Morrisonowi paczuszkę.

Morrison pośpiesznie rozerwał opakowanie. Był to prezent urodzinowy od ciotki Miny z New Jersey. Otworzył paczkę. Znajdowało się w niej duże pudełko morskich irysów, przysłanych bezpośrednio z Atlantic City.

— Mówiono mi, że to ogromny przysmak — rzekł Williams 4, który zerkał mu przez ramię. — Ale nie bardzo satysfakcjonujący w tych okolicznościach. Najlepsze, czego mogę panu życzyć, to szybkiego i bezbolesnego odejścia.

Robot skierował się ku wirowi.

— Poczekaj! — krzyknął Morrison. — Nie możesz mnie po prostu tak zostawić. Nie miałem od wielu dni w ustach kropli wody. I te wilki...

— Wiem — oznajmił Williams 4. — Czy myśli pan, że to, co widzę, sprawia mi przyjemność. Nawet robot ma jakieś uczucia!

— Więc mi pomóż.

— Nie mogę. Przepisy Departamentu Poczt wyraźnie i kategorycznie tego zabraniają. Pamiętam, jak w dziewięćdziesiątym siódmym Abner Lathe prosił o coś podobnego. Ekspedycja pogrzebowa potrzebowała trzy lata na dotarcie do niego.

— Masz przy sobie telefon awaryjny, prawda? — zapytał Morrison.

— Tak. Ale mogę go używać tylko w wypadku moich osobistych awarii.

— Czy możesz przynajmniej dostarczyć ode mnie list? Ekspres polecony?

— Oczywiście, że mogę — oświadczył robot-listonosz. — Właśnie po to jestem. Mogę nawet panu pożyczyć ołówek i papier.

Morrison wziął ołówek i papier i zaczął myśleć. Jeśli wyśle teraz do Maxa ekspres polecony, Max dostanie go za kilka godzin. Ale jak długo Max potrzebuje, by zebrać trochę pieniędzy i wysłać mu wodę i amunicję? Dzień, dwa? Morrison będzie musiał wymyślić jakiś sposób, by przetrzymać...

— Zakładam, że ma pan znaczek — rzekł robot.

— Nie mam — odparł Morrison. — Ale kupię jeden od ciebie. Na specjalną solidoportację.

— To wspaniale — rzekł robot. — Właśnie wydaliśmy nową serię venusborskich trójkątów. Uważam je za spore osiągnięcie estetyczne. Kosztują po trzy dolary sztuka.

— To doskonale. Bardzo przystępna cena. Chcę jeden.

— Pozostaje tylko kwestia zapłaty.

— Oto ona — rzekł Morrison, wręczając robotowi kawałek złotytu wartego około pięciu tysięcy dolarów w stanie surowym.

Listonosz obejrzał kamień, a potem go oddał.

— Przykro mi, ale mogę przyjąć tylko gotówkę.

— Ale to jest warte więcej niż tysiąc znaczków pocztowych! — krzyknął Morrison. — To złotyt!

— Niewykluczone — zgodził się Williams 4. — Ale we mnie nie wgrano nigdy żadnej wiedzy na temat rozpoznawania minerałów. Również Wenusjańska Służba Pocztaowa nie pracuje w systemie barterowym. Muszę prosić o trzy dolary w banknotach lub monetach.

— Nie mam ich.

— Bardzo mi przykro. — Williams 4 odwrócił się, by odejść.

— Nie możesz po prostu sobie pójść i zostawić mnie, bym umarł.

— Mogę i muszę — smutno stwierdził Williams 4. — Jestem tylko robotem, panie Morrison. Zbudowali mnie ludzie i oczywiście w pewnym stopniu dzielę ich wrażliwość. Tak jak być powinno. Ale posiadam również swoje ograniczenia, które w swej naturze są podobne do ograniczeń, jakie ma większość ludzi na tej surowej planecie. T w przeciwieństwie do ludzi nie mogę przekroczyć swoich ograniczeń.

Robot zaczął gramolić się do wiru. Morrison patrzył na niego w oszołomieniu i dojrzał za nim czekające stado wilków. Zobaczył łagodny, bijący od ścian jaru blask złotytu wartego kilka milionów dolarów.

Coś w nim pękło.

Z nieartykułowanym wyciem rzucił się i chwycił robota dokoła kostek Williams 4, schowany do

połowy w wirze portującym, wyrwał się i kopał, i prawie udało mu się strząsnąć Morrisona. Ale Morrison trzymał się z siłą maniaka. Centymetr po centymetrze wyciągnął robota z wiru, rzucił go na ziemię i przywalił swym ciężarem.

— Zakłóca pan działanie służby pocztowej — rzekł Williams 4.

— Nie tylko to mam zamiar zakłócić — warknął Morrison. — Nie boję się śmierci. To jest część gry. Ale niech mnie diabli, jeśli mam umierać kwadrans po rym, jak stałem się bogaczem.

— Nie ma pan wyboru.

— Mam. Mogę skorzystać z tego twojego telefonu awaryjnego.

— Nie może pan — oświadczył Williams 4.

— Odmawiam wysunięcia aparatu. A pan nigdy się do niego nie dostanie, nie mając do dyspozycji warsztatu mechanicznego.

— Niewykluczone — zgodził się Morrison.

— Mam zamiar to sprawdzić.

Wyciągnął swój pusty rewolwer.

— Co chce pan zrobić? — spytał Williams 4.

— Chcę zobaczyć, czy uda mi się rozbić cię na złom, nie mając do dyspozycji warsztatu mechanicznego. Myślę, że logicznie jest zacząć akcję od twych komórek ocznych.

— Istotnie — stwierdził robot. — Oczywiście, jestem pozbawiony instynktu samozachowawczego. Ale proszę zauważyć, że pozostawi pan Wenus bez listonosza. Wielu ucierpi z powodu pańskiej antyspołecznej działalności.

— Taką mam nadzieję — rzekł Morrison, unosząc rewolwer ponad głowę.

— Jak również — dorzucił robot pośpiesznie — zniszczy pan własność rządową. To poważne przestępstwo.

Morrison zaśmiał się i zamachnął pistoletem. Robot szybko poruszył głową, unikając ciosu. Próbował się wywinąć, ale sto kilogramów Morrisona mocno uciskało mu klatkę piersiową.

— Tym razem trafię — obiecał Morrison, podnosząc rewolwer.

— Stop! Jest moim obowiązkiem chronić własność rządową, nawet jeśli przypadkowo sam jestem tą własnością. Może pan skorzystać z telefonu, panie Morrison. Niech pan weźmie pod uwagę, że to przestępstwo jest karane sędownie. Kara wynosi nie więcej niż dziesięć i nie mniej niż pięć lat w Zakładzie Karnym Bagna Słoneczne.

— Poproszę ten aparat — rzekł Morrison.

Klatka piersiowa robota otwarła się, ukazując mały telefon. Morrison zadzwonił do Maxa Krandalla i opisał mu sytuację.

— Rozumiem, rozumiem — powiedział Krandall. — W porządku, spróbuję znaleźć Wilkesa. Ale Tom, nie wiem, co będę mógł zrobić. Już jest po godzinach pracy. Większość instytucji zamknięta...

— Spowoduj, by się znowu otworzyły — przerwał mu Morrison. — Mogę za to zapłacić. I wyciągnij również z kłopotów Jima Remstaatera.

— Nie można tego zrobić po prostu tak. Nie zagwarantowałeś sobie jeszcze żadnych praw do działki. Nie udowodniłeś nawet, że twoja działka ma jakąś wartość.

— Spójrz na to. — Morrison obrócił telefon w ten sposób, by Krandall widział połyskujące ściany parowu.

— Wygląda na prawdziwe — rzekł Krandall. — Ale niestety, nie wszystko złoty, co się świeci.

— Co możemy zrobić? — spytał Morrison.

— Musimy działać krok po kroku. Przeportuję ci Mierniczego Rządowego. On sprawdzi twoją działkę, ustali jej granice i zagwarantuje, że nikt inny się na nią nie rejestruje. Dasz mu kawałek złoty, by go zabrał z powrotem. Duży kawałek.

— Jak ciąć złoty? Nie mam żadnych narzędzi.

— Będziesz musiał znaleźć sposób. On weźmie ze sobą ten kawałek do sprawdzenia. Jeśli będzie dostatecznie wysokiej próby, to wszystko gra.

— A jeśli nie?

— Może lepiej o tym nie mówmy — rzekł Krandall. — Natychmiast zaczynani nad tym pracować, Tommy. Powodzenia.

Morrison wyłączył telefon. Wstał i pomógł podnieść się robotowi.

— W ciągu dwudziestu trzech lat służby

— stwierdził Williams 4 — to pierwszy wypadek, gdy zagrożono życiu pracownika poczty państwowej. Muszę o tym zawiadomić władze policyjne w Venusborgu, panie Morrison. Nie mam wyboru.

— Wiem o tym — odparł Morrison. — Ale myślę, że pięć czy dziesięć lat w zakładzie karnym to lepsze niż śmierć.

— Wątpię. Zawożę tam pocztę, wie pan. Będzie miał pan okazję się o tym przekonać za jakies

sześć miesięcy

— Co takiego? — spytał osłupiały Morrison.

— Za sześć miesięcy, kiedy skończę z dostawą poczty na planecie i powrócę do Venusborgu. O takiej sprawie jak ta powinno się meldować osobiście. Ale przede wszystkim i głównie, poczta musi dotrzeć do adresatów.

— Dziękuję, Williams. Nie wiem, jak...

— Po prostu spełniam swój obowiązek — dodał robot, gramoląc się do wiru. — Jeśli nadal będzie pan na Wenus za sześć miesięcy, będę dostarczał pańską pocztę do zakładu karnego.

— Nie będzie mnie tutaj — rzekł Morrison.

— Żegnaj, Williams!

Robot zniknął w wirze portacyjnym. Potem zniknął wir. Morrison został sam w wenusjańskim zmierzchu.

Znalazł wystający kawał złotyty większy od ludzkiej głowy. Tłukł w niego kolbą pistoletu, a drobne odłamki tańczyły i pobłyskiwały w powietrzu. Po godzinie zrobił cztery wgniecenia w rewolwerze, ale jedynie nieznacznie zadrapał wysoce odporną powierzchnię minerału.

Wilki piaskowe ostrożnie zaczęły się przybliżać. Morrison rzucał w nie kamieniami i krzychał swym suchym, skrzypiącym głosem. Zwierzęta wycofały się.

Znowu zbadał wystający kawał i znalazł cieniutkie pęknięcie wzdłuż jednej z krawędzi. Zaczął uderzać właśnie w to miejsce.

Złotyty nie chciał pękać.

Morrison wytarł zalewający mu oczy pot i próbował pomyśleć. Dłuto, potrzebował dłuta....

Zdjął pasek. Ustawił krawędź stalowej sprzączki wzdłuż szczeliny i zdołał ją wbić na głębokość kilku milimetrów. Trzy dalsze uderzenia wbiły sprzączkę mocno w pęknięcie. Jeszcze jedno stuknięcie i niemal równo odłupał się kawałek skały. Dziesięciokilogramowy. Przy cenie dwunastu dolarów za gram ta bryła powinna być warta dwanaście tysięcy dolarów — jeśli by oceniono, że jest rzeczywiście tak czysta, na jaką wygląda.

Zmierzchało, gdy przyportował mierniczy.

Niski, przysadzisty, o powierzchni wykończonej w staromodnym stylu — czarnej z drobną siateczką pęknięć.

— Dzień dobry, proszę pana — rzekł mierniczy. — Życzy pan sobie zarejestrować działkę? Standardowe nieograniczone prawa do eksploatacji?

— Tak jest — potwierdził Morrison.

— I gdzie znajduje się środek wspomnianej działki?

— Co? Środek? Chyba właśnie na nim stoję.

— Bardzo dobrze — rzekł robot. Wyciągnął stalową taśmę i szybko odszedł od Morrisona. W odległości dwustu metrów przystanął. Stalowa taśma rozwijała się trzepocąc, kiedy robot szedł, leciał i wspinał się po kwadracie, którego środek stanowił Morrison. Gdy skończył, zamarł w bezruchu na dłuższą chwilę.

— Co robisz? — zapytał Morrison.

— Robię głębinowe zdjęcia terenu — odpowiedział robot. — To dość trudne przy tym świetle. Czy mógłby pan poczekać do rana?

— Nie!

— Cóż, będę musiał po prostu jakoś sobie poradzić — stwierdził robot.

Przeszedł kawałek i stanął, przeszedł znowu kawałek i stanął. W miarę jak gęstniał zmierzch, każde następne zdjęcie podziemi zabierało więcej czasu od poprzedniego.

Gdyby robot miał pory, spociłby się.

— No i już — rzekł w końcu — załatwione. Czy ma pan jakąś próbkę, którą mógłbym zabrać?

— Oto ona — rzekł Morrison podnosząc bryłę złotyту i wręczając mierniczemu. — Czy to wszystko?

— Absolutnie wszystko — rzekł robot. — Oczywiście z wyjątkiem tego, że nie dał mi pan Aktu Poszukiwań.

Morrison zamrugał.

— Czego nie dałem?

— Aktu Poszukiwań. Jest to dokument rządowy wskazujący, że działka, którą pan rejestruje, nie zawiera materiałów rozszczepialnych w ilości większej niż pięćdziesiąt procent ogólnej masy do głębokości dwudziestu metrów. To zwykła formalność, ale niezbędna. Tak stanowi rozporządzenie rządowe.

— Nigdy o tym nie słyszałem — rzekł Morrison.

— Ten wymóg wprowadzono w zeszłym tygodniu — wyjaśnił mierniczy. — Nie ma pan Aktu? Obawiam się w takim razie, że pańskie standardowe nieograniczone prawo do eksploatacji nie może obowiązywać.

— Czy mogę cokolwiek zrobić?

— Cóż — rzekł robot — mógłby pan zmienić swe standardowe nieograniczone prawo na specjalne prawo ograniczone. Wtedy Akt Poszukiwań nie jest potrzebny.

— Co oznacza to specjalne ograniczenie?

— Oznacza, że za pięćset lat wszystkie prawa stają się ponownie własnością rządu wenusjańskiego.

— W porządku! — krzyknął Morrison. — Doskonale! Świetnie! Czy to wszystko?

— Absolutnie wszystko — rzekł mierniczy. — Zabiorę ze sobą tę próbkę, by ją natychmiast zbadano i oceniono. Na jej podstawie i na podstawie fotografii głębinowych możemy oszacować zasięg i wartość pańskiej działki.

— Przyślijcie mi coś przeciw wilkom — rzekł Morrison. — I jedzenie. I posłuchaj, chcę Superdrinka Poszukiwaczy.

— Dobrze, proszę pana. To wszystko zostanie panu przeportowane — jeśli pańska działka ma wystarczającą wartość, by usprawiedliwić wydatki.

Robot wgramolił się do wiru i zniknął.

Czas mijał, a wilki stopniowo znowu podchodziły. Warczały na kamienie rzucone przez Morrisona, ale nie cofały się. Z otwartymi pyskami i wywieszonymi ozorami pełzły przez ostatnie metry dzielące je od człowieka.

Nagle przywódca stada odskoczył do tyłu i zawył. Nad jego głową pojawił się lśniący wir i wypadła z niego strzelba, uderzając zwierzę w przednią łapę.

Wilki odpełzły. Z wiru wypadła następna strzelba. Potem wielkie pudło z napisem „Ostrożnie granaty”. Potem kolejne pudło oznaczone „Racje pustynne”.

Morrison czekał, gapiąc się na błyszczący otwór wiru, który przeciął niebo do miejsca oddalonego o trzysta metrów i zatrzymał się tam. Wtedy z wiru wyłoniła się ogromna okrągła mosiężna podstawa, a otwór poszerzył się, by przepuścić jeszcze większe mosiężne wybrzuszenie, do którego ta podstawa była przymocowana. Wybrzuszenie robiło się coraz wyższe, kiedy podstawa osiadała na piasku. Potem wyłoniła się całkowicie i stanęła sama na tle pustego od horyzontu do horyzontu przestworu — gigantyczna, ozdobna waza na poncz w sercu pustyni. Wir podniósł się i zatrzymał ponownie nad wazą.

Morrison czekał z palącym, zbolałym gardłem. Teraz wąski strumyczek wyciekł z wiru i z pluskiem wlał się do wazy. Morrison nadal czekał.

A potem to nastąpiło. Plusk stał się hukiem, od którego z przestraczem uciekały wilki i kanie. Z wiru do ogromnej wazy lał się wodospad.

Morrison, zataczając się, zaczął iść ku wazie. Trzeba było zamówić menażkę, powtarzał sobie wyschłymi wargami, kiedy potykając się pokonywał trzysta metrów piasku. Ale w końcu stał pod Superdrinkiem Poszukiwaczy, wyższym od wieży kościelnej, szerszym niż dom, składającym się z wody cenniejszej niż sam złoty. Odkręcił kurek przy dnie. Woda zmoczyła żółty piasek i spływała strumykami po wydnie.

Trzeba było zamówić kubek lub szklanę, myślał Morrison, leżąc na plecach z otwartymi ustami.

Dziewczyny i Nugent Miller

Nugent Miller schylił się i odgiął delikatnie nożem liście i gałązki. Dokładnie oglądał ślady — świeże ślady małych stóp. Może stóp kobiecych?

Patrząc na te ślady Miller nieomal widział, jak wyrasta z nich kobieta. Widział aż nazbyt realistycznie wysoko sklepioną stopę, wąską kostkę i szczupłe, złociste nogi. Obrócił wyimaginowaną kobietę na wyimaginowanym postumencie i podziwiał długą, wdzięczną linię jej pleców. Widział...

— Dosyc — rzekł sobie.

Nie miał innych dowodów, tylko te ślady. Nadzieja mogła być niebezpieczna, pożądanie mogło zakończyć się katastrofą.

Był wysokim, szczupłym, mocno opalonym mężczyzną o posępnej twarzy. Miał na sobie sportowe buty, luźne spodnie koloru khaki i niebieską koszulkę polo, na grzbiecie plecak, a w ręce licznik Geigera. Na nosie — okulary w rogowej oprawce. Z lewej strony oprawka złamała się — zreperował ją gałązką i sznurkiem. Drutem wzmocnił połączenie nad nosem. Okulary wyglądały solidnie, ale wciąż im nie dowierzał. Miał dość krótki wzrok. Jeśliby zbiły się szkła, nigdy nie zdołałby ich zastąpić. Czasami dręczyły go t koszmary, w których okulary spadały mu z nosa. Sięgał po nie, nie trafiał, a one spadały w dół z bocza, koziółkując w powietrzu.

Wcisnął je mocniej na nos, przeszedł kilka metrów i znów zbadał dokładniej grunt. Wykrył trzy, może cztery grupy śladów, odcisniętych prawdopodobnie niedawno.

Zadrzał. Przykucnął przy śladach i napomniął się, że nie powinien żywić żadnych nadziei. Ludzie, którzy zostawili te ślady, prawdopodobnie już umarli.

Musiał jednak mieć pewność. Wyprostował się i zaczął iść za śladami. Prowadziły f przez ugór na skraj lasu. Przystanął na chwilę i nadsłuchiwał.

Był cichy, piękny wrześnieowy poranek. Słońce prażyło jałowe pola, światło odbijało się od gołych białych gałęzi lasu. Jedynymi słyszalnymi dźwiękami były zmęczone westchnienia wiatru na tle tykającego licznika Geigera.

— Odczyt w normie — rzekł do siebie Miller. — Ci, co tędy szli, musieli posiadać geigera.

Ale może nie używali go prawidłowo. Może byli skażeni, może umierali na chorobę popromienną. Nie mógł pozwolić sobie na nadzieję. Wytrwał tak długo przy zdrowych zmysłach dzięki temu, że starał się niczego nie oczekiwać, niczego nie chcieć, niczego nie pożądać.

— Jeśli są martwi — rzekł do siebie — urządzę im przyzwoity pogrzeb.

Myśl ta odpędziła złe demony nadziei i pożądania.

W lesie, na poszyciu stracił ślad. Próbował iść w tym samym kierunku, ale licznik zaczął wściekle grzechotać. Wybierał kierunki pod kątami prostymi, trzymając przed sobą geigera. Kiedy minął skażone miejsce, znowu się obrócił, dokładnie o kąt prosty i szedł równoległe do kierunku szlaku. Starannie liczył kroki. Nie wyszłoby mu na zdrowie, gdyby wpadł w kieszeń promieniowania, bez jasnej drogi na zewnątrz. Zdarzyło mu się to trzy miesiące temu i baterie licznika prawie się wyczerpały, nim znalazł wyjście. Nosił teraz w plecaku baterie zapasowe, ale niebezpieczeństwo nadal istniało.

Po dwudziestu metrach znowu skręcił, przeciął ścieżkę i wolno maszerował, obserwując grunt.

Miał szczęście. Znalazł znowu ślady, a obok nich fragment tkaniny zaczepiony o krzak jeżyn. Siady wyglądały na bardzo świeże. Czyżby mógł sobie pozwolić na odrobinę nadziei?

Nie, jeszcze nie. Wciąż pamiętał wydarzenie sprzed prawie pół roku: wdrapał się wtedy na niewielką skałę, by złupić sklep na jej szczycie; o zachodzie znowu zszedł ze skały a u jej stóp znalazł ciało jakiegoś mężczyzny. Był martwy zaledwie od kilku godzin. Do ramion miał przytroczony pistolet automatyczny i strzelbę, kieszenie wypchane granatami. Nie ochroniły go przed najbardziej subtelnym z wrogów: mężczyzna zabił się sam. Wciąż trzymał w dłoni jeszcze ciepły rewolwer.

Widocznie szedł za śladami Millera. Kiedy dotarł do podnóża skały z piaskowca, ślad się urwał. Może wytrzymałość mężczyzny nadszarpnęły poparzenia radiacyjne na piersi i ramionach? Może w chwili gdy rozwiały się jego nadzieje — ślady zniknęły przy litej skale — ostatnia kropla przepelniła czarę. Tak czy inaczej, strzelił sobie w łeb u stóp skały. Zabiła go nadzieja.

Miller pochował mężczyznę, zdejmując z niego przedtem cały rynsztunek. Rozmyślał o broni przez większość dnia. Kusiło go, by ją zatrzymać. Mogła się bardzo przydać w tym porozbijanym nowym świecie.

W końcu postanowił jej nie brać. Nie miał zamiaru naruszać zasad, których konsekwentnie przestrzegał przez całe życie. Zwłaszcza po tym, co widział. Ponadto broń, w takich czasach jak te, była zbyt niebezpieczna dla jej właściciela. Wrzucił ją więc do najbliższej rzeki.

To wszystko wydarzyło się niecałe pół roku temu. A teraz Miller sam szedł za śladami, po cienkiej warstwie iłów leśnych, do wąskiego strumienia. Kiedy go przekroczył, mógł policzyć na gęstej glinie pięć różnych grup śladów. Były tak świeże, że w ich wgłębienia wciąż ściekała woda. Ludzie musieli tędy przechodzić nie później niż trzydzieści minut temu.

Czuł, jak budzą się w nim demony pożądania i nadziei. Chyba nie byłoby aż tak nierozsądne, gdyby teraz wziął pod uwagę możliwość spotkania ludzi? Owszem, byłoby aż tak nierozsądne. Spuszczone ze smyczy demony, gdy doznają zawodu, zwracają się przeciw tobie, tak jak zwróciły się przeciw mężczyźnie u stóp piaskowcowej skały. Nadzieja i pożądanie były jego najbardziej niebezpiecznymi wrogami. Nie ośmielał się wypuścić demonów z zakorkowanej butelki w głębi swego mózgu.

Pomaszerował zwawo po ścieżce. Ponieważ ślady stawały się coraz świeższe, wnioskował, że posuwa się szybciej niż domniemana grupa ludzi. Jego geiger cykał do siebie z zadowoleniem, kontent z niskiego poziomu radiacji. Ludzie przed nim — jeśli nadal żyli — musieli używać licznika przy wyborze drogi.

Przeżyć było tak łatwo, naprawdę. Ale tak niewielu zdołało to zrobić.

Miller wiedział, że nadchodzi koniec, kiedy chińscy komuniści przeprowadzili zmasowany atak na Tajwan. Na początku wyglądało to na wojnę lokalną, tak jak wściekła wojenka tocząca się w Kuwejcie czy akcja policyjna ONZ na granicy turecko–bułgarskiej.

Ale to właśnie było o jedną wojnę za dużo. Traktaty łańcuchowo wciągały w konflikt jeden kraj za drugim. Nie użyto jeszcze broni jądrowej, ale było jasne, że to tylko kwestia czasu.

Nugent Miller, adiunkt, wykładowca historii starożytnej w Laurelville College w Tennessee, dostrzegł złowieszczy napis na ścianie i zaczął zakładać skrytki zjedzeniem w Pieczarach Laurelville. Miał wtedy trzydzieści osiem lat i był zapamiętałym, urodzonym pacyfistą. Kiedy systemy wczesnego ostrzegania przysłały wiadomość o niezidentyfikowanych rakietach nadlatujących z północy, Miller był już spakowany i gotowy. Natychmiast pomaszerował do Pieczar. Jedno z wejść znajdowało się tylko o kilometr od college'u. Zdziwił się, że dołączyło do niego tylko około pięćdziesięciu studentów i pracowników. Ostrzeżenie było przecież dostatecznie jasne.

Bomby spadły i zapędziły grupę głębiej w labirynt komór i tuneli. Po tygodniu bombardowanie ustało. Ci, co przeżyli, ruszyli ku powierzchni.

Miller zmierzył promieniowanie przy wejściu na zewnątrz i stwierdził, że jest zabójcze. Nie mogli wyjść. Jedzenie już się skończyło, a odpady radioaktywne przesączały się do pieczar, wpędzając ludzi głębiej.

Zanim upłynęły cztery tygodnie, trzydzieści osiem osób umarło z głodu. Promieniowanie przy wlocie do jaskini nadal miało zbyt wysoki poziom, by można było wyjść. Miller postanowił zejść niżej poziom i odnaleźć wciąż nie tkniętą skrytkę z żywnością. Trzech innych zdecydowało się mu towarzyszyć. Pozostali woleli zaryzykować chorobę popromienną i wyrwać się na zewnątrz.

Miller z przyjaciółmi zeszli się głęboko w czerń jaskiń. Byli bardzo słabi i żaden z nich nie miał doświadczenia grotolaza. Dwóch zginęło pod spadającymi kamieniami. Miller z drugim mężczyzną uparcie trzymali się życia. Nie zdołali odszukać skrytki z żywnością. Odkryli jednak strumień czarnej wody, a w nim świecące punkty płynących ryb. Ślepych ryb, spędzających całe życie w pieczarach. Łowili, ale nic nie złapali. Dopiero po kilku dniach Miller zdołał przegrodzić odnogę strumienia, złapać w pułapkę kilka ryb i wyciągnąć je na brzeg. Ale wtedy jego przyjaciel był już martwy.

Miller mieszkał przy strumieniu i ulepszał sposoby połowu ryb. Śledził upływ czasu, najlepiej, jak mógł, i raz na tydzień wylaził z trudem na powierzchnię, by sprawdzać poziom promieniowania. Dopiero po dwunastu tygodniach poziom ten spadł na tyle, że opuszczenie jaskiń było możliwe.

Nigdy nie spotkał już nikogo z tych, którzy zeszli z nim do jaskini, chociaż znalazł kilka ich ciał.

Na zewnątrz, wszędzie próbował szukać ludzi. Jednak większość z tych, którzy przeżyli bombardowanie wodorowe, dopadła choroba popromienna. Bardzo niewielu zaopatrzyło się w liczniki Geigera czy zapasy jedzenia. Wszyscy lub prawie wszyscy wyruszyli na poszukiwanie żywności, zanim jeszcze promieniowanie spadło do znośnego poziomu. Z pewnością niektórzy przetrwali. Ale gdzie, gdzie?

Szukał przez kilka miesięcy. Potem przestał. Przypuszczał, że jacyś ludzie przeżyli w zakątkach Afryki, Azji, w Ameryce Południowej. Nigdy ich nie zobaczy. Może pewnego dnia znajdzie kilku na kontynencie północnoamerykańskim. Może nie. Tymczasem sam musi przetrwać.

Trwał, wędrując jesienią na południe, a wiosną wracając na północ — spokojny człowiek, który nigdy nie pragnął wojny, który do zabijania czuł wstręt, jaki wielu udawało, ale niewielu rzeczywiście podzielało. Hołdował swym dawnym przyzwyczajeniom, jak gdyby bomby nigdy nie spadły. Czytał znalezione książki i mając wyrzuty sumienia, zbierał malowidła i rzeźby wykradane widmowym opiekunom pustych galerii.

Nugent Miller już na długo przed drugą wojną światową obiecał sobie, że nigdy nie zabije żadnego ze swych bliźnich. Teraz, po trzeciej wojnie światowej nie widział powodu, by zmieniać to postanowienie. Był typem spokojnego, chłopięcego wykładowcy, który przeżył śmierć najbardziej przystosowanych i który, po strasznym zniszczeniu świata wciąż był pełen szczytnych postanowień i ideałów. Okoliczności zmusiły go do stłumienia pragnień i porzucenia nadziei.

Ślady wiodły przez rzadkie poszycie, wokół obrośniętego mchem granitowego głazu. Usłyszał jakieś dźwięki.

— Poryw wiatru — rzekł sobie.

Obszedł głaz i przystanął. Przed nim, w odległości zaledwie kilku metrów, znajdowało się pięcioro ludzi. Jego wygłodzonym oczom wydawali się tłumem, armią, mrowiem. Obozowali wokół niewielkiego ogniska. Przyswojenie takiego mnóstwa informacji zajęło mu kilka sekund.

— O, do licha — rzekł jeden z tamtych.

Miller dostroił się. Jeszcze raz ogarnął wzrokiem całą scenę. Pięć osób, same kobiety. Pięć kobiet ubranych w wystrzępione dzinsy i drelichowe kurtki, z plecakami rozłożonymi obok na ziemi. O plecaki opierały się prymitywne dzidy.

— Kim pan jest? — spytała jedna z kobiet. Była najstarsza, może pięćdziesięcioletnia.

Niska, krępa, silnie zbudowana kobieta, o kwadratowej twarzy i siwoszarych włosach. Miała silnie umięśnione ramiona i brązową, muskularną szyję. Na jej nosie nedorzecznie sterczały binokle z pękniętym jednym szkłem.

— Mówić pan nie umie? — spytała ostro kobieta.

— Owszem, umiem — odparł Miller. — Przepraszam, byłem zaskoczony. Jesteście pierwszymi kobietami, jakie widzę od bombardowania.

— Pierwszymi kobietami? — spytała ostro. — A widział pan mężczyzn?

— Tylko martwych — wyjaśnił Miller.

Odwrócił się i spojrzął na pozostałe cztery. Były młode, gdzieś około dwudziestki, i wydały mu się niebywale piękne. Bez wątpienia różniły się bardzo między sobą, ale dla Millera, który natknął się na nie jak na nieznaną rasę, były wszystkie jednakowe w swej obcości. Cztery piękne stworzenia, złotoskóre i długonogie, z wielkimi, spokojnymi lamparcimi oczyma.

— Więc jest pan jedynym mężczyzną w okolicy — stwierdziła starsza kobieta. — Cóż, nie będzie z tym żadnego problemu.

Dziewczęta milczały. Gapiły się na niego. Miller czuł coraz większe skrępowanie i zażenowanie. Rozważał całą odpowiedzialność, jaka dla niego wynikała z tej sytuacji. Myśli te podniecały, a zarazem wprawiały go w zakłopotanie.

— Możemy równie dobrze dokończyć formalności prezentacji — powiedziała starsza kobieta rzeczowym tonem. — Nazywam się panna Denis.

Miller czekał, ale panna Denis nie przedstawiła dziewcząt.

— Nazywam się Nugent Miller — powiedział.

— Cóż, panie Miller, jest pan pierwszą osobą, jaką spotkałyśmy. Nasza historia brzmi naprawdę bardzo prosto. Kiedy usłyszałam ostrzeżenia, zabrałam dziewczyny na najniższy poziom piwniczny w naszej szkole. To znaczy w Szkole Charleton–Vaness Dla Młodych Dam. Jestem... byłam nauczycielką etykiety.

Koleżanka, pomyślał Miller z przekąsem.

— Oczywiście — ciągnęła panna Denis — wyposażyłam schron w zapasy żywności, jak to powinna zrobić każda przezorna osoba. Ale niewiele to zrobiło. Miałam kilka liczników Geigera, z których działaniem i obsługą się zapoznałam. Niektórzy nierozsądni ludzie uparli się, by wyjść ze schronu natychmiast po ustaniu bombardowania. Ja zdołałam przekonać te dziewczęta o niebezpieczeństwach promieniowania. Byłyśmy zmuszone opuścić piwnice i schronić się w systemie kanałów poniżej.

— Jadłyśmy szczury — wyjaśniła jedna z dziewcząt.

— Owszem, Suzie — rzekła panna Denis.

— Jadłyśmy szczury i byłyśmy szczęśliwe, że je mamy. Kiedy promieniowanie spadło do bezpiecznego poziomu, wyszłyśmy. Od tamtej pory wiedzie nam się bardzo dobrze.

Dziewczęta przytaknęły. Wciąż obserwowały Millera lamparcimi oczyma. I Miller też je obserwował. Zakochał się we wszystkich jednocześnie, i najzupełniej szczerze, zwłaszcza w Suzie,

ponieważ miała jakieś imię. Ale nie zakochał się w przysadzistej, silnorękiej, rzeczowej pannie Denis.

— Moje własne doświadczenia są podobne — stwierdził Miller. — Poszedłem do Jaskiń Laurelville. Nie znalazłem żadnych szcurów, ale jadłem jakieś ryby o bardzo dziwnym wyglądzie. Przypuszczam, że powinniśmy zadać sobie pytanie, co robimy?

— Naprawdę? — spytała panna Denis.

— Tak sędzę. My, którzy przeżyliśmy, powinniśmy trzymać się razem, by sobie wzajemnie pomagać i podtrzymywać na duchu. Pójdziemy do waszego obozu czy do mojego? Czy wiele nabierałyście? Ja robiłem to dosyć intensywnie. Zgromadziłem bibliotekę, trochę malowideł i niezły zapas żywności.

— Nie — odrzekła panna Denis.

— Cóż, skoro obstajecie przy swoim obozie...

— Właśnie obstajemy. Nasz obóz. I my same. To znaczy bez pana, panie Miller.

Miller nie wierzył własnym uszom. Spojrzał na dziewczęta. One spojrzały na niego czujnie, bez żadnego wyrazu na twarzach.

— Ale posłuchajcie — przekonywał Miller — potrzebujemy przecież wzajemnej pomocy i duchowego wsparcia...

— A pod tymi pojęciami rozumie pan samczą chuć — stwierdziła panna Denis.

— Nie miałem na myśli niczego podobnego — rzekł Miller. — Jeśli pani nalega, by teraz o tym rozmawiać, przypuszczam, że po prostu pozwolimy, by rzeczy potoczyły się naturalnym biegiem.

— Rzeczy potoczyły się już naturalnym biegiem. To jedynie słuszny bieg. Jest nas tu pięć kobiet. Razem radziłyśmy sobie doskonale przez ostatnie miesiące. Prawda, dziewczęta?

Dziewczęta przytaknęły, ale oczy miały wciąż utkwione w Millerze.

— Nie potrzebujemy — oświadczyła panna Denis — ani pana, ani żadnego innego mężczyzny. Nie potrzebujemy i nie pragniemy.

— Chyba nie rozumiem — rzekł Miller, chociaż właśnie zaczynał to rozumieć.

— Mężczyźni są odpowiedzialni za to wszystko — rzekła panna Denis. Grubą dłonią uczyniła wszechogarniający gest. — Mężczyźni sprawowali rządy, mężczyźni byli żołnierzami i fizykami jądrowymi, mężczyźni rozpoczęli wojnę, która zlikwidowała większość rasy ludzkiej. Już przed bombardowaniem zawsze uprzedzałam moje dziewczęta, by strzegły się mężczyzn. Mówiono wiele bzdur o równości płci. W praktyce kobieta była wciąż częścią dobytku mężczyzny i jego zabawką. Ale w normalnych czasach nie mogłam w pełni wyklądać moich teorii. Szkoła by na to nie pozwoliła.

— Potrafię to zrozumieć — odparł Miller.

— Teraz już czasy nie są normalne. Wy, mężczyźni, zabagniliście sprawy raz i na zawsze, i nie będziecie już mieli następnej szansy. Przynajmniej póki ja będę miała tu coś do powiedzenia.

— Może dziewczęta mają inne zdanie — wysunął przypuszczenie Miller.

— To ja edukuję dziewczęta — powiedziała panna Denis. — To proces powolny, ale mamy mnóstwo czasu. I wydaje mi się, że moje lekcje zaczynają padać na podatny grunt. Dobrze nam było razem, prawda, dziewczęta?

— Tak jest, panno Denis — odpowiedziały chórem.

— I nie potrzebujemy, żeby ten mężczyzna kręcił się w okolicy, prawda?

— Nie potrzebujemy, panno Denis.

— Widzi pan?

— Chwileczkę — rzekł Miller. — Myślę, że wasze wywody opierają się na błędnym rozumowaniu. To tylko niektórzy mężczyźni są odpowiedzialni za wojny. Nie wszyscy. Na przykład ja należałem do najzarliwszych pacyfistów w czasie, kiedy było to w istotny sposób niewygodne. Podczas drugiej wojny światowej służyłem w oddziale sanitarnym. Nigdy nie odebrałem życia istotcie ludzkiej i nigdy nie miałem takiego zamiaru.

— Jest więc pan tchórzem, a zarazem mężczyzną — stwierdziła panna Denis.

— Nie uważam się za tchórza — odparł Miller. — Byłem świadomym obdźektorem z przekonania, nie z tchórzostwa. Mój oddział sanitarny działał na linii frontu, razem z żołnierzami. Nie mieliśmy tylko broni. Wielokrotnie znajdowałem się pod ostrzałem. Byłem ranny, chociaż niezbyt ciężko.

— Jakież to bohaterskie! — rzekła panna Denis, a dziewczęta się zaśmiały.

— Nie mam zamiaru chwalić się przed wami swoimi dokonaniem — zapewnił Miller. — Próbuję po prostu wam wyjaśnić, jakim typem mężczyzny jestem. Mężczyźni są różni, wie pani.

— Wszyscy są tacy sami — stwierdziła panna Denis. — Co do jednego. Brudne, włochate, śmierdzące, obleśne bydlaki, które zaczynają wojny i zabijają kobiety i dzieci. Niech pan mi nawet nie próbuje opowiadać o mężczyznach.

— Muszę — rzekł Miller. — Pani nie wie o nich zbyt wiele. Niech mi pani powie, co pani sama zrobiła, by powstrzymać wojny, których pani tak nienawidzi?

— Co może zrobić kobieta? — spytała retorycznie panna Denis. — Jeńcy muszą iść za zwycięzcami.

— Bzdury — odrzekł Miller. — Kobiety mogłyby zrobić mnóstwo, jeśliby chciały naprawdę

powstrzymać wojny. Czy czytała pani w ogóle *Lizystratę*? Arystofanes powiada tam, jak kobiety odmówiły współżycia z mężami, dopóki nie zaprzestali oni walk. Wykazuje to...

— Czytałam tę sztukę — oświadczyła panna Denis. — To było niezbyt praktyczne rozwiązanie.

— Czemu? Czyż nie dlatego, że zbyt wiele was, kobiet, kochało wojny i uwielbiało żołnierzy? Mogłybyście skończyć z nimi, gdybyście tylko tego pragnęły. Nietzsche powiada...

— Niech pan mi tu nie cytuje tych przeklętych męskich autorów — rzekła na to panna Denis. — Pańska logika jest słuszna tylko pozornie. Jest faktem, że wy, mężczyźni, mieliście władzę i jej nadużyliście. Traktowaliście kobiety jak zabawki, a Ziemię jak jedno wielkie pole bitwy, dopóki nie wywojowaliście własnej zagłady. Teraz jesteście skończeni, starci na proch. Wymarły gatunek. Stoi pan tutaj z tą zabawnie włochatą twarzą i wygląda pan równie dziwnie jak dinozaur czy dodo. Niech pan sobie odejdzie i gdzieś tam umrze, panie Miller. Teraz my, kobiety, mamy swoją szansę.

— Możecie napotkać trudności z rozmnażaniem.

— Ale są one do pokonania. Bardzo uważnie śledziłam ostatnie prace nad partenogenezą. Rozmnażanie się bez samców jest najwyraźniej możliwe.

— Niewykluczone — rzekł Miller. — Ale nie ma pani praktyki w pracy naukowej. A gdyby nawet pani ją miała, nie ma pani niezbędnego sprzętu.

— Ale znam miejsca, gdzie prowadzono te badania — odparła panna Denis. — Może któraś z tych uczonych przeżyła. Jeszcze większe są szanse, że sprzęt laboratoryjny jest nie naruszony. Wykorzystując go oraz własną wiedzę na temat tego zagadnienia myślę, że uporam się z tym problemem.

— Nigdy się pani nie uda.

— Myślę, że jednak tak. Ale nawet jeśli nie, raczej zgodzę się na wymarcie rasy niż pozwolę, żeby mężczyźni znów wzięli sprawy w swe ręce.

Poczerwieniała na twarzy z wściekłości.

— Mogę zrozumieć, że żywi pani urazę do mężczyzn — powiedział Miller. — Do pewnych mężczyzn. Ale naturalnie możemy to przedyskutować i dojść do jakiegoś wygodnego dla obu stron...

— Nie! Już wszystko przedyskutowaliśmy! Niech się pan wynosi!

— Ani myślę — odrzekł Miller.

Panna Denis podeszła szybko do stosu broni i podniosła dzidę.

— Dziewczęta — zawołała — przygotujcie się.

Dziewczyny, wciąż zafascynowane Millerem, zawahały się chwilę. Potem, podporządkowując się

silnej osobowości panny Denis, wzięty po garści kamieni ze swych plecaków. Były teraz podniecone. Wyczekująco patrzyły na pannę Denis.

— Pójdzie pan sobie?

— Nie.

— Kamieniami go!

Grad pocisków poszybował przez powietrze. Miller odwrócił się, by zasłonić swój licznik Geigera, i poczuł ciosy na plecach i nogach. Nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Te dziewczyny, które kochał — a zwłaszcza Suzie — nie rzucałyby w niego kamieniami. Przesaną za chwilę, zawstydzone.

Ale kamienie wciąż nadlatywały. Jeden z nich uderzył go w czubek głowy. Miller, na poły ogłuszony, potrząsnął głową, obrócił się i ruszył naprzód, ściskając wciąż licznik Geigera. Panna Denis niezgrabnie próbowała wbić go na dzidę. Zrobił unik i lewą ręką złapał za drzewce. Mocowali się.

Prawie udało mu się wyszarpać jej oręż. Jednak silna i krępa jak byk panna Denis to było dla niego zbyt wiele. Wyrwała mu dzidę i walnęła go po głowie sękatym końcem. A dziewczyny wiwatowały!

Miller był teraz na kolanach, a kamienie wciąż sypały się wokół. Koniec dzidy szturchnął go w bok. Miller odtoczył się, unikając ciosu, i wstał.

— Zabić go! — wrzeszczała panna Denis. — Zabić tego brudnego samca!

Dziewczęta, z twarzami zarumienionymi podnieceniem, następowały. Miller czuł, jak dzida orze mu bok. Obrócił się i uciekł.

Nie wiedział, jak długo biegnie przez zielony półmrok lasu. W końcu nie mógł już biec. Wyciągnął scyzoryk i odwrócił się. Nikt go jednak nie ścigał.

Położył się na chłodnej ziemi i próbował zanalizować sytuację. Ta kobieta, panna Denis, musi być szalona. Stara nieprzyjaciółka mężczyzn, zaciekła lesbijka, doznała pomieszania zmysłów. A dziewczyny? Był pewien, że nie chciały mu zrobić krzywdy. Może go kochały. Ale znajdowały się pod wpływem tej starej jędzy.

Sprawdził sprzęt. Podczas ucieczki nie zgubił licznika Geigera ani okularów. Również okulary tkwiły na nosie. Dziękował za to losowi. Bez tych przyrządów byłoby mu trudno powrócić do swego obozowiska.

Zawsze wiedział, że ludzie są trochę zwariowani. Powinien zdawać sobie sprawę, że ci, którzy ocaleli z atomowej zagłady, będą jeszcze bardziej zwariowani niż poprzednio. Ta obłąkana panna Denis! Wyobraziła sobie mężczyznę jako gatunek wymarły!

Wstrząśnięty, uświadomił sobie, że nie przekracza to możliwości jego wyobraźni. No bo jak wielu

mężczyzn przeżyło? A ile kobiet? Ilu z tych ocalałych posiada liczniki Geigera, ilu zdoła pokonać leżące przed nimi niebezpieczeństwa?

Jednak mimo wszystko jego to nie dotyczyło. Troska o przyszłość rasy ludzkiej nie należała do jego obowiązków. Był idiotą, że uwolnił demony nadziei i pożądania. Teraz będzie musiał pokonywać je na nowo. Ale robi to. Spędzi resztę życia wśród swych książek i obrazów. Być może będzie ostatnim człowiekiem w pełni cywilizowanym.

Cywilizowanym... Miller zadrzał i wspomniął twarz Suzie i pozostałych dziewcząt, kiedy patrzyły na niego swymi, lamparcimi oczyma. To bardzo źle, że nie zdołał osiągnąć jakiegoś kompromisu z panną Denis. Ale w tych okolicznościach nie mógł nic zrobić...

Chyba żeby odrzucił wszelkie zasady, zgodnie z którymi żył do tej pory.

Czy mógł to uczynić? Przytłaczały go demony usadowione na jego barkach. Spojrzał na nóż w swej ręce i zadrzał. Dłoń zacisnęła mu się wokół rękojeści.

W chwilę później ostatni cywilizowany mężczyzna świata był martwy. Razem z nim znikł ostatni na świecie pacyfista i obdżektor z powodów moralnych, ostatni bibliofil i ostatni kolekcjoner dzieł sztuki.

Miejsce tych uroczych postaci zajął Miller, z zaciśniętym w dłoni małym nożem, szukający w lesie pewnej rzeczy.

Znalazł ją. Nadpalony błyskawicą konar, ciężki i długi na metr.

Miller szybko usunął zbędne gałązki.

Wkrótce panna Denis zobaczy, jak typowe wcielenie owłosionej, śmierdzącej, brudnej, wywijającej maczugą samczości rzuci się na nią. Miał nadzieję, że ta kobieta uświadomi sobie, iż sama przywołała do życia tę bestię. Będzie to dla niej pewną niespodzianką.

I wkrótce potem niespodziankę przeżyją dziewczęta. Zwłaszcza Suzie.

Spotkanie umysłów

Część pierwsza

Quedak leżał na niewysokim wzgórzu i obserwował tryskającą z nieba wąską strugę światła, postrzępioną u dołu jak pióro, złocistą, jaśniejszą od słońca. Nad nią wisiał błyszczący, metaliczny obiekt — chyba sztuczny, a nie naturalny — dziwnie znajomy. Quedak usiłował sobie przypomnieć, co to jest.

Nie pamiętał. Jego wspomnienia dawno znikły wraz z innymi funkcjami organizmu. Pozostały tylko rozproszone, szczątkowe wizje. Przeszukiwał je teraz, przeglądając fragmentaryczne obrazy: zrujnowane miasta, wymierająca ludność, kanały wypełnione niebieskawą wodą, dwa księżyce, statek kosmiczny...

To jest to. Opuszczający się obiekt to „statek kosmiczny”. Było ich mnóstwo w czasie wielkich dni Quedaka.

Te wielkie dni już minęły, zagrzebane pod miłkim piaskiem. Pozostał jedynie Quedak. Żył i miał misję do spełnienia. Stymulował go nakaz, by wypełnić tę misję nawet teraz, gdy pamięć go zawiodła, a organizm nie funkcjonował.

Statek opadał. Przechylił się, plunął bocznymi dyszami, by się wyprostować. Wylądował na jałowej równinie, siadając na ogonie.

Quedak obserwował to cały czas, a potem, napędzany nakazem swej misji, powłókł się z wysiłkiem w dół zbocza. Każdy ruch sprawiał mu straszny ból. Gdyby Quedak był istotą bardziej egoistyczną, umarłby. Ale nie był egoistą. Musiał wypełnić obowiązek wobec Wszechświata, a ten statek, po tylu latach, stanowił ogniwo łączące go z innymi światami, gdzie Quedak mógłby znów żyć i służyć miejscowej faunie.

Pełził centymetr po centymetrze i zastanawiał się, czy starczy mu sił, by dotrzeć do obcego statku, zanim ten opuści piaszczystą, martwą planetę.

Jensen, kapitan statku kosmicznego *Krzyż Południa*, był niemiłosiernie znudzony Marsem. Wraz z załogą wylądował w tej okolicy przed dziesięcioma dniami, ale nie znaleziono tu ani ważniejszych obiektów archeologicznych, ani obiecujących śladów dawnych miast takich, jakie odkryto w czasie ekspedycji *Polaris* na Biegunie Południowym. Tutaj był tylko piasek, trochę nędznych zarośli i kilka wypiętrzonych jak fale pagórków. Największe dotychczasowe znalezisko stanowiły trzy skorupy glinianych garnków.

Jensen podkręcił zawór swej maski tlenowej. Na zboczu pagórka zobaczył dwóch wracających członków załogi.

— Znaleźliście cokolwiek? — zapytał.

— Tylko coś takiego — odrzekł inżynier Vayne, podnosząc trzycentymetrowe zardzewiałe, nie

oprawione ostrze.

— Dobrze i to — odparł Jensen. — A ty, Wilks?

Nawigator wzruszył ramionami.

— Tylko fotografie krajobrazu.

— Dobrze — rzekł Jensen. — Wrzucie to wszystko do sterylizatora i odjeżdżamy.

Wilks zrobił smętną minę.

— Kapitanie, jeden szybki kurs na północ mógłby okazać się naprawdę...

— Nie ma mowy — przerwał Jensen. — Paliwo, żywność, woda — wszystko zostało obliczone na pobyt dziesięciodniowy. To o trzy dni dłużej, niż miała *Polaris*. Startujemy dziś wieczór.

Trzej mężczyźni skinęli głowami. Nie mieli powodów, by się uskarżać — uczestniczyli w drugiej ekspedycji na Marsa, co gwarantowało im małą, ale pełną szacunku wzmiankę w podręcznikach historii. Włożyli swoje rzeczy do otworu sterylizatora, zamknęli go szczelnie i wspięli się po drabinie do śluzy. Kiedy znaleźli się w środku, Vayne zamknął i zaryglował luk i zaczął otwierać wewnętrzne drzwi ciśnieniowe.

— Poczekaj! — zawołał Jensen.

— Co się stało?

— Chyba dostrzegłem coś na twoim bucie — rzekł Jensen. — Jakby wielkiego owada.

Vayne przesunął szybko rękami po butach. Dwaj pozostali mężczyźni stanęli z boku, sprawdzając jego ubranie.

— Zamknij wewnętrzne drzwi — rzekł kapitan. — Widziałeś coś, Wilks?

— Zupełnie nic — odparł nawigator. — Jesteś pewien, kapitanie? Nie znaleźliśmy tu nic, co przypominałoby owady czy zwierzęta. Tylko trochę roślin.

— Mógłbym przysiąc, że coś widziałem — rzekł Jensen. — Może mi się zdawało... W każdym razie spryskajmy ubrania, zanim wejdziemy do wnętrza statku. Nie warto ryzykować przywleczenia jakiegoś marsjańskiego owada.

Mężczyźni zdjęli buty i ubrania i wpakowali je do szybu. Obejrzeliby starannie nagie stalowe pomieszczenie.

— Nie ma tu nic — rzekł w końcu Jensen. — W porządku, możemy wchodzić.

Weszli do środka, zamknęli hermetyczną śluzę i napełnili ją gazem dezynfekującym. Quedak, który

wpełznął do środka już wcześniej przez uchylone drzwi ciśnieniowe, nasłuchiwał oddalonego syku gazu. Po chwili usłyszał, jak zaczęły pracować silniki raketowe.

Wycofał się w ciemny tył statku. Znalazł metalową półkę i przymocował się do niej od spodu, tuż przy ścianie. Po chwili poczuł drżenie statku.

Podczas długiego, powolnego lotu przez przestrzeń międzyplanetarną Quedak tkwił na półce. Zapomniał już, jak wyglądają statki kosmiczne, ale teraz pamięć mu ożyła. Czuł palący żar i lodowate zimno. Przystosowywał się do tych zmian temperatury i to wyczerpało jego niewielki zapas sił życiowych. Quedak zastanawiał się, czy umrze.

Odmówił umierania. Nie będzie umierał, kiedy nadal istnieje możliwość wypełnienia jego misji.

Po pewnym czasie poczuł, że grawitacja rośnie gwałtownie, a silniki raketowe znowu pracują. Statek schodził ku powierzchni jakiejś planety.

Po rutynowym lądowaniu kapitan Jensen wraz z załogą zostali odstawieni do Kontroli Medycznej, gdzie ich poszturchiwano, obstukiwano i sprawdzano, czy nie wykazują jakichś oznak choroby.

Statek został opuszczony na platformę i między rzędami rakiet księżycowych oraz pocisków międzykontynentalnych przetransportowany do Pierwszego Etapu Odkazania. Tutaj hermetycznie zamkniętą powłokę statku przemyto silnymi strugami środka czyszczącego. Wieczorem rozpoczęto Drugi Etap Odkazania.

Dwaj inspektorzy, zaopatrzeni w ogromne zbiorniki i węże, odryglowali luk i weszli do statku, zamykając za sobą drzwi.

Zaczęli od dzioba i posuwając się do tyłu spryskiwali starannie wnętrze. Wszystko wyglądało w porządku: ani śladu roślin, zwierząt czy pleśni, jaką przywlokła ze sobą pierwsza ekspedycja na Księżyc.

— Naprawdę sądzisz, że to wszystko jest potrzebne? — zapytał młodszy inspektor. Poprosił już, by przeniesiono go do Kontroli Lotów.

— Z pewnością — powiedział starszy. — Nie da się przewidzieć, co mogą przywlec ze sobą te wyprawy.

— Chyba tak — zgodził się młodszy. — Ale przecież marsjańskie istoty nie zdołałyby nawet wyżyć na Ziemi, prawda?

— Skąd mam wiedzieć? — rzekł starszy inspektor. — Nie jestem biologiem. Może one też o tym nie wiedzą.

— To chyba jest marnowanie... hej!

— Co takiego?

— Zdawało mi się, że coś zobaczyłem — odparł asystent. — Coś trochę podobnego do tych chrząszczy na palmach.

Starszy inspektor poprawił respirator na twarzy i gestem kazał asystentowi zrobić to samo. Zbliżył się z wolna do półki i odczepił drugą dyszę ze zbiornika ciśnieniowego na plecach. Włączył ją, a z dyszy wydobył się obłok zielonkawego gazu.

— I już — powiedział starszy inspektor. — To powinno załatwić twojego owada. — Klęknął i zajrzał pod półkę. — Nic tu nie ma.

— Prawdopodobnie jakiś cień — rzekł asystent.

Spryskali całe wnętrze statku, zwracając szczególnie uwagę na małe pudełko z marsjańskimi artefaktami. Zostawili wnętrze wypełnione gazem i znowu zaryglowali luk.

— I co teraz? — spytał asystent.

— Teraz statek pozostanie szczelnie zamknięty przez trzy dni — odpowiedział starszy inspektor. — Potem znowu go skontrolujemy. Znajdź mi zwierzę, które przeżyłoby to wszystko.

Quedak, który przywarł do spodniej strony buta asystenta, między obcasem a podeszwą, odczepił się teraz. Obserwował, jak dwunogie istoty oddalają się, rozmawiając swymi dudniącymi, niezrozumiałymi głosami. Czuł się zmęczony i niewypowiedzianie samotny.

Podtrzymywała go jednak myśl o misji. Tylko to się liczyło. Pierwsza część została wykonana — bezpiecznie wylądował na zamieszkanym planecie. Teraz potrzebował picia i jedzenia. Potem musi porządnie wypocząć, by odzyskać swe uśpione zdolności. Następnie będzie gotów przekazać temu światu coś, czego ten świat w tak widoczny sposób potrzebował — współpracy możliwej tylko za pośrednictwem umysłu Quedaka.

Popęłnął wolno przez cieniste podwórze, obok opuszczonych kadłubów statków kosmicznych. Doszedł do drucianego ogrodzenia i poczuł, że jest ono pod wysokim napięciem. Zmierzył starannie odległość i bezpiecznie przeskoczył przez jeden z otworów w metalowej siatce.

Znalazł się w zupełnie innej sekcji. Stąd Quedak czuł zapach wody i pożywienia. Poszedł pośpiesznie do przodu i zatrzymał się.

Wyczuł obecność człowieka. I jeszcze czegoś. Czegoś znacznie bardziej groźnego.

— Kto tam jest? — zawołał wartownik. Czekał z rewolwerem w jednej ręce, z latarką w drugiej. W zeszłym tygodniu na teren wdarli się złodzieje. Ukradli trzy skrzynki części komputerowych przeznaczonych do wysyłki do Rio de Janeiro. Dzisiaj był przygotowany na taki przypadek.

Szedł naprzód — stary, bystrooki mężczyzna z rewolwerem w pewnej jak skała dłoni. Światło latarki błędziło żółtym kręgiem wśród ładunków, migało na wielkim stosie precyzyjnych urządzeń dla Południowej Afryki, na sprzęcie do odsalania wody dla Jordanii, po stercie rozmaitych towarów dla Rabaul.

— Lepiej wychodź! — krzyknął wartownik. Światło latarki omiatało worki ryżu dla Szanghaju i piły mechaniczne dla Birmy. A potem świetlny promień nagle się zatrzymał.

— Niech mnie diabli — rzekł wartownik. Potem zaśmiał się. W promień jego latarki wpatrywał się ogromny, czerwonooki szczur. Trzymał w pysku coś, co wyglądało na niezwykle wielkiego karalucha.

— Smacznego — rzekł wartownik. Schował rewolwer do kabury i kontynuował obchód.

Quedaka złapało wielkie czarne zwierzę i czuł, jak na grzbiecie zaciskają mu się ciężkie szczęki. Próbował walczyć, ale oślepiiony żółtym światłem uległ całkowitej, obezwładniającej dezorientacji.

Żółte światło oddaliło się. Czarna bestia wciąż mocno gryzła opancerzony grzbiet Quedaka. Ten zebrał jednak wszystkie siły, jakie mu pozostały, rozwinął swój długi, wieloczłonowy jak u skorpiona ogon i machnął nim do tyłu.

Nie trafił, ale czarne zwierzę natychmiast go puściło. Obchodzili się w koło: Quedak z podniesionym ogonem gotował się do zadania następnego ciosu, zwierzę natomiast nie chciało zrezygnować ze zdobyczy.

Quedak, podniecony, wyczekiwał sposobności. To wojownicze zwierzę mogło być pierwszą istotą na tej planecie, która zetknie się z jego misją. To niepozorne stworzenie może stać się początkiem...

Bestia skoczyła, kłapiąc wściekle białymi zębami. Quedak usunął się z drogi. Uderzył swym zakończonym kolcem ogonem, wbijając go w grzbiet zwierzęcia. Bestia skakała i kręciła się, ale Quedak trzymał ją mocno. Ustabilizował swe odnóża i skupił się na zasadniczym zadaniu — przepompowania drobnego białego kryształka wzdłuż ogona pod skórę bestii.

Ta najważniejsza funkcja Quedaka wciąż jednak była uśpiona. Quedak, niezdolny dokonać czegokolwiek, zwolnił swoje kolce i celując starannie wprowadził żądło dokładnie między czarne oczy zwierzęcia. Zgodnie z przewidywaniami cios okazał się śmiertelny.

Pożywił się ciałem martwego wroga. Czynił to niechętnie, gdyż był raczej roślinożercą. Kiedy skończył, czuł rozpaczliwą potrzebę długiego wypoczynku. Dopiero wtedy odzyska pełną potęgę Quedaka.

Przepelznął w dół i w górę po stosach towarów, szukając miejsca na kryjówkę. Starannie zbadał kilka pak. W końcu dotarł do piramidy ciężkich pudeł. Jedno z nich miało szparę akurat dostatecznej szerokości.

Quedak wpelznął do środka po błyszczącej, śliskiej od oleju powierzchni maszyny, a potem dalej do odległego końca pudła. Tu zapadł w sen, pozbawiony marzeń sennych, bezbronny sen Quedaka, radośnie ufając temu, co miała przynieść przyszłość.

Część druga

I

Wielki szkuner pod żaglami gaflowymi statecznie jak pociąg ekspresowy zmierzał do otoczonej rafami wyspy Żagle łopotały w silnych podmuchach bryzy północno–zachodniej, a zardzewiały diesel Allisona–Chambersa dudnił pod teakową kratownicą. Szyper i mat stali na mostku i obserwowali zbliżające się rafy.

— Jest już coś? — zapytał szyper.

Był to barczysty łysiejący mężczyzna, o twarzy wiecznie nachmurzonej. Już dwadzieścia pięć lat żeglował swoim szkunerem wśród nie zaznaczonych na mapie płycizn i raf południowo–zachodniego Pacyfiku. Niepokoił się, ponieważ jego stary statek nie spełniał warunków koniecznych do ubezpieczenia go. Ładunek jednak był ubezpieczony. Jego część pochodziła aż z Ogdenville, tego ośrodka spedycyjnego na pustyni, gdzie lądowały statki kosmiczne.

— Zupełnie nic — odrzekł mat.

Obserwował oślepiająco białą ścianę koralu, wypatrując niebieskiego błysku, który świadczyłby o wąskim przejściu do wewnętrznej laguny. Była to jego pierwsza podróż na Wyspy Salomona. W Sydney zajmował się reperowaniem telewizorów, nim dopadła go gorączka podróży. Teraz zastanawiał się, czy szyper przypadkiem nie zwariował i nie zaplanował spektakularnego samobójstwa na rafach.

— Wciąż nic! — krzyknął. — Przed nami mielizny!

— Ja poprowadzę — rzekł szyper do sternika. Złapał za koło sterowe i przyglądał się nieprzerwanej ścianie rafy koralowej.

— Nic — rzekł mat. — Lepiej zawróćmy, szefie.

— Nie możemy, jeśli mamy przedostać się przez przejście.

Zaczynał się martwić. Obiecał dostarczyć towary amerykańskim poszukiwaczom skarbów na tej wyspie, a słowo szypra zobowiązywało. Pobrał ładunek w Rabaul i miał za sobą zwykle przystanki na Nowej Georgii i Malaicie. Kiedy tutaj skończy, może oczekiwać miłego tysięczmilowego rejsu na Nową Kaledonię.

— Jest! — krzyknął mat.

W ścianie koralowej pojawiła się wąska niebieska szczelina. Obecnie znajdowali się od niej jakieś trzydzieści metrów, a stary szkuner robił prawie osiem węzłów.

Kiedy statek wchodził w przejście, szyper zakreślił mocno sterem. Szkuner obrócił się na kilu. Korał zamigotał po obu stronach, w zasięgu ręki. Rozległ się metaliczny zgrzyt, gdy górna rozporoka głównego masztu zawadziła o skały i wypadła. Potem byli już w przesmyku, walcząc z sześciowęzłowym prądem.

Mat włączył diesla na pełną moc, potem następnie pomoc szyprowi w zmaganiach z kołem sterowym. Z postawionymi żaglami i z włączonym silnikiem szkuner przeciskał się przez przesmyk, zawadzając lewą burtą o występy rafy. Wpłynął wreszcie na spokojną powierzchnię laguny.

Szyper wytarł czoło wielką niebieską bandaną.

— Dobra robota — rzekł.

— Precyzyjna! — krzyknął mat. Odwrócił się, a szyper uśmiechnął się lekko.

Przepełnęli obok zakotwiczonego małego kecza. Tubylcza załoga szkunera zwinęła żagiel i statek przycumował dziobem do chwiejnego mola wystającego z plaży. Liny przywiązano do palm. Z dżungli na brzegu wyszedł biały, żwawo maszerując w południowym upale.

Był to mężczyzna bardzo wysoki i chudy z wystającymi kolanami i łokciami. Ogniste słońce Melanezji wypaliło go, lecz nie opaliło. Z nosa i z policzków schodziła mu skóra. Rogowe okulary, złamane przy zawiasie, zreperowano kawałkiem taśmy. Wyglądał jak chłopiec, pełen entuzjazmu i naiwnej ciekawości.

Strasznie typowy poszukiwacz skarbów, pomyślał mat.

— Cieszę się, że was widzę! — zawołał mężczyzna. — Już prawie sądziliśmy, żeście się zgubili.

— To byłoby mało prawdopodobne — rzekł szyper. — Panie Sorensen, chciałbym, by poznał pan mego nowego mata, pana Willisa.

— Bardzo mi miło, profesorze — rzekł mat.

— Nie jestem profesorem — rzekł Sorensen — ale dziękuję.

— Gdzie pozostali? — zapytał szyper.

— Tam, w dżungli — odpowiedział Sorensen. — Wszyscy prócz Drake'a, a on będzie tu wkrótce. Zostaniecie przez pewien czas, prawda?

— Tylko na okres wyładunku — rzekł szyper. — Musimy złapać odpływ. Jak idzie poszukiwanie skarbów?

— Dużo kopaliśmy — stwierdził Sorensen.

— Wciąż nie tracimy nadziei.

— Ale nie ma dublonów? — zapytał szyper. — Ani złotych ósmaków?

— Ani jednego — odparł z rezygnacją Sorensen. — Czy przywiózł pan gazety, szyprze?

— Owszem. Są w kabinie. Czy słyszeliście o drugiej wyprawie na Marsa?

— Słyszeliśmy na krótkofalówce — odrzekł Sorensen. — Nie przywieźli wiele, prawda?

— Praktycznie nic. A jednak tylko pomyślcie. Dwa statki na Marsa, a słyszałem, że są już gotowi wysłać jakiś na Wenus.

Trzej mężczyźni popatrzyli wokół i uśmiechnęli się.

— Cóż — rzekł szyper — chyba era kosmiczna nie dotarła jeszcze na Południowy Pacyfik. A z pewnością nie dotarła do tego miejsca. Chodźmy, wyładujemy cargo.

„To miejsce” — to wyspa Vuanu, najbardziej wysunięta na południe z Wysp Salomona, prawie już należąca do Luizjadów spora wyspa wulkaniczna, długa na ponad trzydzieści kilometrów i na kilkanaście kilometrów szeroka. Kiedyś leżało na niej ze sześć wiosek tubylczych, ale w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku ludność zaczęła się zmniejszać po napaściach łowców niewolników. Następnie epidemia odry zabrała prawie całą resztę, a ci, którzy przeżyli, wyemigrowali na Nową Georgię. W czasie drugiej wojny światowej umieszczono tu stację obserwacyjną dla statków, ale żadne statki tędy nie przepływały. Japońska inwazja przelała się przez Nową Gwineę, górne Wyspy Salomona i dalej na północy przez Mikronezję. Przy końcu wojny Vuanu była nadal opuszczona. Nie przekształcono jej w rezerwat dla ptaków — jak wyspę Canton — ani w stację dla wzmacniaczy kabli — jak Wyspę Bożego Narodzenia — ani w stację tankowania jak Cocos-Keeling. Vuanu była bezwartościowym, wilgotnym, pokrytym dżunglą kawałkiem lądu, dostępnym dla każdego, kto chciał.

William Sorensen, naczelnny dyrektor sieci sklepów z alkoholem w Kalifornii, uznał, że chce.

Sorensen miał hobby — poszukiwanie skarbów. Szukał skarbów Lafitte’a w Luizjanie i Teksasie, a Kopalni Zagubionego Holendra — w Arizonie. Nie znalazł nic. Miał więcej szczęścia na pokrytych wrakami wybrzeżach Zatoki, a w czasie ekspedycji na Rafę Sztyletową na Karaibach znalazł dwie garściehiszpańskich monet w zbutwiałym płóciennym worku. Monety były warte około trzech tysięcy dolarów. Ekspedycja kosztowała znacznie więcej, ale Sorensen czuł się szczerze wynagrodzony.

Przez wiele lat interesował się *Świątą Teresą*, hiszpańskim galeonem przewożącym skarby. Z osiemnastowiecznych relacji wynikało, że statek, silnie obciążony sztabami złota, wypłynął z Manili w 1689 roku. Niezgrabny statek, schwytyany przez sztorm, zdryfował na południe i wpadł na rafę. Osiemnastu rozbitków zdołało wydostać się na brzeg zabierając skarb. Zakopali go i wyruszyli na Filipiny w szalupie. Do Manili dotarło dwóch z nich. Wyspa skarbów została wstępnie zidentyfikowana jako jedna z Wysp Salomona. Ale która?

Nikt nie wiedział. Łowcy skarbów szukali kryjówki na Bougainville i Buce. Pogłoski o skarbie słyszano na Malaicie, a nawet jedna z ekspedycji bawiła na Ontong Java. Ale skarbów nie

znaleziono.

Sorensen, zbadawszy dokładnie problem, doszedł do wniosku, że *Święta Teresa* minęła Wyspy Salomona, dopływając prawie do Luizjadów. Statek początkowo musiał jakoś uniknąć zniszczenia, zanim rozbił się na rafach Vuanu.

Sorensen mógłby jedynie marzyć o znalezieniu tego skarbu, gdyby nie spotkał Dana Drake'a. Drake także był poszukiwaczem skarbów, a co ważniejsze — posiadał osiemnastometrowy kecz.

Przy wieczornych drinkach narodziła się ekspedycja na Vuanu.

Zwerbowano dodatkowych członków. Kecz Drake'a został doprowadzony do stanu morskiej gotowości. Zaoszczędzono i zebrano pieniądze i sprzęt. Zbadano kilka innych możliwych miejsc na południowym Pacyfiku. W końcu zsynchronizowano czas urlopów i ekspedycja wyruszyła.

Na Vuanu pracowali już trzy miesiące. Morale było wysokie mimo nieuniknionych konfliktów między członkami ekspedycji. Po odpłynięciu tego szkunera, który przywiózł dostawy z Sydney i Rabaul, nie będą mieli żadnych kontaktów z cywilizacją w ciągu najbliższych sześciu miesięcy.

Sorensen nerwowo nadzorował załogę szkunera przenoszącą ładunek. Nie chciał, żeby uszkodził się sprzęt, którego niektóre elementy przesyłano z odległości dziesięciu tysięcy kilometrów. Nie można już było dokonać żadnych zamian; jeśli czegoś nie mieli, będą musieli sobie poradzić bez tego. Westchnął z ulgą, kiedy ostatnia skrzynia, zawierająca wykrywacz metali, została bezpiecznie przeniesiona przez burtę i umieszczona powyżej znaku najwyższego poziomu wody.

W wyglądzie tej skrzyni było coś dziwnego. Przyjrzał się jej dokładniej i znalazł prawie centymetrową dziurę przy jednym z rogów. Skrzynia nie była należycie zamknięta.

Obok stanął Dan Drake, współkierownik ekspedycji.

— Coś nie gra? — zapytał.

— W tej skrzyni jest dziura — rzekł Sorensen. — Woda morska mogła się dostać do środka. Będziemy się mieli z pyszna, jeśli wykrywacz nie będzie działać.

Drake skinął głową.

— Lepiej otwórzmy ją i zobaczmy.

Drake był niskim opalonym mężczyzną o szerokiej klatce piersiowej, krótko przystrzyżonych czarnych włosach i rzadkich wąsach. Nosił starą żeglarską czapkę, naciągniętą tuż nad oczy, co nadawało jego twarzy wyraz zaciętego buldoga. Odpiął od pasa wielki śrubokręt i wsunął go w szczelinę.

— Poczekaj chwilę — wstrzymał go Sorensen. — Zanieśmy to najpierw do obozu. Łatwiej jest nieść skrzynię niż pokryte smarem urządzenie.

— Słusznie — rzekł Drake. — Weź z drugiej strony.

Obóz zbudowano na polanie sto metrów od plaży, na miejscu opuszczonej wioski tubylczej. Naprawiono strzechy kilku szałasów. W starym pokrytym blachą magazynie na kopkę składowano sprzęt i zapasy. Miejsce miało ponadto tę zaletę, że dochodził tutaj powiew od morza. Za polaną jak ściana wyrastała szarozielona dżungla.

Sorensen i Drake postawili skrzynkę na ziemi. Szyper, który towarzyszył im niosąc gazety, spojrzał na ponure szałas i potrząsnął głową.

— Czy chciałby pan się czegoś napić? — spytał Sorensen. — Niestety, nie możemy zaproponować panu lodu.

— Z przyjemnością — rzekł szyper. Zastanawiał się, co tych poszukiwaczy wyimaginowanych hiszpańskich skarbów sprowadzało w takie zakazane miejsca.

Sorensen przyniósł z szałasu butelkę szkockiej i blaszany kubek. Drake wyjął śrubokręt i z animuszem odrywał deski skrzyni.

— No i jak? — spytał Sorensen.

— Wszystko w porządku — odpowiedział Drake, delikatnie unosząc wykrywacz do metali. — Solidnie nasmarowany. Chyba nie odniósł żadnych...

Odskoczył. Szyper postąpił krok naprzód i nadepnął mocno na piasek.

— Co się stało? — spytał Sorensen.

— Wyglądało to jak skorpion — rzekł szyper. — Draństwo wypełzło prosto z waszej skrzynki. Mógłby was ugryźć.

— Jeszcze jednego drinka?

— Już nie mogę — odrzekł z żalem szyper. — Lepiej będę ruszał. Wszyscy jesteście zdrowi?

— Jak dotychczas nikt nie zachorował — stwierdził Sorensen. Uśmiechnął się. — Jeśli nie liczyć kilku ciężkich przypadków gorączki złota.

— Nigdy nie znajdziecie tutaj złota — stwierdził szyper poważnie. — Zajrzę do was za jakieś sześć miesięcy. Powodzenia.

Wymienili uściski dłoni. Szyper poszedł na plażę i wsiadł na swój statek. Kiedy niebo zaróżowiło się od zachodzącego słońca, szkuner był już na morzu. Sorensen i Drake obserwowali, jak pokonuje przesmyk. Przez kilka minut jego maszty rysowały się nad rafą. Potem zniknęły za horyzontem.

— I to już wszystko — rzekł Drake. — Znowu jesteśmy sami, szaleni amerykańscy poszukiwacze skarbów.

— Nie sądzisz, że on coś podejrzuje? — spytał Sorensen.

— Z pewnością nie. Uważa, że wszyscy jesteśmy świrnięci.

Znacząco spojrzeli na obóz. Pod szopą do kopry znajdowało się prawie pięćdziesiąt tysięcy dolarów w złotych i srebrnych sztabach. Wykopali je w dżungli i starannie znów zasypali. Znaleźli część skarbu *Świętej Teresy* już w pierwszym miesiącu pobytu na wyspie. Wszystko wskazywało, że to dopiero początek. Ponieważ nie mieli żadnych prawnych tytułów do ziemi, nie śpieszyli się z ogłaszaniem wiadomości o skarbie, gdyż wszyscy spragnieni złota włóczędzy, od Perth po Papetee, zlecieliby się na Vuanu.

— Chłopaki zaraz się zjawią — rzekł Drake. — Nastawmy jakąś zupę.

— Dobra — rzekł Sorensen. Zrobił kilka kroków i zatrzymał się. — To dziwne.

— Co takiego?

— Ten skorpion, co go zgniół szyper. Nie ma go.

— Może szyper nie trafił — wysunął przypuszczenie Drake. — A może po prostu wgniół go w piasek. Jakie to ma znaczenie?

— Chyba żadnego — zgodził się Sorensen.

II

Edward Eakins maszerował przez dżunglę z łopata na ramieniu. Ssał w zamyśleniu kawałek cukierka. To pierwszy cukierek od tygodni i Eakins w pełni się nim rozkoszował. Był w bardzo dobrym humorze. Wczoraj szkuner przywiózł nie tylko części zamienne, ale również cukierki, papierosy i żywność; Edward zjadł dziś jajecznicę i prawdziwy bekon. Ekspedycja stawała się prawie cywilizowana.

Coś zaszeleściło w pobliskich krzakach. Edward maszerował dalej, nie zwracając na to uwagi.

Był to szczupły niebieskooki blondyn; miły, rozlazły i szorstki w obejściu. Czuł się bardzo szczęśliwy, że wzięto go na tę ekspedycję. Jego stacja benzynowa nie dawała takiego dochodu, jaki mieli inni członkowie, i nic zdołał zgromadzić pełnego wkładu. Wciąż czuł winę z tego powodu. Zaakceptowano go, ponieważ był dobrym i chętnym poszukiwaczem skarbów i wiedział, jak zachowywać się w dżungli. Oraz, co równie ważne, był wykwalifikowanym radiooperatorem i mechanikiem. Utrzymywał nadajnik na łodzi w stanie ciągłej używalności pomimo wody morskiej i pleśni.

Oczywiście, obecnie mógł już zapłacić pełną składkę. Ale teraz kiedy praktycznie byli bogaci, to

się nie liczyło. Chciałby, znaleźć jakiś sposób, w który...

W zaroślach znowu rozległ się ten sam dźwięk.

Eakins zatrzymał się i czekał. Krzaki zadrżały. I wyszła z nich mysz.

Eakins zdumiał się. Myszy na wyspie, jak większość dzikich zwierząt, bały się ludzi. Choć zjadały odpadki z obozu — jeśli szczury nie zrobiły tego pierwsze — unikały one starannie wszelkiego kontaktu z człowiekiem.

— Lepiej idź do domu — poradził Eakins myszy.

Mysz gapiła się na niego. On gapił się na mysz. Brunatnobrązowa dość mała myszka miała nie więcej niż dwanaście centymetrów długości. Nie wyglądała na przestraszoną.

— Do widzenia, myszko — rzekł Eakins. — Mam robotę.

Przesunął łopatę na drugie ramię i odwrócił się, by odejść. I wtedy zobaczył kątem oka brązową smugę. Uchylił się instynktownie. Mysz przeleciała obok niego, obróciła się i gotowała do następnego skoku.

— Myszo, oszalałaś?

Mysz wyszczerzyła drobne zęby i skoczyła. Eakins machnięciem ręki odrzucił ją na bok.

— A teraz wynoś się stąd do diabła — rzekł.

Zaczynał się zastanawiać, czy gryzoń zwariował. Może one chorują na wściekliznę?

Mysz szykowała się do następnego ataku. Eakins zdjął łopatę z ramion i czekał. Kiedy mysz skoczyła, trafił ją dokładnie wymierzonym ciosem. Potem, czując wyrzuty sumienia, zatłukł ją na śmierć.

— Nie możemy pozwolić, by biegały tu wściekłe myszy.

Ale mysz nie wyglądała na wściekłą. Raczej na bardzo zdecydowaną.

Eakins podrapał się w głowę. Co, u licha, zastanawiał się, wstąpiło w tę małą mysz?

Wieczorem, w obozie, historię Eakinsa powitały wybuchy śmiechu. To było w stylu Eakinsa — stać się celem ataku myszy. Kilku mężczyzn zasugerowało, by nosił ze sobą broń, na wypadek gdyby rodzina myszy chciała się zemścić. Eakins tylko nieśmiało się uśmiechał.

Dwa dni później Sorensen i Al Cable kończyli poranną ciężką pracę w Punkcie 4, trzy kilometry od obozu. Wykrywacz metali wskazywał w tym miejscu znaczną aktywność. Wykopali już dwumetrowy dół i nic z niego nie wydostali z wyjątkiem wysokiego pagórka żółtobrązowej ziemi.

— Wykrywacz musi się mylić — stwierdził Cable, ocierając ze zmęczeniem twarz. Był to wysoki różowy mężczyzna. Na Vuanu stracił dziesięć kilogramów, dostał nieprzyjemnych potówek i na całe życie miał już dosyć poszukiwania skarbów. Żałował, że nie jest znowu w Baltimore i nie prowadzi swojego składu używanych samochodów. Mówił o tym często i nawet głośno. Był jedynym niezadowolonym uczestnikiem ekspedycji.

— Wykrywacz jest w porządku — rzekł Sorensen. — Kłopot polega na tym, że kopujemy w podmokłym gruncie. Skrzynia musiała opaść na dół.

— Jest pewnie ze sto metrów pod powierzchnią — stwierdził Cable, dźgając gniewnie kleisty grunt.

— Nie — odparł Sorensen. — Pod nami, nie głębiej niż siedem metrów leży skała wulkaniczna.

— Siedem metrów? Powinniśmy wziąć spychacz.

— Mogłoby drogo wypaść sprowadzenie go tutaj — rzekł łagodnie Sorensen. — Chodź, Al, wróćmy do obozu.

Sorensen pomógł Cable'owi wydobyć się z wykopu. Oczyścili narzędzia i ruszyli ku wąskiej ścieżce wiodącej do obozu. Zatrzymali się nagle.

Wielki brzydki ptak wyszedł z zarośli. Stał na ścieżce, tarasując przejście.

— Co to jest, do cholery? — spytał Cable.

— Kazuar — rzekł Sorensen.

— Cóż, wykopmy go z drogi i zabierajmy się.

— Spokojnie — rzekł Sorensen. — Jeśli ktoś tu będzie kopał, to ten ptak. Idź powoli do tyłu.

Czarny, podobny do strusia kazuar mierzył prawie półtora metra. Stał prosto na mocnych nogach. Każda stopa zaopatrzona była w trzy palce zakończone potężnymi szponami. Miał żółtawą kościstą głowę i krótkie, bezużyteczne skrzydła. Z szyi zwisały mu jaskrawe, czerwono-zielono-fioletowe korale.

— Czy jest niebezpieczny? — spytał Cable. Sorensen skinął głową.

— Zdarzało się, że ptaki te skopały na śmierć tubylca na Nowej Gwinei.

— Dlaczego wcześniej ich nie spotkaliśmy? — zapytał Cable.

— Na ogół są bardzo nieśmiałe — wyjaśnił Sorensen. — Trzymają się jak najdalej od ludzi.

— Ten z pewnością nie jest nieśmiały — stwierdził Cable, kiedy kazuar postąpił ku nim krok. — Nie mogliśmy pobiec?

— Ptak biega znacznie szybciej — rzekł Sorensen. — Nie masz ze sobą przypadkiem pistoletu?

— Jasne, że nie. Nie było do czego strzelać.

Wycofując się ustawili łopaty jak dzidy. Krzaki zatrzeszczały i wyłonił się z nich mrówkojad. Za nim wyszła dzika świnia. Troje zwierząt otoczyło mężczyzn, podchodząc coraz bliżej, spychając ich w kierunku gęstej ściany dżungli.

— Zaganiają nas — rzekł Cable piskliwym głosem.

— Nie przejmuj się — starał się go pocieszyć Sorensen. — Wciąż musimy uważać tylko na kazuara.

— A czy mrówkojady nie są niebezpieczne?

— Tylko dla mrówek.

— Figę tam — odrzekł Cable. — Bill, zwierzęta na tej wyspie oszalały. Pamiętasz o myszy Eakinsa?

— Pamiętam — potwierdził Sorensen. Osiągnęli drugi brzeg polany. Zwierzęta, z kazuarem w środku, wciąż następowały. Za plecami mieli dżunglę, a w niej to, ku czemu ich zaganiano.

— Musimy spróbować się przedrzeć — oznajmił Sorensen. — Uważaj na jego stopy. Naprzód!

Pognali ku kazuarowi, wywijając łopatami. Kazuar zawahał się, nie mogąc wybrać ofiary. Potem zwrócił się ku Cable'owi, wyrzucając prawą nogę. Cios, częściowo odbity, plasnął jak uderzenie w mięso płazem tasaka. Cable stęknął i upadł, trzymając się za żebra.

Sorensen dźgnął łopatą i ostrą krawędzią prawie odciął kazuarowi głowę. Dzika świnia i mrówkojad zaatakowały. Zamachnął się łopatą, odganiając je. Potem z siłą, o której posiadanie zupełnie siebie nie podejrzewał, schylił się, zarzucił sobie Cable'a na ramiona i pobiegł po ścieżce.

Po kilometryr musiał się zatrzymać, pozbawiony tchu. Z tyłu nic słyszał żadnych dźwięków. Widocznie zwierzęta nie ścigały go. Zajął się rannym.

Cable powoli odzyskiwał przytomność. Mógł już iść, oparty na Sorensenie. Kiedy dotarli do obozu, Sorensen zwołał ogólne zebranie. Liczył obecnych, a Eakins oblepiał plastrem bok Cable'a. Brakowało tylko jednego.

— Gdzie jest Drake? — spytał Sorensen.

— Na rybach z drugiej strony wyspy, na Północnej Plaży — odrzekł Tom Recetich. — Przyprowadzić go?

Sorensen zawahał się.

— Nie. Najpierw wyjaśnię, z jakim przeciwnikiem się zetknęliśmy. Potem rozdamy strzelby. Dopiero wtedy poszukamy Drake’a.

— Co się dzieje, stary? — zapytał Recetich. Sorensen zaczął wyjaśniać, co zdarzyło się w Punkcie 4.

Znaczna część pożywienia ekspedycji pochodziła z połowów, a Drake bardzo lubił się tym zajmować. Początkowo wyruszał na łowy w masce, z miotaczem harpunów. Jednak w tym zakątku świata mnóstwo było głodnych, agresywnych rekinów, więc Drake z żalem zrezygnował z nurkowania i zwykle zarzucał linki z haczykami po bezwietrznej stronie wyspy.

Obecnie linki były już rozstawione, a Drake leżał pod palmą, na wpół drzemiąc z rękami złożonymi na piersiach. Jego pies, Oro, kręcił się po plaży w poszukiwaniu krabów pustelników. Oro był dobrodusznym psiakiem, mieszańcem airedale, terriera i jakiejś nieznanej rasy.

— Zostaw te kraby — zawołał Drake do psa, który na coś warczał. — Znowu cię uszczypną.

Oro ciągle warczał. Drake odwrócił się na bok i zobaczył, że pies stoi na sztywnych nogach nad wielkim owadem albo pajęczakiem, przypominającym skorpiona.

— Oro, zostaw tego cholernego...

Nim Drake zdołał się poruszyć, owad skoczył. Wylądował na szyi Ora i jak biczem machnął wielosegmentowym ogonem. Oro tylko raz zaskowyczał. Drake natychmiast zerwał się na nogi. Pacnął chrząszcza, ale ten zeskoczył z szyi psa i czmychnął w zarośla.

— Nie przejmuj się, stary — rzekł Drake. — Ta rana brzydko wygląda. Może być zatruta. Zaraz ją otworzymy.

Mocno przytrzymał dyszące zwierzę i wyciągnął nóż żeglarski. Operował kiedyś swego psa po ukąszeniu węża w Ameryce Środkowej, a w Airondacksach wyciągał mu kombinerkami z pyska kolce jeżozwierza. Pies zawsze wiedział, że mu się pomaga. Nigdy z tym nie walczył.

Tym razem jednak ugryzł.

— Oro! — Drake swobodną ręką złapał psa w miejscu, gdzie łączą się szczęki. Nacisnął mocno, zmuszając go do otwarcia pyska. Wyciągnął zeń rękę i odrzucił psa. Oro odwrócił się na nogi i znowu natarł.

— Stój! — krzyknął Drake.

Pies wciąż podchodził, zataczając koło, by dostać się między ocean a mężczyznę. Drake odwrócił się i zobaczył, jak chrząszcz wylazi z dżungli i pełźnie w jego kierunku. Pies obszedł Drake’a w koło i usiłował doprowadzić go do chrząszcza.

Drake nie rozumiał, co się dzieje, lecz uznał, że lepiej tego nie sprawdzać. Podniósł nóż i rzucił go w chrząszcza. Nie trafił. Chrząszcz był prawie w odległości swego skoku.

Drake pobiegł w stronę oceanu. Kiedy Oro próbował go zatrzymać, kopnięciem usunął psa z drogi i skoczył do morza.

Ruszył wplaw dokoła wyspy ku obozowi, mając nadzieję, że dotrze na miejsce, nim dopadną go rekiny.

III

W obozie strzelby i rewolwery wytarto pośpiesznie z wazeliny i rozdano ludziom. Wyjęto i wyregulowano lornetki. Podzielono szybko naboje, zapas noży, maczet i toporków. Dwa radiotelefony zostały rozpakowane i mężczyźni gotowali się na poszukiwanie Drake'a. Wtedy dostrzegli go — energicznie opływał cypel wyspy.

Wygramolił się na brzeg, zmęczony, lecz bez szwanku. Wymieniono dotychczasowe informacje; wnioski były nieprzyjemne.

— Czy chcesz przez to powiedzieć — spytał Cable — że wszystko organizuje ten chrząszcz?

— Na to wygląda — rzekł Sorensen. — Musimy założyć, że jakoś potrafi on kontrolować myśli. Może hipnotycznie lub telepatycznie.

— Musi najpierw uządlić — powiedział Drake. — Właśnie tak zrobił z Oro.

— Po prostu nie mogę sobie wyobrazić że zwykły skorpion robi to wszystko — powątpiewał Recetich.

— To nie skorpion — stwierdził Drake. — Widziałem go z bliska. Ma ogon jak skorpion, ale jego głowa jest prawie cztery razy większa i ciało jest inne. Z bliska nie przypomina niczego znajomego.

— Czy myślisz, że pochodzi z tej wyspy? — spytał Monty Byrnes, poszukiwacz skarbów z Indianapolis.

— Wątpię — odparł Drake. — Jeżeli jest stąd, dlaczego przez trzy miesiące zostawiał w spokoju nas i zwierzęta?

— Właśnie — rzekł Sorensen. — Wszystkie kłopoty zaczęły się zaraz po przybyciu szkunera. Szkuner musiał skądś to przywlec... Hej!

— Co takiego? — spytał Drake.

— Pamiętasz tego skorpiona, którego szyper próbował rozdeptać? Wyszedł ze skrzyni wykrywacza. Może to ten sam?

Drake wzruszył ramionami.

— Możliwe. Wydaje mi się, że nasz problem akurat w tej chwili nie polega na tym, by ustalić, skąd on pochodzi, ale co z nim zrobić.

— Jeśli potrafi sterować zwierzętami, to ciekawe, czy potrafi też sterować ludźmi? — zastanawiał się Byrnes.

Ale nikt mu nie udzielił odpowiedzi. Stanęli kołem obok szopy na koprę i dyskutując baczylili na wszelkie oznaki życia zwierzęcego.

— Lepiej poprośmy przez radio o pomoc — zaproponował Sorensen.

— Jeśli to zrobimy — stwierdził Recetich — ktoś dowie się o skarbie *Świętej Teresy*. Natychmiast nas zaleją.

— Być może — powiedział Sorensen. — Ale przynajmniej zwróciły się nam koszty. Mamy nawet niewielki zysk.

— A jeśli nie dostaniemy pomocy — poparł go Drake — może się okazać, że nie zdołamy stąd niczego wywieźć.

— Sytuacja nie wygląda aż tak źle — rzekł Byrnes. — Mamy pistolety. Możemy poradzić sobie ze zwierzętami.

— Nie widziałeś jeszcze chrząszcza — rzekł Drake.

— Rozdepczemy go.

— Nie będzie to łatwe — oświadczył Drake.

— Jest szybki jak cholera. I jak go rozdepczesz, jeśli przyjdzie do szalasu którejś nocy, podczas twego snu? Możemy wystawić wartowników, a oni nawet go nie zauważą.

Byrnes wstrząsnął się mimo woli.

— Taak, chyba masz rację. Może lepiej poprośmy przez radio o pomoc.

Eakins wstał.

— Cóż, chłopaki — rzekł. — Zabieram się do dzieła. Mam tylko nadzieję, że akumulatory na keczu są naładowane.

— Tam jest niebezpiecznie — rzekł Drake.

— Pociągniemy losy.

Eakins był rozbawiony.

— Losy? Ilu z was potrafi obchodzić się z nadajnikiem?

— Ja potrafię — rzekł Drake.

— Wybacz — rzekł Eakins — ale twoje kwalifikacje operatorskie są figę warte. Nie znasz nawet Morse'a, by nadawać telegraficznie. I czy umiałbyś naprawić nadajnik, gdyby nawalił?

— Nie — rzekł Drake. — Ale to wszystko jest zbyt ryzykowne. Wszyscy powinniśmy iść.

Eakins potrząsnął głową.

— Oslaniajcie mnie z plaży, tak będzie najbezpieczniej. Ten chrząszcz prawdopodobnie nie pomyślał jeszcze o keczu.

Eakins wetknął narzędzia do kieszeni i przymocował na ramieniu jeden z obozowych radiotelefonów. Drugi wręczył Sorensenowi. Pośpieszył po plaży obok szalupy i wepchnął na wodę małą dinghy. Uczestnicy ekspedycji rozproszyli się z bronią gotową do strzału. Eakins wszedł do dinghy i powiosłował przez spokojną lagunę.

Widzieli, jak przycumował do kecza, zatrzymał się na chwilę i rozejrzał. Potem wkroczył na pokład. Szybko odsunął luk i wszedł do środka.

— Wszystko w porządku? — spytał Sorensen.

— Jak dotychczas bez kłopotów — odpowiedział Eakins. Przez radiotelefon jego głos brzmiał cienko i ostro. — Jestem teraz przy nadajniku, włączam go. Potrzeba paru minut, zanim się nagrzeje.

Drake szturchnął łokciem Sorensena.

— Popatrz tam.

Na rafie, prawie zasłoniętej keczem, coś się ruszało. Przez lornetkę Sorensen zobaczył, jak do wody włączają trzy duże, szare szczury. Zaczęły płynąć w kierunku kecza.

— Ognia! — krzyknął Sorensen. — Eakins, wynoś się stamtąd.

— Uruchomiłem nadajnik — rzekł Eakins. — Potrzebuję ze dwie minuty, by wysłać wiadomość.

Kule powodowały białe bryzgi dokoła płynących szczurów. Jeden został trafiony; dwa pozostałe zdołały schować się za kecz. Sorensen obserwował rafę przez lornetkę. Zobaczył mrówkojada, który przeszedł rafę, a potem z pluskiem zsunął się do wody. Dzika świnia szła za nim.

W radiotelefonie rozległy się trzaski.

— Eakins, czy wysłałeś wiadomość? — krzyknął Sorensen.

— Nie wysłałem — odpowiedział Eakins. — Posłuchaj, Bill: nie wolno nam przysyłać żadnych wiadomości. Chrząszcz chce...

Przerwał nagle.

— O co chodzi? — spytał Sorensen. — Co się dzieje?

Eakins pojawił się na pokładzie, wciąż trzymając radiotelefon. Cofał się ku rufie.

— Kraby pustelniki — odpowiedział. — Wspięły się po linie kotwicznej. Popłynę do brzegu.

— Nie rób tego — rzekł Sorensen.

— Muszę to zrobić — odparł Eakins. — One prawdopodobnie pójda za mną. A wy wszyscy tu przyjdźcie i zabierzcie ten nadajnik. Zawieźcie go na brzeg.

Przez lornetkę Sorensen widział zwarty szary dywan krabów pustelników spływający pokładem i ściekami pokładowymi kecza. Eakins skoczył do wody. Zaczął płynąć gorączkowo do brzegu. Szczury zawróciły i ruszyły za nim. Kraby rojem spłynęły z pokładu, a mrówkojad i dzika świnka wzbijały pianę za Eakinsem, próbując go zawrócić, zanim dotrze do plaży.

— Chodźmy — polecił Sorensen. — Nie wiem, co wpadło do głowy Eakinsowi, ale lepiej zabierzmy nadajnik, dopóki jeszcze mamy szansę.

Pobiegli po plaży i spuścili szalupę na wodę. Dwieście metrów dalej Eakins dopłynął do brzegu, a zwierzęta tuż za nim. Wyrwał się do dżungli, ściskając wciąż radiotelefon.

— Eakins? — rzucił Sorensen do radiotelefonu.

— Ze mną wszystko w porządku — rzucił Eakins, z trudem łapiąc powietrze. — Weźcie nadajnik i nie zapomnijcie o bateriach!

Mężczyźni weszli na kecz. Oderwali nadajnik od grodzi i powlekli go po schodach kajuty. Drake szedł ostatni, dźwigając dwunastowoltową baterię. Zszedł znów na dół i wziął drugą baterię. Zawahał się chwilę i zszedł na dół po raz trzeci.

— Drake! — krzyknął Sorensen. — Zatrzymujesz nas!

Drake znowu się pojawił, niosąc obydwie namierniki i kompas. Podał je i zeskoczył do szalupy.

— W porządku — rzekł. — Ruszajmy.

Powiosłowali do brzegu. Sorensen usiłował ponownie nawiązać kontakt z Eakinsem przez radiotelefon, ale słyszał tylko trzaski. Potem, kiedy szalupa dopłynęła do brzegu, usłyszał głos Eakinsa.

— Otoczyli mnie — mówił bardzo spokojnie. — Chyba będę musiał sprawdzić, czego chce pan

Chrząszcz. Ale może uda mi się go zatłuc.

Nastąpiła dłuższa cisza. Potem Eakins odezwał się znowu:

— Teraz idzie ku mnie. Drake miał rację. Jestem pewien, że nigdy nie widziałem takiego owada. Mam zamiar utłuc to chol...

Usłyszeli, jak wrzasnął, bardziej ze zdziwienia niż z bólu.

— Eakins, słyszysz mnie? — zawołał Sorensen. — Gdzie jesteś? Czy możemy ci pomóc?

— On rzeczywiście jest szybki — rzekł Eakins, znowu swym zwykłym głosem. — Cholera, nigdy nie widziałem tak szybkiego chrząszcza. Skoczył mi na szyję, użądlił i znowu zeskokczył.

— Jak się czujesz? — zapytał Sorensen.

— Doskonale — odrzekł Eakins. — Ledwie czułem żądło.

— Gdzie jest teraz chrząszcz?

— Znowu w zaroślach.

— A zwierzęta?

— Odeszły. Wiecie — rzekł Eakins — może to nie działa na ludzi. Może...

— Co? — spytał Sorensen. — Co się tam teraz dzieje?

Nastąpiła cisza. Potem przez radiotelefon odezwał się głos Eakinsa niski i spokojny.

— Porozmawiamy z wami później — powiedział Eakins. — Musimy teraz odbyć konsultację. Podejmiemy decyzję, co z wami zrobić.

— Eakins!

Przy drugim radiotelefonie nikt nie odpowiadał.

IV

Po powrocie do obozu wśród mężczyzn panował nastrój głębokiego przygnębienia. Nie rozumieli, co stało się z Eakinsem i nie zamierzali spekulować na ten temat. Biały piasek odbijał żar palącego popołudniowego słońca. Wilgotna dżungla parowała i wydawało się, że podpełza w ich kierunku jak olbrzymi śpiący zielony smok, który osaczył ich przy obojętnym morzu. Lufy strzelb były gorące, a

woda w kanistrach ciepła jak krew. Nad głową zbierały się szare kumulusy. Zaczynał się okres monsunów.

Drake siedział w cieniu szałas. Odrętwienie mu minęło i teraz rozglądał się po obozie, analizując możliwości obrony. Patrzył na otaczającą dżunglę jak na terytorium wroga. Przed nim rozpościerał się pięćdziesięciometrowy pas terenu oczyszczonego przez ekspedycję. Być może zdołają obronić tę ziemię niczyją przez pewien czas.

Dalej stały szałas i pomieszczenie na koprę, ich ostatnia linia obrony przed plażą i morzem.

Członkowie ekspedycji sprawowali całkowitą władzę nad wyspą przez ponad trzy miesiące. Teraz zostali wyparci na mały i nędzny przyczółek.

Drake spojrział na lagunę. Nadal mają dostęp do jednej linii odwrotu. Jeśli chrząszcz z tą swoją przekłętą menażerią naciskałby zbyt mocno, mogli uciec w keczu. Przy odrobinie szczęścia.

Sorensen podszedł i siadł obok.

— Co robisz? — zapytał.

Drake uśmiechnął się kwaśno.

— Obmyślam naszą główną strategię.

— Na czym ona polega?

— Sądzę, że istnieje szansa — rzekł Drake. — Mamy masę amunicji. Jeśli trzeba, za pomocą benzyny uniemożliwimy dostęp do oczyszczonego terenu. Z pewnością nie pozwolimy, by ten chrząszcz wypchnął nas z wyspy. Trudno jednak będzie wykopywać skarb.

Sorensen skinął głową.

— Ciekaw jestem, czego chce ten owad.

— Może dowiemy się tego od Eakinsa — rzekł Drake.

Czekali pół godziny. Potem ozwał się głos Eakinsa. W radiotelefonie brzmiał ostro i piskliwie.

— Sorensen? Drake?

— Jesteśmy tu — odpowiedział Drake. — Co ci zrobiła ta cholerna pluskwa?

— Nic — odrzekł Eakins. — Mówicie teraz z tą pluskwą. Nazywam się Quedak.

— Boże — powiedział Drake do Sorensena. — Chrząszcz musiał go zahipnotyzować.

— Nie. Nie rozmawiacie z zahipnotyzowanym Eakinsem. Ani nie ze stworzeniem używającym

Eakinsa jako tuby. Mówicie do wielu osobowości tworzących jedność.

— Nie załapuję — przyznał Drake.

— To bardzo proste — odpowiedział głos Eakinsa. — Jestem Quedak, całość. Ale moja całość składa się z osobnych części: Eakinsa, kilku szczurów, psa o imieniu Oro, świni, mrówkojada, kazuara...

— Chwileczkę — rzekł Sorensen. — Pozwól mi to jasno sformułować. To nie z Eakinsem rozmawiam w tej chwili. Czy rozmawiam z Quedakiem?

— Tak jest.

— A ty sterujesz Eakinsem i innymi? Mówisz ustami Eakinsa?

— Zgadza się również. Ale to nie znaczy, że osobowości innych są unicestwione. Wprost przeciwnie: stan Quedaka jest federacją, w której różne części zachowują swoje nawyki, indywidualne potrzeby i pragnienia. Quedakowi jako całości dostarczają swej wiedzy, sił i specyficznego oglądu świata. Quedak jest centrum koordynującym i dowodzącym. Ale poszczególne elementy dostarczają wiedzy, poglądów oraz specjalnych umiejętności. I razem tworzymy Wielką Wspólnotę.

— Wspólnotę? — rzekł Drake. — Ale ty wymusiłeś to wszystko.

— Było to niezbędne na początku. W jakiż sposób inne stworzenia miałyby się dowiedzieć o Wielkiej Wspólnocie?

— Czy pozostałyby w niej, jeślibyś zrezygnował ze sterowania nimi? — spytał Drake.

— To pytanie jest bezsensowne. Tworzymy obecnie jedyną niepodzielną istotę. Czy twe ramię wróciłoby do ciebie, gdybyś je odciął?

— To nie to samo.

— To jest to samo — stwierdził głos Eakinsa. — Jesteśmy jednym organizmem. Wciąż rośniemy. I witamy was całą duszą w Wielkiej Wspólnocie.

— Niech ją diabli wezmą — rzekł Drake.

— Ale wy musicie się dołączyć — oświadczył Quedak. — Na tym polega Misja Quedaka: by skoordynować wszystkie stworzenia rozumne w jeden organizm zespołowy. Uwierzcie mi, zanik indywidualności, którą tak sobie cenicie, to niewielka strata. A zyskujecie o tyle więcej! Nowe punkty widzenia i szczególną wiedzę wszystkich pozostałych stworzeń. W ramach Quedaka w pełni uświadomicie sobie swoje możliwości...

— Nie!

— Przykro mi. Misja Quedaka musi zostać wypełniona. Nie połączycie się z nami dobrowolnie?

— Nigdy — odparł Drake.

— W takim razie my przyłączymy się do was — oświadczył Quedak.

Pstryknęło, kiedy wyłączył radiotelefon.

Na brzegu dżungli pojawiło się kilka szurów. Przystanęły na chwilę tuż za zasięgiem strzelb. W górze przeleciał rajski ptak, zawisając nad oczyszczonym terytorium jak samolot obserwacyjny. Ludzie popatrzyli na niego, a wtedy szury pobiegły naprzód szerokimi zygzakami.

— Strzelajcie — zawołał Drake. — Ale oszczędzajcie amunicję.

Mężczyźni zaczęli strzelać, ale trudno było celować w szury biegnące szybko na tle ciemnobrązowej ziemi. Prawie natychmiast do szurów dołączyło kilkanaście krabów pustelników. Poruszały się z nadzwyczajną zręcznością. Kiedy nikt na nie nie patrzył, szybko posuwały się naprzód i zamierały na neutralnym tle.

Ludzie zobaczyli, jak na brzegu dżungli pojawił się Eakins.

— Parszywy zdrajca — warknął Cable, podnosząc strzelbę.

Sorensen odepchnął lufę na bok.

— Nie rób tego.

— Ale on pomaga tej pluskwie!

— Został do tego zmuszony. Ponadto nie ma broni. Zostaw go w spokoju.

Eakins patrzył przez chwilę, a potem znowu roztopił się w dżungli.

Szury i kraby dotarły do połowy oczyszczonej przestrzeni. Nadal podchodziły i ludzie mogli celować dokładniej. Żadne stworzenie nie zdołało zbliżyć się bardziej niż na dwadzieścia metrów. A kiedy Recetich zestrzelił rajskiego ptaka, atak zaczął się załamywać.

— Myślę, że nam się uda — rzekł Drake.

— Miejmy nadzieję — rzekł Sorensen. — Nie rozumiem, czego chce Quedak. Wie przecież, że nie weźmie nas w ten sposób. Pomyślałbym...

— Hej! — zawołał jeden z mężczyzn — Nasza łódź!

Odwrócili się i zobaczyli, dlaczego Quedak prowadził ten atak. Kiedy oni pochłonięci byli odpieraniem napastników, pies Drake'a podpłynął do kecza i przegryzł linę kotwiczną. Kecz podryfował w kierunku rafy. Zobaczyli, jak uderza o rafę łagodnie, potem mocniej. Za chwilę, silnie

przechylony, utkwił w koralach.

Z radiotelefonu dobiegły trzaski. Sorensen podniósł go i usłyszał Quedaka:

— Kecz nie jest poważnie uszkodzony. Został tylko unieruchomiony.

— Figę prawda — warknął Drake. — Równie dobrze może mieć przebitą burtę. Jak chcesz wydostać się z wyspy, Quedak? Czy po prostu masz zamiar tutaj pozostać?

— Wyjadę we właściwym czasie — rzekł Quedak. — Po prostu chciałem zagwarantować, że wszyscy wyjedziemy stąd razem.

V

Wiatr ustał. Na południowoschodnim niebie zgromadziły się ogromne szare chmury burzowe. Ich szczyty pogrążone były w górnych warstwach atmosfery, a dolna część jak czarne kowadło naciskała na nieruchome, gorące powietrze wyspy. Słońce straciło swą ognistą jaskrawość. Czerwone jak wiśnia opadało apatycznie ku płaskiemu morzu.

Wysoko nad głową kołował pojedynczy rajski ptak, nieco powyżej zasięgu strzelb. Przyleciał dziesięć minut po tym, jak Recetich zestrzelił pierwszego.

Monty Byrnes stał na skraju oczyszczonego terenu z karabinem gotowym do strzału. Wylosował pierwszą zmianę na warcie. Pozostali mężczyźni jedli w szopie skleconą naprędce kolację. Sorensen i Drake wyszli na zewnątrz, oceniając ogólne położenie.

— Po zmroku będziemy musieli umieścić wszystkich znowu w szopie. Nie można narażać się na poczynania Quedaka w ciemności — stwierdził Drake.

Sorensen skinął głową. Wyglądał, jakby w ciągu tego jednego dnia postarzał się o dziesięć lat.

— Rankiem coś wykombinujemy — rzekł Drake. — Będziemy... Co się stało, Bill?

— Czy naprawdę uważasz, że mamy jakiegokolwiek szanse? — spytał Sorensen.

— Oczywiście. Mamy cholernie duże szanse.

— Bądź realistą. Im dłużej to się ciągnie, tym więcej zwierząt Quedak jest w stanie rzucić przeciw nam. Co możemy z tym zrobić?

— Wytropić go i zabić.

— Ta cholerna pluskwa jest mniej więcej wielkości twojego kciuka — rzekł Sorensen z irytacją.

— Jak możemy go wytropić?

— Wymyślimy coś — odparł Drake.

Zaczynał się martwić o Sorensena. I tak ogólny nastrój był wystarczająco podły, a Sorensen dodatkowo go pogarszał.

— Chciałbym, żeby ktoś zestrzelił tego cholernego ptaka — rzekł Sorensen spoglądając w górę.

Mniej więcej co kwadrans rajski ptak spadał w dół, by bliżej przyjrzeć się obozowi. Potem, zanim wartownik zdążył wystrzelić, wznosił się znów na bezpieczną wysokość.

— Również mnie zaczyna działać to na nerwy — oświadczył Drake. — Może właśnie on dlatego to robi. Za którymś razem...

Przerwał nagle. Z szopy rozległ się głośny szum radia. Usłyszeli głos Ala Cable'a.

— Halo, halo, mówi Vuanu, potrzebujemy pomocy.

Drake i Sorensen weszli do szopy. Cable siedział przed nadajnikiem i mówił do mikrofonu.

— Pilne, pilne. Mówi Vuanu, potrzebujemy...

— Co robisz, do cholery? — warknął Drake. Cable obejrzał się i spojrzał na nich. Jego kluchowate różowe ciało pokrywał pot.

— Wołam o pomoc, nie słyszysz? Myślę, że kogoś złapałem. Ale jeszcze mi nie odpowiedzieli.

Poprawił dostrojenie. Przez głośnik słyszeli znudzonego Brytyjczyka.

— D2 — d4, co? Dlaczego nigdy nie spróbujesz innego otwarcia?

Nastąpiły nagłe trzaski.

— Wykonaj ruch — mówił głęboki basowy głos. — Po prostu zamknij się i ruszaj.

— Dobra — odrzekł Brytyjczyk. — Skoczek na c6.

Drake rozpoznał te głosy. To radioamatorzy — krótkofalowcy. Jeden był właścicielem plantacji na Bougainville, drugi miał sklep w Rabaul. Co wieczór na godzinę wychodzili w eter, by pograć w szachy i posprzeczać się trochę.

Cable z niecierpliwością stuknął w mikrofon.

— Halo — rzekł — mówi Vuanu, jesteśmy w niebezpieczeństwie...

Drake podszedł i wyjął mikrofon z rąk Cable'a. Odłożył go ostrożnie.

— Nie możemy wzywać pomocy — rzekł.

— O czym ty mówisz? — krzyknął Cable. — Musimy ją wezwać.

Drake poczuł się bardzo zmęczony.

— Posłuchaj: jeśli wyślemy sygnał SOS, ktoś tu natychmiast przybędzie, ale nikt nie będzie przygotowany na te problemy, jakie tu mamy. Quedak przejmie tych ludzi, a potem użyje ich przeciw nam.

— Możemy wyjaśnić, na czym polega kłopot — zaproponował Cable.

— Wyjaśnić? Co wyjaśnić? Że pluskwa opanowuje wyspę? Pomyślą, że oszaleliśmy z gorączki. Wyślą doktora na małym szkunerze.

— Dan ma rację — rzekł Sorensen. — Nikt w to nie uwierzy, dopóki sam nie zobaczy.

— A wtedy będzie już za późno — stwierdził Drake. — Eakins zorientował się w tym, zanim dopadł go Quedak. Dlatego właśnie powiedział, byśmy nie wysyłali wiadomości.

Na twarzy Cable'a zarysowało się powątpiewanie.

— Ale dlaczego chciał, byśmy wzięli nadajnik?

— Żeby on sam nie mógł wysyłać żadnej wiadomości, kiedy pluskwa go dorwie — wyjaśnił Drake. — Im więcej ludzi będzie się tu włóczyć, tym łatwiej dla Quedaka. Gdyby miał do dyspozycji nadajnik, właśnie w tej chwili wzywałby pomocy.

— Taak, chyba tak — powiedział załamany Cable. — Ale do cholery sami nie damy sobie z tym rady.

— Musimy. Jeśli Quedak kiedyś nas dopadnie i wydostanie się z wyspy, koniec z Ziemią. Kropka. Nie będzie żadnych wojen, żadnych bomb wodorowych ani opadów radioaktywnych, znikną małe bohaterskie grupy oporu. Wszyscy staną się członkami Wspólnoty Quedaka.

— Musimy dostać jakąś pomoc — upierał się Cable. — Jesteśmy sami, izolowani. Przypuśćmy, że poprosimy statek, by zakotwiczył z dala od lądu...

— To się nie uda — rzekł Drake. — Ponadto nie możemy poprosić o pomoc, nawet gdybyśmy chcieli.

— Dlaczego?

— Nadajnik nie działa — wyjaśnił Drake. — Mówiłeś do martwego mikrofonu.

— Odbiera zupełnie dobrze — rzekł Cable. Drake sprawdził, czy wszystkie przełączniki są we właściwych pozycjach.

— Odbiornik jest w porządku. Ale musieliśmy coś rozłączyć, gdy wynosiliśmy nadajnik ze statku. Nie pracuje.

Cable postukał kilka razy w martwy mikrofon, a potem odłożył go. Stanęli nad odbiornikiem, przysłuchując się grze między mężczyzną w Rabaul i mężczyzną w Bougainville.

— D7 — d5

— E2 — e3

— Skoczek na f3.

Rozległy się urywane trzaski. Znikły, a potem znowu nadeszły w trzech wyraźnych seriach.

— Jak sądzisz, co to jest? — spytał Sorensen.

Drake wzruszył ramionami.

— To może być cokolwiek. Zbiera się burza i...

Przerwał. Stał przy drzwiach szopy. Kiedy radio zatrzeszczało, zobaczył, jak rajski ptak nurkuje, by obejrzeć obóz z bliska. Trzaski ustały, kiedy ptak powrócił na stałą wysokość, na której powoli krążył.

— Dziwne — zauważył Drake. — Widziałeś to, Bill? Ptak zszedł na dół i w tej samej chwili zaczęły się trzaski.

— Zauważyłem — rzekł Sorensen — Czy myślisz, że ma to jakieś znaczenie?

— Nie wiem. Popatrzmy.

Drake wyjął lornetkę polową. Zwiększył głośność i wyszedł na zewnątrz, skąd mógł obserwować dżunglę. Czekał, słysząc odgłosy gry w szachy rozgrywanej o pięćset czy sześćset kilometrów stąd.

— No, ruszaj się.

— Daj mi minutę.

— Minutę? Słuchaj, nie mogę całą noc tkwić przy tej cholerniej szachownicy. Decy...

Radio ostro zatrzeszczało. Drake zobaczył cztery dzikie świnie, poruszające się wolno niczym oddział zwiadowczy badający słabe miejsca w pozycjach nieprzyjaciela. Zatrzymały się — trzaski ustały. Byrnes stojący na straży ze strzelbą wypalił do nich. Świnie obróciły się i zaczęły wycofywać do lasu, a wtedy trzaski rozległy się ponownie. Przybrały na sile, kiedy nadleciał rajski ptak, a następnie wznosił się poza zasięg strzelby. Gdy trzaski ustały, Drake odłożył lornetkę i wrócił do szopy.

— To musi być to — rzekł. — Trzaski mają związek z Quedakiem. Włączają się chyba wtedy, gdy steruje zwierzętami.

— Chcesz powiedzieć, że w jakiś sposób steruje nimi przez radio? — spytał Sorensen.

— Na to wygląda — odpowiedział Drake.

— Albo steruje falami radiowymi, albo czymś, co roznosi się razem z tymi falami.

— Jeśli tak to funkcjonuje — rzekł Sorensen — to on jest jakby małą stacją nadawczą, prawda?

— Jasne, że tak. I co z tego?

— Więc możemy go zlokalizować za pomocą radiopelengatora — stwierdził Sorensen.

Drake entuzjastycznie skinął głową. Szczęknął wyłącznikiem odbiornika, poszedł w kąt i wyjął jeden z przenośnych namierników. Nastawił go na częstotliwość, na której Cable odebrał rozmowę między Rabaul a Bougainville. Potem odwrócił się i podszedł do drzwi.

Mężczyźni patrzyli, jak Drake manipuluje anteną pętlową. Zlokalizował maksimum sygnału, a potem obrócił powoli pętlę, przeczytał wskazanie i przeliczył je na azymut kompasu. Następnie usiadł nad małą mapą południowo-zachodniego Pacyfiku.

— No i co — spytał Sorensen — Czy to Quedak?

— To musi być on — rzekł Drake. — Zlokalizowałem dobre zero prawie dokładnie na południu. To prosto w dżungli.

— Jesteś pewien, że to nie są jakieś odbicia?

— Sprawdziłem to.

— A może sygnał pochodzi z innej stacji?

— Niemożliwe. Na południe następną stacją jest Sydney, a to jest trzy tysiące kilometrów stąd. O wiele za daleko dla tego namiernika. To na pewno Quedak.

— Więc mamy sposób zlokalizowania go — rzekł Sorensen. — Dwaj ludzie z namiernikami mogą wejść do dżungli...

— ...i dać się zabić — dokończył Drake. — Możemy namierzyć Quedaka, ale jego zwierzęta zlokalizują nas znacznie wcześniej. W dżungli nic mielibyśmy szans.

Na twarzy Sorensena odmalowało się przygnębienie.

— Więc nasza sytuacja jest równie zła jak przedtem.

— Znacznie lepsza niż przedtem — zaoponował Drake. — Teraz mamy szansę.

— Dlaczego tak myślisz?

— On steruje zwierzętami przez radio — stwierdził Drake. — Znamy używaną przez niego częstotliwość. Możemy nadawać na tej samej częstotliwości. Możemy zakłócić jego sygnały.

— Jesteś tego pewien?

— Czy jestem pewien? Oczywiście, że nie. Ale wiem, że dwie stacje w jednym obszarze nie mogą nadawać na tej samej częstotliwości. Jeśli dostroimy się do częstotliwości używanej przez Quedaka i zrobimy dostateczny szum, by zakłócić jego sygnał...

— Rozumiem — przerwał mu Sorensen. — To się może udać! Jeśli nałożymy się na jego sygnał, nie zdoła sterować zwierzętami. A wtedy wytropimy go namiernikami.

— O to właśnie chodzi — rzekł Drake. — Ma tylko jedną małą wadę: nasz nadajnik nie działa. Bez nadajnika nie możemy nic nadawać. Bez nadawania nic nie zagłuszemy.

— Umiesz to naprawić? — spytał Sorensen.

— Spróbuję — rzekł Drake. — Ale lepiej nie spodziewajmy się za dużo. W naszej ekspedycji to Eakins był specem od radia.

— Mamy wszystkie części zamienne — rzekł Sorensen. — Lampy, opisy techniczne i użytkowe, wszystko.

— Wiem o tym. Dajcie mi trochę czasu i znajdę uszkodzenie. Problem polega na tym, jak wiele czasu da nam Quedak.

Jasnomiedziany dysk słońca zanurzył się do połowy w morzu. Kolory zachodu powlekły spiętrzone chmury burzowe i roztopiły się w tropikalnym półmroku. Mężczyźni zaczęli barykadować szopę na noc.

VI

Drake zdjął tylną ściankę nadajnika i nachmurzył się widząc zwartą masę lamp i przewodów. Te metalowe pudełka to prawdopodobnie kondensatory, a nawoskowane cylindry — chyba oporniki. Wszystko to wydawało się beznadziejnie skomplikowane, dziwnie upchane i delikatne. Od czego zacząć?

Włączył aparat i odczekał kilka minut. Lampy najwyraźniej działały; niektóre świeciły słabo, inne jasno. Nie widział żadnych wiszących swobodnie drutów. Mikrofon wciąż nie funkcjonował.

Pytanie, czy odbiornik dostaje dosyć zarcia?

Drake wyłączył aparat i sprawdził baterie woltomierzem. Były naładowane. Zdjął zaciski baterii, oczyścił je i znowu nałożył, upewniając się, czy dokładnie przylegają. Sprawdził wszystkie połączenia, zmówił cicho błagalny pacierz i włączył nadajnik.

Aparat nadal nie działał.

Przeklinając, Drake znowu wyłączył nadajnik. Postanowił zamieniać wszystkie lampy, zaczynając od tych ledwo jarzących się. Jeśli to nie pomoże, spróbuje zamieniać kondensatory i oporniki. Jeśli i to się nie powiedzie, zawsze jeszcze może palnąć sobie w łeb. Z tą radosną myślą otworzył pudło z częściami i zabrał się do pracy.

Wszyscy mężczyźni przebywali w szopie, barykadując ją na noc. Dwa okna musiały pozostać otwarte, inaczej wszyscy podusiliby się z gorąca. Ale do każdej framugi przybito podwójną warstwę gęstej moskitiery, a obok postawiono wartownika.

Nic nie mogło się przedostać przez blaszany dach. Podłoga — klepisko stanowiła słaby punkt. Mogli jedynie starannie ją obserwować.

Poszukiwacze skarbów przygotowali się na długą noc. Drake z chustką zawiązaną na czole, by pot nie zalewał mu oczu, nadal pracował nad nadajnikiem.

Godzinę później w radiotelefonie rozległo się brzęczenie. Sorensen podniósł aparat.

— Czego chcesz? — spytał.

— Chcę, byście zaprzestali tego bezsensownego oporu — rzekł Quedak głosem Eakinsa. — Mielicie dosyć czasu, by przemyśleć sytuację. Chcę, byście do mnie dołączyli. Z pewnością widzicie, że nie ma innego wyjścia.

— Nie chcemy się do ciebie przyłączać.

— Musicie — odparł Quedak.

— Czy masz zamiar nas zmusić?

— To nastęcza pewne problemy — stwierdził Quedak. — Moje zwierzęce części nie są przystosowane do wywierania przymusu. Eakins to wspaniały mechanizm, ale jest tylko jeden. A mnie nie wolno narażać się na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Gdybym tak postępował, wystawiałbym na szwank Misję Quedaka.

— Zatem mamy impas — rzekł Sorensen.

— Nie. Napotykam trudności jedynie w przejściu was. Bez trudności natomiast mogę was pozabijać.

Mężczyźni poruszyli się niespokojnie. Drake nie podnosił głowy znad nadajnika.

— Wolałbym was raczej nie zabijać — ciągnął Quedak. — Ale najważniejsza jest Misja Quedaka. Jeżeli się nie przyłączycie, będzie zagrożona. Jeżeli opuścicie wyspę, zostanie narażona na ujawnienie. Tak więc musicie albo dołączyć, albo zginąć.

— Ja tak nie uważam — odparł Sorensen. — Jeśli założymy, że zdołasz nas zabić, nigdy nie wydestaniesz się z wyspy. Eakins nie potrafi obchodzić się z tym keczem.

— Nie ma potrzeby używania kecza — stwierdził Quedak. — Za sześć miesięcy powróci szkuner. Wtedy Eakins i ja wyjedziemy. Pozostali będą martwi.

— Blefujesz — rzekł Sorensen. — Na jakiej podstawie sądzisz, że zdołasz nas zabić? Dzisiaj ci się nie powiodło.

Zobaczył, że Drake go słucha, i wskazał gestem radio. Drake wzruszył ramionami i wrócił do pracy.

— Jeszcze nie próbowałem — odparł Quedak. — Właściwą porą jest noc. Dzisiejsza noc — zanim opracujecie lepszy system obrony. Musicie dziś do mnie dołączyć albo zabiję jednego z was.

— Jednego z nas?

— Tak. Jednego co godzinę. W ten sposób ci, którzy przeżyją, może zmienią zdanie. Ale jeśli go nie zmienią, rankiem wszyscy będziecie martwi.

Drake pochylił się ku Sorensenowi.

— Graj na zwłokę — szepnął. — Daj mi jeszcze dziesięć minut. Chyba znalazłem uszkodzenie.

— Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o Wspólnocie Quedaka — rzekł Sorensen do radiotelefonu.

— Najlepiej ją poznacie przyłączając się.

— Jednak najpierw chcielibyśmy mieć więcej informacji.

— To stan nie do opisania — odparł Quedak szybkim, poważnym, pełnym entuzjazmu głosem. — Czy możesz sobie wyobrazić, że jesteś sobą i dodatkowo przyjmujesz sygnały z zupełnie innych, odmiennych sieci zmysłowych? Postrzegałbyś na przykład świat przez receptory psa. Kiedy idzie on przez las, to zapach dla niego — i dla ciebie — jest równie wyraźny jak namalowana linia. Krab pustelnik widzi wszystko inaczej — za jego pośrednictwem doświadczysz powolnego przenikania życia na pograniczu morza i lądu. On odczuwa czas jako coś płynącego bardzo powoli, w odróżnieniu od rajskiego ptaka, który ogląda wszystko z przestrzeni, szybko i pobieżnie. I jest jeszcze wielu innych nad i pod ziemią i wodą, którzy dostarczają własnego, specyficznego oglądu rzeczywistości. Przekonałem się, że ich percepcja nie różni się zasadniczo od percepcji zwierząt, które kiedyś zamieszkiwały Marsa.

— Co się stało na Marsie? — spytał Sorensen.

— Całe życie wymarło — rzekł żałośnie Quedak. — Wszyscy prócz Quedaka. To wydarzyło się dawno temu. Przez wieki na planecie panował pokój i dobrobyt. Wszystko i wszyscy byli członkami Wspólnoty Quedaka. Ale rasa dominująca okazała się słaba. Jej przyrost naturalny bardzo spadł. Nastąpiły katastrofy. I w końcu nie pozostało żadne życie z wyjątkiem Quedaka.

— To brzmi wspaniale — stwierdził ironicznie Sorensen.

— To była wada tamtej rasy — zaprotestował Quedak. — Z mocniejszym materiałem — takim, jaki macie na tej planecie — instynkt życia pozostanie nie naruszony. Pokój i dobrobyt będą trwać nieskończenie.

— Nie sądzę. Jeśli wszystko przejmiesz, wówczas to, co wydarzyło się na Marsie, wydarzy się znów na Ziemi. Po pewnym czasie niewolnikom nie zależy zbytnio na życiu.

— Nie bylibyście niewolnikami. Bylibyście funkcjonalnymi uczestnikami Wspólnoty Quedaka.

— Którą ty byś kierował — stwierdził Sorensen. — Jakbyś nie kroił, to ten sam stary pasztet.

— Nie wiesz, o czym mówisz — rzekł Quedak. — Już dosyć długo rozmawialiśmy. Jestem gotów zabić jednego z was w ciągu najbliższych pięciu minut. Dołączacie do mnie czy nie?

Sorensen spojrzał na Drake'a. Drake włączył nadajnik.

Fale deszczu tłukły o dach. Nadajnik się nagrzewał. Drake podniósł mikrofon i postukał w niego. W głośniku usłyszał dźwięki.

— Pracuje — rzekł.

W tej samej chwili coś załomotało w przysłonięte siatką okno. Siatka obluzowała się. Zaplątał się w nią owocożerny nietoperz. Patrzył na ludzi gniewnymi oczyma o czerwonych obwódkach.

— Przybijcie jakieś deski do tego okna! — krzyknął Sorensen.

I wtedy o siatkę uderzył drugi nietoperz, przerwał ją i potoczył się na podłogę. Mężczyźni zatłukli go na śmierć, ale przez otwarte okno wleciały następne cztery nietoperze. Drake młócił je rękami, ale nie mógł ich odpędzić od nadajnika. Usiłowały trafić go w oczy i musiał się cofnąć. Zamaszystym ciosem trafił jednego nietoperza, złamał mu skrzydło i strącił na podłogę. Potem inne dosięgły nadajnika.

Zepchnęły go ze stołu. Drake próbował łapać aparat, ale nie udało mu się. Słyszał odgłos tłukących się lamp, ale sam zajęty był chronieniem swych oczu.

W czasie następnych dwóch minut mężczyźni zabili jeszcze dwa nietoperze, a pozostałe wyleciały przez okno. Przybili deski do obydwu okien, a Drake nachylił się, by zbadać nadajnik.

— Czy można go jeszcze jakoś naprawić? — spytał Sorensen.

— Wykluczone — oznajmił Drake. — Nietoperze powyrywały przewody.

— Co teraz robimy?

— Nie mam pojęcia.

Wtedy w radiotelefonie przemówił Quedak.

— Muszę natychmiast znać waszą odpowiedź.

Nikt nie wyrzekł słowa.

— W takim razie — rzekł Quedak — ogromnie mi przykro, ale jeden z was musi teraz umrzeć.

VII

Deszcz bombardował blaszany dach; porywy wiatru przybierały na sile. W dali przetoczył się grzmot. Jednak wewnątrz szałasów powietrze było wilgotne i nieruchome. Lampa benzynowa, zwisająca z centralnej belki, rzuciła ostre żółte światło, które rozjaśniało środek pomieszczenia, ale pozostawiało kąty w głębokim cieniu. Poszukiwacze skarbów odsunęli się od ścian. Wszyscy siedzieli na środku pokoju, z twarzami zwróconymi na zewnątrz. Drake'owi przypominali stado bawołów skupionych przed atakiem wilka, którego czują, ale którego nie widzą.

— Posłuchajcie, może powinniśmy spróbować tej Wspólnoty Quedaka — rzekł Cable. — Może nie jest aż tak zła jak...

— Zamknij się — warknął Drake.

— Bądź rozsądny — oponował Cable. — To lepsze niż śmierć, prawda?

— Nikt jeszcze nie umiera — odpowiedział mu Drake. — Tylko się zamknij i miej oczy otwarte.

— Myślę, że będę wymiotował — rzekł Cable. — Dan, wypuść mnie.

— Wymiotuj na miejscu — poradził Drake. — Miej tylko oczy otwarte.

— Nie możesz mi rozkazywać — sprzeciwił się Cable. Ruszył ku drzwiom. Potem odskoczył do tyłu.

Żółtawy skorpion wpelzł przez dwucentymetrową przerwę między drzwiami a podłogą. Recetich nastąpił na niego, zgniatając go na miazgę ciężkimi buciorami. Potem zamachnął się na trzy

szerszenie, które wleciały przez zabite deskami okno.

— Dajcie spokój szerszeniom — krzyknął Drake. — Obserwujcie ziemię.

Na podłodze zrobił się ruch. Kilka włochatych pajaków wypełzło z cienia. Drake i Recetich tłukli je kolbami. Byrnes zauważył, jak pod drzwiami coś się wślizguje. Wyglądało to jak olbrzymia, płaska stonoga. Stąpnął na nią, ale nie trafił. Stonoga wdrapała się na jego but i przeszła wyżej na gołą nogę. Wrzasnął; miał wrażenie, że ktoś przyłożył mu do ciała pasek roztopionego metalu. Zdołał rozgnieść stworzenie, zanim stracił przytomność.

Drake zbadał ranę i uznał, że nie jest śmiertelna. Zdeptał następnego pajaka, a potem poczuł na ramieniu zaciśniętą dłoń Sorensena. Spojrzał na wskazany przez niego róg szopy.

Sunęły stamtąd dwa wielkie, czarnoskóre węże. Drake rozpoznał czarne żmije. Te zazwyczaj płochliwe gady parły naprzód jak tygrysy.

Ludzie wpadli w popłoch, starając się uciec węzom. Drake wyciągnął rewolwer i przyklęknął na kolano ignorując szerszenie. W kołyszącym się żółtym świetle celował w cienkie węzowe kształty.

Grzmot zahuczał dokładnie nad dachem szopy. Długi błysk pioruna nagle oświetlił pomieszczenie. Drake miał utrudnione celowanie; wystrzelił i spudłował. Czekał, aż węże zaatakują.

Nie zaatakowały. Uciekały od niego, wycofując się do szcurzej nory, z której przedtem wyszły. Jedna ze żmij szybko wślizgnęła się do środka. Druga zaczęła sunąć za nią, potem zatrzymała się, połową ciała będąc już w norze.

Sorensen starannie mierzył ze strzelby. Drake odsunął mu lufę na bok.

— Poczekaj chwileczkę.

Żmija zawahała się. Wydostała się z dziury i zaczęła sunąć ku nim...

Nastąpił kolejny grzmot i jasny błysk. Wąż odwrócił się i przecisnął przez dziurę.

— Co się dzieje? — spytał Sorensen. — Czyżby bały się piorunów?

— Nie, to z powodu błyskawic — rzekł Drake. — Dlatego właśnie Quedak tak się śpieszył. Widział, że nadchodzi burza, a jeszcze nie zdążył umocnić swych pozycji.

— O czym ty mówisz?

— Błyskawice. Burza elektryczna! Zakłóca to jego radio! A kiedy jest zagłuszone, zwierzęta wracają do normalnego zachowania. Quedak potrzebuje trochę czasu, by znowu narzucić sterowanie.

— Burza nie będzie trwała wiecznie — rzekł Cable.

— Ale może potrwa dostatecznie długo — odparł Drake. Wziął namierniki i wręczył jeden

Sorensenowi. — Chodźmy, Bill. Wytropimy tę pluskwę właśnie teraz.

— Hej — zawołał Recetich — czy mógłbym się na coś przydać?

— Możesz popłynąć, jeśli nie wrócimy za godzinę — rzekł Drake.

Deszcz lał ukośnymi strugami, odchylany południowo-zachodnim wiatrem. Pioruny były ciągle, a każda błyskawica zdawała się mierzyć w nich. Drake i Sorensen doszli do skraju dżungli i przystanęli.

— Rozdzielimy się tutaj — rzekł Drake. — Zwiększy to nasze szansę natknięcia się na niego.

— Słusznie — rzekł Sorensen — Uważaj na siebie, Dan.

Sorensen zanurzył się w dżungli. Drake odszedł pięćdziesiąt metrów skrajem lasu i wkroczył w zarośla.

Przepychał się naprzód; rewolwer miał za pasem, namiernik w jednej ręce, a latarkę w drugiej. Dżungla kipiała złośliwymi formami życia, prawie tak, jakby sterował nią Quedak. Liany przebiegłe owijały się wokół kostek, a krzaki wyciągały swe cierniste ręce. Każdej gałęzi sprawiało szczególną przyjemność uderzanie Drake'a po twarzy.

Za każdym razem, kiedy pojawiała się błyskawica, namiernik próbował się na nią ustawić. Drake'owi trudno było utrzymać kierunek. Powiedział sobie jednak, że Quedak ma jeszcze większe trudności. Między kolejnymi błyskami udawało się ustawić kierunek. Im głębiej Drake wchodził w dżunglę, tym mocniejszy stawał się sygnał.

Po chwili zauważył, że pioruny uderzają rzadziej. Burza przesuwała się ku północy, zostawiając za sobą wyspę. Jak długo jeszcze błyskawice będą go chronić? Dziesięć, piętnaście minut?

Usłyszał skomlenie. Powiódł światłem latarki dookoła i zobaczył, że zmierza ku niemu jego pies, Oro.

Pies jego czy Quedaka?

— Hej, stary, tutaj — zawołał Drake.

Zastanawiał się, czy powinien rzucić namiernik i wyjąć zza pasa pistolet. Czy pistolet, tak silnie zmoczony, w ogóle zadziała?

Oro podszedł i polizał mu rękę. Był psem Drake'a, przynajmniej w czasie burzy.

Szli dalej razem, a dalekie pioruny były gdzieś na północy. Sygnał na namierniku był teraz bardzo silny. To gdzieś tutaj...

Zobaczył światło drugiej latarki. Sorensen, bardzo zadyszany, podszedł do niego. Dżungla rwała mu ubranie i drapała swymi szponami, ale wciąż miał przy sobie strzelbę, latarkę i namiernik.

Oro grzebał coś zawzięcie przy krzaku. Niebo pojaśniało od błyskawicy i w jej świetle zobaczyli Quedaka.

Drake uświadomił sobie, że deszcz przed chwilą ustał. Błyski piorunów ustały również. Upuścił namiernik. Z latarką w jednej ręce i rewolwerem w drugiej próbował wycelować w Quedaka, który poruszał się, który skoczył...

Na szyję Sorensena, tuż nad prawym obojczykiem.

Sorensen uniósł ręce, a potem je opuścił. Obrócił się ku Drake'owi, podnosząc strzelbę. Jego twarz była absolutnie spokojna. Wyglądał tak, jakby miał w życiu tylko jeden cel — zabić Drake'a.

Drake wystrzelił z odległości pół metra. Sorensen obrócił się od uderzenia kuli, upuścił strzelbę i upadł. Drake pochylił się nad nim, z rewolwerem gotowym do strzału. Zobaczył, że trafił bardzo precyzyjnie. Kula weszła dokładnie nad prawym obojczykiem. Rana wyglądała brzydko. Ale Quedak, który znalazł się dokładnie na drodze kuli, ucierpiał znacznie bardziej. Został z niego tylko czarny kleks na torsie Sorensena.

Drake udzielił pośpiesznie pierwszej pomocy i zarzucił sobie Sorensena na plecy. Zastanawiał się, co by zrobił, gdyby Quedak siedział dokładnie nad sercem Sorensena lub na jego gardle czy głowie.

Uznał, że lepiej o tym nie myśleć.

Ruszył ku obozowi, a jego pies biegł tuż obok.

Potencjał

Powracał do przytomności powoli, w pełni świadom bólu, siniaków i dręczącego wężła w żołądku. Tytułem eksperymentu wyciągnął nogi.

Nie dotknęły niczego i zdał sobie sprawę, że jego ciało nie opiera się o nic. Jestem martwy, pomyślał. Unoszę się swobodnie w przestrzeni...

Unoszę się? Otworzył oczy. Tak, unosił się. Nad sobą miał sufit, a może podłogę? Czuł, że musi wrzasnąć, ale pokonał ten przymus. Zamrugał i obraz otoczenia się wyostriżył.

Uświadomił sobie, że jest w statku kosmicznym. Kabina była w ruinie. Pudła i sprzęt dryfowały wokół, najwidoczniej wyrwane z zamocowań przez jakieś gwałtowne naprężenia. Spalone przewody ciągnęły się po podłodze. Szafki wzdłuż jednej ze ścian zostały stopione na żużel.

Patrzył, ale niczego nie rozpoznawał. Chyba widział to otoczenie pierwszy raz w życiu. Podniósł rękę i odbił się od sufitu, spłynął w dół, znowu się odbił i zdołał uchwycić poręcz przy ścianie. Trzymając jej mocno, próbował uporządkować myśli.

— Istnieje logiczne wyjaśnienie tego wszystkiego — powiedział po to tylko, by usłyszeć własny głos. — Muszę sobie przypomnieć...

Jak się nazywał? Nie wiedział.

— Halo! — krzyknął. — Jest tutaj ktoś?

Jego słowa zagubiły się wśród ścian. Nie było odpowiedzi.

Odbił się i popłynął przez kabinę, robiąc uniki przed latającymi pudłami. Po pół godzinie wiedział, że jest jedyną osobą na statku.

Z powrotem przepchnął się ku dziobowi. Znalazł tam wyściełany fotel, a przed nim długą konsolę. Zapiął pasy i zaczął ją oglądać.

Składała się z dwóch ciemnych ekranów; jeden był znacznie większy od drugiego. Pod większym znajdowały się dwa przyciski, oznaczone „Widok z przodu” i „Widok z tyłu”. Wyskalowana tarcza pod przyciskami regulowała ostrość. Pod mniejszym ekranem nie było żadnego podpisu.

Nie znalazłszy innych guzików nacisnął „Widok z przodu”. Powierzchnia ekranu zajaśniała, ukazując czarną przestrzeń z jasnymi kropkami gwiazd. Patrzył na nie długo, z otwartymi ustami, a potem odwrócił się.

Przede wszystkim, rzekł sobie, musi zebrać wszystkie dostępne informacje i zobaczyć, co może z nich wywnioskować.

— Jestem człowiekiem — powiedział. — Znajduję się w statku kosmicznym, w Kosmosie. Wiem, czym są gwiazdy i czym są planety. Zobaczymy...

Miał podstawowe wiadomości z astronomii, mniejszą wiedzę z fizyki i chemii. Pamiętał trochę literatury angielskiej, chociaż nie mógł sobie przypomnieć dzieł żadnego pisarza z wyjątkiem Traudzela, autora popularnych powieści. Pamiętał nazwiska twórców kilku książek historycznych, ale nie pamiętał ich treści.

Znał nazwę tego, co mu się przytrafiło: „amnezja”.

Nagle ogarnęło go pragnienie, by zobaczyć siebie, spojrzeć we własną twarz. Z pewnością się rozpozna, a potem wróci mu pamięć. Znowu pchnął się przez pomieszczenie i zaczął szukać lustra.

W ścianach tkwiły wbudowane skrytki. Otwierał je pośpiesznie, wygarniając przedmioty w nieważkość. W trzeciej skrytce znalazł przybory do golenia i małe stalowe lustro. Z niepokojem obserwował swoje odbicie.

Długa, nieregularna twarz, pozbawiona kolorów. Na brodzie ciemny, świeży zarost. Bezkrwiste wargi.

Twarz obcego.

Zwalczył ogarniający go znów przestach i przeszukał kabinę, chcąc znaleźć jakieś wskazówki dotyczące własnej tożsamości. Szybko grzebał w latających pudłach, odpychając je na bok, jeśli zawierały wyłącznie jedzenie lub wodę. Przeglądał dalej. ;

W rogu kabiny unosiła się zwęglona kartka. Złapał ją. „Drogi Ran”, zaczynała się notatka. „Chłopcy z biochemii zrobili na łapu capu kilka testów sprawdzających pento. Zdaje się, że najprawdopodobniej wywołuje ono amnezję. Coś o sile narkotyku połączonej z niemal traumatycznym doświadczeniem, jakiego teraz doznajesz, niezależnie od tego, czy jesteś tego świadom, czy nie. Teraz nam o tym mówią! Piszę do ciebie w pośpiechu tę kartkę, o godzinie zero minus czternaście minut. Niech ci pomoże odświeżyć pamięć na wypadek, gdyby mieli rację.

Po pierwsze, nie szukaj urządzeń sterowniczych. Wszystko jest zautomatyzowane albo przynajmniej powinno być, jeśli ta kupa tektury i kleju wytrzyma. (Nie wiń techników: praktycznie nie mieli czasu na skończenie tego i wysłanie przed momentem błysku).

Twój kurs jest nastawiony na automatyczne poszukiwanie planet, więc po prostu siedź i czekaj. Nie sądzę, byś mógł zapomnieć twierdzenie Marselliego, ale gdyby jednak, nie martw się możliwością wylądowania wśród jakichś osiemnastogłowych inteligentnych stonóg. Dotrzesz do życia humanoidalnego, ponieważ musi to być życie humanoidalne.

Możesz być po starcie trochę poobijany, ale pento cię z tego wyciągnie. Jeśli w kabinie jest bałagan, to po prostu dlatego, że nie mieliśmy czasu sprawdzić wszystkich tolerancji na naprężenia.

Teraz, o misji. Natychmiast pójdz do projektora nr 1 w szafce nr 15. Projektor jest nastawiony na samozniszczenie po jednym przejrzeniu, upewnij się więc, że zrozumiałeś, co ci pokazał. Misja jest najwyższej wagi, doktorku; wszyscy mężczyźni i kobiety Ziemi są z tobą. Nie zawiedz nas.”

Podpisał się ktoś o nazwisku Fred Anderson.

Ran — w myślach używał już automatycznie imienia z listu — zaczął szukać szafki nr 15. Natychmiast znalazł miejsce, gdzie się wcześniej znajdowała. Szatki od numeru 11 do 25 były stopione i zwęglone. Ich zawartość uległa zniszczeniu.

I to kończyło sprawę. Jedyne zwęglony papier łączył go z przeszłością, przyjaciółmi, całą Ziemią. Chociaż nic nie pamiętał, z ulgą odebrał wiadomość, że jego amnezja ma jednak jakieś wyjaśnienie.

Ale co to wszystko znaczyło? Dlaczego składali statek w takim pośpiechu? Dlaczego umieścili w nim właśnie jego — tylko jego — i wystrzelili? I ta cała niezwykle ważna misja — jeśli była tak istotna, dlaczego jej staranniej nie zabezpieczyli?

Notatka wywoływała więcej pytań, niż dawała odpowiedzi. Ran, nachmurzony, pchnął się znowu ku konsoli. Spojrzał na ekran, na gwiazdny spektakl, próbując coś wydedukować.

Może wybuchła jakaś epidemia. Był jedyną nie zarażoną osobą. Zbudowali statek i wystrzelili go w Kosmos. Misja? Skontaktować się z inną planetą, znaleźć antidotum, sprowadzić je.

Śmieszne. Spojrzał znów na konsolę i nacisnął guzik „Widok z tyłu”.

I prawie zemdłał.

Jaskrawe, oślepiające światło wypełniało cały ekran, paląc oczy. Pośpiesznie zmniejszał skalę do momentu, gdy obraz na ekranie zmienił się na tyle, że Ran był w stanie zorientować się, co to jest.

Nova. A list wspominał moment błysku. Wiedział, że Novą było Słońce. I że Ziemia została pochłonięta.

Na statku nie znalazł zegara, więc nie miał pojęcia, jak długo już podróżuje. Większość czasu po prostu dryfował bez celu, oszołomiony, bez przerwy podchodząc do ekranu.

Nova skurczyła się, gdy statek gnał naprzód.

Ran jadł i spał. Wędrował po statku. Badał. Przeszukiwał. Latające pudła przeszkadzały mu, więc zaczął ściągać je na dół i przytwierdzać.

Mogły minąć dni albo tygodnie.

Po pewnym czasie Ran zaczął składać znane mu fakty w spójną strukturę. Istniały w niej luki i pytania, prawdopodobnie również fałszywe fakty, ale był to początek.

Wybrano go, by poleciał statkiem kosmicznym. Nie jako pilot, gdyż statek był w pełni zautomatyzowany, ale z jakiejś innej przyczyny. List nazywał go „doktorkiem”. Mogło to oznaczać, że był doktorem.

Doktorem czego? Nie miał pojęcia.

Konstruktorzy statku wiedzieli, że Słońce stanie się Novą. Widocznie nie mogli uratować znacznej części ludności Ziemi. Zamiast tego poświęcili się sami i wszystkich innych, by zagwarantować jego przeżycie.

Dlaczego akurat jego?

Oczekiwano, że wykona niezwykle ważną pracę. Tak ważną, że wszyscy się jej podporządkowali. Tak ważną, że nawet zniszczenie Ziemi było sprawą drugorzędną, jeśli tylko misja zostanie wykonana.

Na czym mogła polegać ta misja?

Doktor Ran nie mógł wyobrazić sobie nic aż tak ważnego. Ale nie miał innej teorii, która nawet w przybliżeniu pasowałaby do znanych mu faktów.

Próbował zaatakować problem z innego punktu widzenia. Co by sam zrobił, gdyby wiedział, że Słońce za chwilę stanie się Novą, a mógłby uratować z pełnym powodzeniem tylko ograniczoną liczbę ludzi?

Wysłałby pary, przynajmniej jedną parę, próbując przedłużyć istnienie gatunku.

Ale widocznie przywódcy Ziemi mieli na to inny pogląd.

Po pewnym czasie zamigotał mały ekran. Pojawił się napis: „Planeta. Kontakt za 100 godzin”.

Ran siedział naprzeciw panelu i obserwował. Po długiej chwili cyfry zmieniły się. „Kontakt za 99 godzin”.

Miał mnóstwo czasu. Zjadł i wrócił do pracy, porządkując trochę statek.

Kiedy składał pudła w pozostałych szafkach, znalazł starannie zapakowane urządzenie. Natychmiast rozpoznał projektor. Na boku znajdowała się wygrawerowana cyfra „2”.

Zapasowy, pomyślał Ran z gwałtownym biciem serca. Dlaczego wcześniej go nie poszukał? Zajrzał do wziernika i nacisnął wyłącznik.

Film trwał przeszło godzinę. Najpierw poetycki przegląd Ziemi: miasta, pola, lasy, rzeki, oceany, ziemscy ludzie i zwierzęta. Wszystko w zwiędłych migawkach. Nie było ścieżki dźwiękowej.

Kamera przeszła do obserwatorium — przeznaczenie budynku wyjaśniono obrazowo. Film pokazywał odkrycie niestabilności Słońca, twarze astrofizyków, którzy dokonali tego odkrycia.

Następnie zaczął się wyścig z czasem i szybki wzrost statku. Ran zobaczył siebie: jak biegnie do statku, uśmiecha się do kamery, potrząsa komuś rękę, znika w środku. Film kończył się w tym miejscu. Musieli zapakować kamerę, dać mu zastrzyk i wystrzelić w Kosmos.

Rozpoczęła się następna rolka.

— Cześć, Ran — rzekł jakiś głos.

Obraz pokazywał dużego, spokojnego mężczyznę w garniturze. Spoglądał z ekranu prosto na Rana.

— Po prostu musiałem skorzystać z okazji i ponownie powiedzieć coś do pana, doktorze Ellis. Jest pan teraz w głębokim Kosmosie i bez wątpienia widział pan Novą, która pochłonęła Ziemię. Zaryzykuję twierdzenie, że odczuwa pan teraz samotność.

Niech pan nie poddaje się temu uczuciu, Ran. Jako przedstawiciel ludów Ziemi korzystam z tej ostatniej szansy, by życzyć panu powodzenia w pańskiej wielkiej misji. Nie muszę panu mówić, że wszyscy jesteśmy z panem. Niech pan nie czuje się samotny.

Widział pan, oczywiście, film w projektorze nr 1 i dogłębnie rozumie pan swoją misję. Ta część filmu — z moją twarzą i mym głosem — zostanie automatycznie zniszczona, tak jak tamten film. Oczywiście nie możemy jeszcze dopuszczać istot pozaziemskich do naszych małych sekretów.

Wkrótce i tak je odkryją. Upoważniamy pana, by z pozostałej części filmu wyjaśnił pan wszystko, co uzna za stosowne. Powinien pan dzięki temu zyskać ich współczucie. Niech pan, oczywiście, nie wspomina o wielkim odkryciu ani o technikach, które się na jego podstawie rozwinęły. Jeżeli zechcą napędu nadświatlnego, niech im pan powie prawdę — że nie wie pan, jak działa, ponieważ został on odkryty dopiero rok czy coś koło tego przed tym, zanim Słońce stało się Novą. Niech pan im powie, że majstrowanie przy statku spowoduje roztopienie silników.

Powodzenia, doktorze. I szczęśliwych łowów.

Twarcz zniknęła z ekranu, a maszyna zabrzczała głośniejsz, niszcząc ostatnią rolkę taśmy.

Ran ostrożnie włożył projektor do pudełka, umocował je w szafce i wrócił do konsoli sterowniczej.

Na ekranie jaśniał napis: „Kontakt za 97 godzin”. Usiadł i próbował uporządkować nowe fakty. Miał w myślach niejasny obraz pokojowej cywilizacji na Ziemi. Ludzkość była już gotowa wyruszyć ku gwiazdom, kiedy odkryto niestabilność Słońca. Napęd nadświatlny odkryto zbyt późno.

W tych okolicznościach wybrano Rana i umieszczono na statku, który miał uciec. Tylko jego, z jakichś nieodgadzionych przyczyn. Widocznie zadanie, które mu powierzono, było ważniejsze niż przeżycie rasy.

Powinien nawiązać kontakt z inteligentnymi formami życia i opowiedzieć im o Ziemi. Ale musiał powstrzymać się od wszelkich uwag na temat największego odkrycia i rozwiniętych na jego podstawie technik.

Cokolwiek by to było.

A potem wypełnić swoją misję...

Nie pamiętał. Czuł się tak, jakby za chwilę miał eksplodować. Dlaczego ci idioci nie wygrawerowali instrukcji na tablicy z brązu?

O co tu może chodzić?

„Kontakt za 96 godzin”, oznajmiał ekran.

Doktor Ran Ellis zapiął pasy w fotelu pilota i zapłakał, mając poczucie niesamowitego zagubienia.

Wielki statek obserwował, sondował i meldował. Mały ekran obudził się do życia. „Atmosfera chlorowa. Życie nie istnieje”. Dane zostały wprowadzone do selektorów statku. Zamknęły się jedne obwody, otworzyły inne. Został wyznaczony nowy kurs, statek przyśpieszał.

Doktor Ellis jadł, spał i rozmyślał.

Druga planeta dostrzeżona, zbadana i odrzucona.

Doktor Ellis wciąż rozmyślał. Dokonał pewnego niezbyt ważnego odkrycia.

Miał fotograficzną pamięć. Odkrył to, przypominając sobie film, który widział. Pamiętał każdy szczegół godzinnego spektaklu, każdą twarz, każdy ruch.

Poddał się testowi podczas lotu statku i stwierdził, że cały czas posiada tę zdolność. Martwiło go to trochę, ale uświadomił sobie, że ten czynnik wpłynął prawdopodobnie na wybór właśnie jego osoby. Pamięć fotograficzna bardzo ułatwi poznanie nowego języka.

To dopiero ironia losu, pomyślał. Umiejętność doskonałego zapamiętywania — i zupełny brak pamięci.

Trzecia planeta została odrzucona.

Ellis rozważał rozmaite możliwości, próbując odkryć istotę swego posłannictwa.

Zbudować pomnikowy kompleks poświęcony Ziemi? Całkiem możliwe. Ale po co ten pośpiech, skąd taka nadzwyczajna doniosłość misji?

Może wysłano go jako nauczyciela. Ostatni gest Ziemi — poinstruować jakąś zamieszkałą planetę

o sposobach pokojowej współpracy.

Po co jednak wysłać doktora do takiego zadania? To nielogiczne. Ludzie uczą się przez tysiąclecia, nie zaś przez parę lat. Co więcej, to po prostu nie współbrzmiało z tonem obu wiadomości. Obie osoby — człowiek na filmie i autor notatki — sprawiali wrażenie ludzi praktycznych. Nie do pomyślenia, żeby byli altruistami.

W zasięgu pojawiła się czwarta planeta. Statek przebadał ją i pozostawił w spokoju.

I co to za „wielkie odkrycie”, zastanawiał się. Jeśli nie napęd nadświatłny, to co? Najprawdopodobniej odkrycie filozoficzne. Metoda życia w pokoju lub coś w tym rodzaju.

Dlaczego jednak nie miał o tym wspominać?

Monitor błysnął, pokazując istnienie tlenu na piątej planecie. Ellis zignorował to, a następnie znów spojrzął na ekran, kiedy generatory, tkwiące głęboko we wnętrzu statku powróciły do życia.

„Przygotuj się do lądowania”, polecił ekran.

Serce Rana skoczyło konwulsyjnie. Czuł przez chwilę trudności w oddychaniu.

Napełnił go strach przed nieznanym, gdy grawitacja szarpnęła statkiem. Walczył, ale jego przerażenie tylko wzrastało. Wrzasnął i szarpnął się w uprząży, kiedy statek zaczął zauważalnie opadać.

Wielki ekran pokazywał błękit i zielen tlenowej planety.

Wtedy Ellis przypomniał sobie coś. „Wyjście z głębokiego Kosmosu w system planetarny jest analogiczne do urazu porodowego”. Powszechna reakcja, rzekł do siebie, ale psychiatra potrafi ją łatwo opanować...

Psychiatra!

Doktor Randolph Ellis, psychiatra. Wiedział już, w jakiej dziedzinie jest doktorem. Szukał w swym umyśle dodatkowych informacji, ale bezskutecznie. Pamiętał tylko to. Dlaczego Ziemia wysłała w Kosmos psychiatrę?

Zemdlał, kiedy statek z łoskotem wszedł w atmosferę.

Ellis przyszedł do siebie prawie natychmiast po wylądowaniu. Odpiął pasy i włączył ekrany wizyjne. Do statku zbliżały się pojazdy pełne ludzi.

Ludzi całkiem ludzkich.

Musiał podjąć decyzję teraz i to taką, która będzie miała wpływ na przebieg całego pobytu na

planecie. Co ma zrobić?

Postanowił kierować się wycuciem. Będzie grał na zwłokę. Kontakt nie nastąpi, dopóki nie nauczy się języka. Potem powie, że przysłano go z Ziemi, by... by...

By co?

Zdecyduje o tym we właściwym czasie. Spojrzał na ekrany i przekonał się, że atmosfera nadaje się do oddychania.

Bok statku otworzył się i Ellis wyszedł na zewnątrz.

Wylądował na subkontynencie o nazwie Krel. Jego mieszkańców zwano Krelanami. System polityczny planety osiągnął etap rządu światowego, ale tak niedawno, że mieszkańcy posługiwali się jeszcze starymi podziałami politycznymi.

Dzięki fotograficznej pamięci Ellis łatwo nauczył się krelańskiego, gdy tylko ustalił wspólną podstawę słów kluczowych. Ludzie, od podstawowego rdzenia „Człowiek”, nie wydawali się bardziej obcy niż niektórzy członkowie jego własnej rasy. Ellis rozumiał, że przewidziano tę ewentualność — statek odrzuciłby wszelkie inne. Długo to analizował i doszedł do wniosku, że jego misja bazuje na tym podobieństwie.

Ellis uczył się, obserwował i rozmyślał. Miał spotkać się z Radą Zarządzającą, gdy tylko dostatecznie opanuje język. Lękał się tego spotkania i ciągle je odkładał.

Wreszcie, mimo opóźnień, moment spotkania nadszedł.

Poprowadzono go korytarzami Budynku Rady do drzwi Głównej Sali Rady. Wszedł tam z projektorem pod pachą.

— Serdecznie pana witamy — rzekł przewodniczący Rady. Ellis odpowiedział na pozdrowienia i zaprezentował filmy.

— Więc jest pan ostatnim przedstawicielem swego gatunku? — spytał przewodniczący.

Ellis skinął głową, patrząc na dobrotliwą, pomarszczoną twarz starego człowieka.

— Dlaczego wysłali tylko pana — spytał inny członek Rady. — Dlaczego nie wysłano mężczyzny i kobiety?

Zadawałem sobie to samo pytanie, pomyślał Ellis.

— Nie potrafiłbym w kilku słowach wyjaśnić psychiki mojej rasy — odpowiedział. — Nasza decyzja pochodzi z samego jądra naszego poczucia istoty rzeczy.

Kłamstwo bez znaczenia, pomyślał sobie. Ale cóż więcej mógł powiedzieć?

— Będzie pan musiał kiedyś wyjaśnić psychikę Ziemian. — rzekł pytający.

Ellis skinął głową, patrząc po kolei na twarze członków Rady. Oceniał efekt, jaki wywarł na nich wspaniale przygotowany film. Postanowili okazać sympatię temu ostatniemu przedstawicielowi wielkiej rasy.

— Jesteśmy bardzo zainteresowani waszym nadświetlnym napędem — stwierdził inny członek Rady. — Czy mógłby pan nam pomóc w uzyskaniu go?

— Obawiam się, że nie — odparł Ellis. Zdołał się wcześniej zorientować, że ich technika jest na etapie poprzedzającym uzyskanie energii jądrowej, kilka wieków za Ziemią.

— Nic jestem uczonym. Nie posiadam wiedzy o tym napędzie. Opracowano go dopiero ostatnio.

— Moglibyśmy zbadać go sami — powiedział mężczyzna.

— To by nie było rozsądne — odparł mu Ellis. — Mój lud uważa, że nie jest wskazane dostarczanie jakiejś planecie wytworów techniki wyższej niż poziom, który w danym momencie został przez tę planetę osiągnięty. — Tyle, jeśli chodzi o teorię. — Maszyny ulegną zniszczeniu, jeśli będzie się przy nich majstrować.

— Powiedział pan, że nie jest pan uczonym — spytał stary przewodniczący, zmieniając temat. — Mogę zapytać, kim pan jest?

— Psychiatrą — wyjaśnił Ellis.

Rozmawiali wiele godzin. Ellis robił uniki, udawał i zmyślał, próbując wypełnić luki w swej wiedzy. Rada pragnęła poznać wszystkie stadia życia na Ziemi. Wszystkie szczegóły postępu technicznego i społecznego. Interesowała ich ziemską metodą wykrywania stanu przed wybuchem Novej. I dlatego Ellis zdecydował się przybyć właśnie na ich planetę Wreszcie, uwzględniając fakt, że przybył sam, czy jego rasa miała skłonności samobójcze?

— Będziemy chcieli zapytać pana o więcej rzeczy w przyszłości — oznajmił stary przewodniczący, kończąc sesję.

— Z radością udzielę wszelkich odpowiedzi, jakie będę znał — odparł Ellis.

— Nie wygląda to na zbyt wiele — stwierdził jeden z członków Rady.

— Ależ Elgg, pamiętaj, że ten człowiek przeżył szok — rzekł przewodniczący. — Cały jego gatunek został zniszczony. Chyba nie jesteśmy zbyt gościnni.

Zwrócił się do Ellisa.

— Proszę pana, już nam pan niezwykle pomógł. Wiemy chociażby o możliwości kontrolowanej

reakcji jądrowej i możemy skierować badania na ten cel. Oczywiście zostanie pan wynagrodzony przez państwo. Co by pan chciał robić?

Ellis zastanawiał się przez chwilę, co powiedzieć.

— Czy chciałby pan kierować budową muzeum poświęconego Ziemi? Pomnikowi pańskiego wielkiego ludu?

Czy to właśnie jest moja misja? — zastanawiał się Ellis. Potrząsnął głową.

— Jestem lekarzem, proszę pana. Psychiatrą. Może mógłbym coś pomóc w tej dziedzinie.

— Ale przecież nie zna pan naszych ludzi — rzekł z niepokojem sędziwy przywódca. — Poznanie natury naszych napięć i problemów zajęłoby panu całe życie. Poznanie ich na tyle, by mógł pan leczyć.

— To prawda — odparł Ellis. — Jednak nasze rasy są naprawdę podobne. Nasze cywilizacje podążyły tym samym kursem. Ponieważ reprezentuję bardziej rozwiniętą tradycję psychologiczną, moje metody mogą być pomocne waszym lekarzom...

— Oczywiście, doktorze Ellis. Nie wolno mi popełnić błędu nie doceniając gatunku, który ruszył ku gwiazdom. — Leciwy przywódca uśmiechnął się ze skruchą. — Sam przedstawię pana dyrektorowi jednego z naszych szpitali.

Przewodniczący wstał.

— Zechce pan udać się ze mną.

Ellis poszedł za nim. Serce mu łomotało. Jego misja musi mieć coś wspólnego z psychiatrią. Po cóż by wysłać psychiatrę?

Ale nadal nie wiedział, co ma zrobić.

I co gorsza, nic nie pamiętał ze swej praktyki psychiatrycznej.

— Myślę, że to by było już wszystko na temat aparatury diagnostycznej — powiedział doktor, patrząc na Ellisa zza okularów w stalowej oprawie. Ten młody człowiek o okrągłej twarzy bardzo chciał nauczyć się czegoś od starszej, ziemskiej cywilizacji.

— Czy mógłby pan zasugerować jakieś ulepszenia? — zapytał.

— Muszę przyjrzeć się dokładniej ich konstrukcji — rzekł Ellis, idąc za doktorem po długim bladonicbieskim korytarzu. Aparatura diagnostyczna nie wywołała u niego żadnych skojarzeń.

— Nie muszę panu mówić, jaka to dla mnie okazja. Z pewnością wy, Ziemianie, zdołaliście odkryć

wiele tajemnic umysłu.

— O, tak — zapewnił Ellis.

— Dalej mamy sale chorych — wyjaśniał lekarz. — Czy zechciałby pan je zobaczyć?

— Świetnie.

Ellis szedł za lekarzem, gniewnie przygryzając wargi. Wciąż nic nie pamiętał. Na temat psychiatrii wiedział tyle samo, co każdy laik. Będzie zmuszony przyznać się do swej amnezji, chyba że się coś nieoczekiwanego wydarzy.

— W tej sali mamy kilka spokojnych przypadków.

Ellis poszedł za nim i spojrzał na otepiąle, pozbawione życia twarze pacjentów.

— Katatonia — powiedział lekarz, wskazując na pierwszego człowieka. — Chyba nie macie na to lekarstwa?

Uśmiechnął się dobrodusznie.

Ellis nie odpowiedział. W jego umyśle pojawiło się jeszcze jedno wspomnienie — kilka zdań pewnej rozmowy.

„Ale czy to etyczne?”, zapytał wtedy na Ziemi, w takim pokoju jak ten.

„Oczywiście”, odpowiedział ktoś. „Nie będziemy majstrowali przy normalnych. Ale idioci, szaleńcy — psychotycy, którzy i tak nigdy nie używają swych mózgów — to nie jest tak, jak byśmy im coś zabierali. To jest dla nich dobrodziejstwo, naprawdę...”

Tylko tyle. Nie przypominał sobie, z kim wtedy rozmawiał. Prawdopodobnie z innym lekarzem. Omawiali jakąś nową metodę postępowania z niesprawnymi umysłowo. Jakąś nową metodę leczenia? Możliwe. Z kontekstu wynikało, że była to metoda drastyczna.

— Czy znaleźliście na to lekarstwo? — powtórzył pytanie lekarz o okrągłej twarzy.

— Tak. Tak, znaleźliśmy — rzekł Ellis, starając się trzymać nerwy na wodzy. Doktor odstąpił o krok i wytrzeszczył oczy.

— Ależ to niemożliwe! Nie można naprawić mózgu, w którym występują wady organiczne — zanik czy niedorozwój... — Opanował się po chwili. — No, no, to ja panu zaczynani udzielać wyjaśnień. Niech pan działa, doktorze.

Ellis popatrzył na pacjenta leżącego na pierwszym łóżku.

— Proszę tu przyprowadzić pielęgniarza. Doktor zawahał się przez chwilę, a potem pośpiesznie wyszedł z sali.

Ellis schylił się nad katatonikiem i spojrzał mu w twarz. Nie był pewien tego, co robi, ale wyciągnął dłoń i palcem dotknął czoła mężczyzny.

Coś pstryknęło w mózgu Ellisa.

Człowiek w katatonii opadł na poduszki.

Ellis czekał, ale nic się nie działo. Podeszedł do drugiego pacjenta i powtórzył operację.

Ten też się przewrócił. Następny również.

Doktor przyprowadził dwóch pielęgniarzy, którzy patrzyli rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

— Co tu się dzieje? — zapytał. — Co pan zrobił?

— Nie wiem, czy nasze metody będą na was działały — zaryzykował Ellis. — Proszę, zostawcie mnie samego, zupełnie samego na pewien czas. Potrzebne mi skupienie.

Odwrócił się ponownie do pacjentów.

Doktor zaczął coś mówić, jednak zrezygnował i spokojnie odszedł, zabierając ze sobą pielęgniarzy.

Spocony Ellis zbadał puls pierwszego pacjenta. Serce mężczyzny wciąż biło. Doktor Ellis wyprostował się i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem.

Miał w sobie pewien rodzaj mocy — mógł rozciągnąć psychotyka na plecach. Świetnie. Nerwy — połączenia. Żałował, że nie pamięta, jak wiele połączeń nerwowych znajduje się w ludzkim mózgu. Jakaś fantastyczna liczba — dziesięć do dwudziestej piątej do dziesiątej? Nie, to nie brzmiało poprawnie. Ale z pewnością jakaś fantastyczna liczba.

Jakie to miało znaczenie? Z pewnością miało znaczenie. Pierwszy pacjent jęknął i usiadł. Ellis podeszedł do niego. Mężczyzna dotknął swej głowy i znowu jęknął.

Moja osobista terapia szokowa, myślał Ellis. Być może Ziemia odkryła lekarstwo na pomieszenie zmysłów i jako ostatni podarunek dla Wszechświata wysłali go, by leczył...

— Jak się pan czuje? — zapytał pacjenta.

— Nieźle — odpowiedział mężczyzna. Po angielsku!

— Co pan powiedział? — wydyszał Ellis. Zastanawiał się, czy nie nastąpił bezpośredni przekaz myśli. Czyżby przekazał mężczyźnie swą własną znajomość angielskiego? Pomyślmy, jeśli przesunąć obciążenie z uszkodzonych nerwów na nerwy nie używane...

— Czuję się świetnie, doktorze. Dobra robota. Nie byliśmy pewni, czy ten statek sklecony ze sznurków i tektury wytrzyma, ale jak już panu mówiłem, było to najlepsze, co mogliśmy zrobić w tych...

— Kim pan jest?

Mężczyzna wygramolił się z łóżka i rozejrzał po pokoju.

— Czy tubylcy odeszli?

— Tak.

— Jestem Haines, Przedstawiciel Ziemi. Co się z panem dzieje, Ellis?

Inni mężczyźni odzyskiwali przytomność.

— A oni...

— Doktor Clitell.

— Fred Anderson.

Mężczyzna, który nazwał się Hainesem, uważnie oglądał swe ciało.

— Mogłeś dla mnie znaleźć lepszego gospodarza, Ellis. Ze względu na starą znajomość. Ale nieważne. Co się z tobą dzieje, człowieku?

Ellis wyjaśnił, że ma amnezję.

— Dostałeś notatkę?

Ellis opowiedział o wszystkim.

— Wrócimy ci pamięć, nie martw się — rzekł Haines. — To wspaniale mieć znów ciało. Poczekaj.

Drzwi otworzyły się i zajrzał młody lekarz. Zobaczył pacjentów i krzyknął zaskoczony.

— Udało się panu! Pan potrafi...

— Proszę, doktorze — warknął Ellis. — Żadnych nagłych okrzyków. Muszę pana prosić, by mi nie przeszkadzano przynajmniej przez godzinę.

— Oczywiście — rzekł doktor z szacunkiem, cofnął głowę i zamknął za sobą drzwi.

— Jak to możliwe? — spytał Ellis, spoglądając na trzech mężczyzn. — Nie rozumiem...

— Wielkie odkrycie — wyjaśnił Haines. — Z pewnością pan to pamięta? Nie? Niech mu pan to

wyjaśni, Anderson.

Trzeci mężczyzna podszedł powoli. Ellis zauważył, że puste twarze zaczęły już nabierać wyrazu nadanego im przez ukryte za nimi umysły.

— Doktorze Ellis, czy nie pamięta pan badań nad składnikami osobowości?

Ellis potrząsnął głową.

— Szukał pan najmniejszego wspólnego mianownika ludzkiego życia i osobowości. Można by to nazwać praźródłem, jeśli pan sobie życzy. Badania zaczęły się właściwie prawie sto lat temu, kiedy Orgell odkrył, że osobowość jest niezależna od ciała, chociaż ciało na nią wpływa i modyfikuje. Pamięta pan teraz?

— Nie, niech pan mówi dalej.

— Mówiąc najprościej, pan i około trzydziestu innych osób odkryliście, że najmniejsza niepodzielna jednostka osobowości jest niezależną substancją niematerialną. Nazwał ją pan molekułą U. Jest to złożony wzorzec umysłowy.

— Umysłowy?

— Niech będzie — niematerialny — rzekł Anderson. — Można go przekazywać od nosiciela do nosiciela.

— Brzmi to jak opętanie — powiedział Ellis.

Anderson zauważył lustro w rogu sali i podszedł do niego, by przyjrzeć się swej nowej twarzy. Drgnął, gdy ją zobaczył, i wytarł z warg ślinę.

— Stare mity o opętaniu nie myliły się tak bardzo — stwierdził doktor Clitell. Jedynie on używał swego ciała z pewną swobodą. — Niektórzy ludzie zawsze mieli zdolność oddzielania swych umysłów od ciał. Projekcje astralne i podobne rzeczy. Ale dopiero ostatnio zlokalizowano osobowość i zastosowano niezmienniczą procedurę rozdzielania i resyntezy.

— Czy to znaczy, że jesteście nieśmiertelni? — spytał Ellis.

— Och, nie! — odparł Anderson, podchodząc. Krzywił się, próbując opanować podświadome ślinienie swego nosiciela. — Osobowość ma skończony okres życia. Jest on oczywiście trochę dłuższy niż okres życia ciała, ale jednak ma wyraźne ograniczenie. — Udało mu się powstrzymać wyciek śliny. — W stanie utajonym można ją natomiast przechowywać prawie w nieskończoność.

— A jakież mamy lepsze miejsce na zmagazynowanie niematerialnych molekuł — wtrącił Haines — niż pański własny umysł? Pańskie połączenia nerwowe zawierały nas cały czas, Ellis. Jest tam mnóstwo miejsca. Liczbę połączeń w mózgu określono na dziesięć do...

— Pamiętam tę część — przerwał mu Ellis.

— Zaczynam rozumieć.

Wiedział, dlaczego wybrano właśnie jego. Do tej pracy potrzeba było psychiatry, by zyskał dostęp do potencjalnych nosicieli. Został specjalnie przeszkolony. Oczywiście Kreldanom nie można powiedzieć jeszcze o misji ani o molekule U. Nie przyjęliby dobrze faktu, że ich ludzie — nawet ci niepełnowartościowi — zostali opętani przez Ziemiaków.

— Popatrz na to — rzekł Haines.

Zafascynowany zginał palce do tyłu. Odkrył, że jego nosiciel ma podwójne stawy. Pozostali dwaj mężczyźni próbowali swych ciał w sposób, w jaki ludzie sprawdzają konie. Zginali ramiona, napinali mięśnie, ćwiczyli chodzenie.

— Ale jak rasa... To znaczy, co z kobietami? — spytał Ellis.

— Niech pan wydobędzie więcej nosicieli — powiedział mu Haines, wciąż wypróbowując swe palce. — Mężczyzn i kobiet. Będzie pan największym lekarzem na tej planecie. Zostaną do pana przyprowadzeni wszyscy chorzy psychicznie, by ich pan wyleczył. Oczywiście wszyscy dochowamy sekretu. Nikt się nie wygada, nim nadejdzie właściwa pora. — Przerwał na chwilę i uśmiechnął się. — Ellis, czy uświadamia pan sobie, co to znaczy? Ziemia nie umarła! Ożyje znowu.

Ellis skinął głową. Trudno mu było utożsamiać wielkiego, łagodnego Hainesa z filmu z tym strachem na wróble o piskliwym głosie. Przystosowanie się wymagać będzie wiele czasu i wysiłku.

— Lepiej weźmy się do pracy — rzekł Anderson. — Gdy już obsłuży pan wszystkich chorych umysłowo na tej planecie, zaopatrzymy pański statek w paliwo i wyślemy pana dalej.

— Dokąd? — spytał Ellis. — Na następną planetę?

— Oczywiście. Prawdopodobnie na tej planecie jest tylko parę milionów nosicieli, gdyż nie ruszamy normalnych.

— Tylko! Ale jak wielu ludzi zmagazynowałem?

W holu dały się słyszeć głosy.

— Naprawdę trzeba pana wyleczyć — rzekł rozbawiony Haines. — Z powrotem do łóżek, chłopcy, zdaje się, że słyszę tego lekarza. Ilu ludzi? Ludność Ziemi wynosiła około czterech miliardów. Pan ma ich wszystkich.

Szewski mat

Gracze spotkali się przy wielkiej, bez — czasowej szachownicy Kosmosu. Świeące punkty — piony i figury — przepływały w oddzielnych układach. W tej konfiguracji od samego początku, nawet przed wykonaniem pierwszego ruchu, krył się wynik gry.

Obydwaj gracze zobaczyli to i zrozumieli, kto został zwycięzcą.

Grali jednak dalej, ponieważ gra musiała być doprowadzona do końca.

— Nielson!

Porucznik Nielson siedział z idyllicznym uśmiechem na ustach przy konsoli sterującej ogniem dział. Nie podniósł głowy.

— Nielson!

Porucznik oglądał właśnie swe palce wzrokiem zaintrygowanego dziecka.

— Nielson! Otrząśnij się! — Generał Branch patrzył na niego poważnie z góry. — Czy pan mnie słyszy, poruczniku?

Nielson tępo potrząsnął głową. Znowu zaczął oglądać swoje palce, a potem jego wzrok przyciągnęły połyskujące rzędy przycisków na konsoli.

— Śliczne — rzekł.

Generał Branch wszedł do boksu, złapał Nielsona za ramiona i potrząsnął nim.

— Śliczności — rzekł Nielson, wskazując na konsolę. Uśmiechnął się do Brancha.

Margraves, następny w linii dowodzenia, wsunął głowę do środka. Wciąż nosił na rękawie belki sierżanta, gdyż dopiero trzy dni temu awansowano go na pułkownika.

— Ed — powiedział Margraves — przyleciał wysłannik prezydenta. Nagła wizytacja.

— Poczekaj chwilę — odrzekł Branch. — Chcę dokończyć tej inspekcji.

Uśmiechnął się kwaśno. A to dopiero inspekcja, kiedy chodzisz sobie licząc, ilu zostało ci ludzi zdrowych psychicznie.

— Czy pan mnie słyszy, poruczniku?

— Dziesięć tysięcy statków — rzekł Nielson. — Dziesięć tysięcy statków — wszystkie przepadły!

— Przepraszam — rzekł Branch. Pochylił się i trzepnął go ostro w twarz.

Porucznik Nielson zalał się łzami.

— Hej, Ed, co z tym wysłannikiem?

Z bliska oddech pułkownika Margravesa był po prostu gęstym odorem whisky, ale Branch nie ganił go za to. Jeżeli pozostał ci jeden dobry oficer, nie udzielasz mu nagany, bez względu na to, co robi. Ponadto Branch popierał whisky. W tych okolicznościach był to dobry środek rozładowujący napięcie. Prawdopodobnie lepszy niż mój własny, pomyślał, patrząc na swe pokaleczone kostki palców.

— Zaraz tam będę. Nielson, czy mnie rozumiesz?

— Tak, proszę pana — rzekł porucznik drżącym głosem. — Teraz już czuję się dobrze, proszę pana.

— To świetnie — rzekł Branch. — Czy możesz nadal pełnić służbę?

— Przez pewien czas — odrzekł Nielson. — Ale proszę pana, jestem niezdrów. Czuję to.

— Wiem o tym — rzekł Branch. — Zasługuje pan na wypoczynek. Tylko że jest pan jedynym oficerem działowym po tej stronie statku. Pozostali są w lazarecie.

— Spróbuję, proszę pana — rzekł Nielson, spoglądając znów na konsolę dział. — Ale od czasu do czasu słyszę głosy. Nie mogę nic obiecywać, proszę pana.

— Ed — zaczął znów Margraves — ten wysłannik...

— Już idę. Jesteś dobrym żołnierzem, Nielson.

Porucznik nie podniósł głowy, kiedy generał i pułkownik wychodzili z pomieszczenia.

— Zaprowadziłem go na mostek — rzekł Margraves, nad słuchując w czasie marszu odgłosów od prawej burty. — Zaproponowałem mu drinka, ale nie chciał.

— W porządku — odparł Branch.

— Po prostu pękał od pytań — ciągnął Margraves, chichocząc do siebie. — To jeden z tych poważnych, opalonych chłopców z Departamentu Stanu, którego wysłali tu, by w ciągu pięciu minut wygrał wojnę. Bardzo przyjacielski. Chciał znać moje zdanie na temat tego, dlaczego flota manewrowała przez rok w Kosmosie, nie podejmując żadnych działań.

— Co mu powiedziałaś?

— Powiedziałem, że czekamy na dostawę dział niszczących — odparł pułkownik. — Myślę, że prawie mi uwierzył. Potem zaczęliśmy rozmawiać o logistyce.

— Hmmm — zadumał się Branch.

Nie wiadomo, co na wpół pijany Margraves powiedział wysłannikowi. I tak było to bez znaczenia. Oficjalne śledztwo w sprawie prowadzenia wojny powinno rozpocząć się już dawno.

— Zostawiam cię tutaj — rzekł Margraves. — Muszę się zająć pewną nie dokończoną sprawą.

— W porządku — odrzekł Branch, ponieważ tylko to mógł powiedzieć. Wiedział, że nie dokończona sprawa Margravesa dotyczyła butelki.

Sam pomaszerował na mostek.

Wysłannik prezydenta patrzył na ogromny, pokrywający całą ścianę ekran strategiczny, na którym zarzyły się układy ruchomych punktów. Tysiące zielonych kropek z lewej strony przedstawiało ziemską flotę, oddzieloną czarną pustką od pomarańczowych kropek wroga. Płynny trójwymiarowy front zmieniał się powoli. Armie kropek skupiały się, przesuwwały, cofały, następowały, wszystko z hipnotyzującą powolnością.

Ale wciąż pozostawała między nimi czarna pustka. Generał Branch oglądał ten widok od prawie roku. Dla niego ekran był zbędnym luksusem. Nie mógł na jego podstawie określić, co dzieje się naprawdę. Jedynie kalkulatory KPU potrafiły to zrobić, a one nie potrzebowały żadnych ekranów.

— Dzień dobry, generale — powiedział wysłannik prezydenta, podchodząc i wyciągając do Brancha rękę. — Nazywam się Richard Ellsner.

Branch uściśnął mu dłoń i pomyślał sobie, że Margraves podał całkiem niezły rysopis.

Wysłannik miał nie więcej niż trzydziestkę. Jego opalenizna wydawała się dziwna Branchowi, który ostatni rok spędził wśród bladeuszy.

— Moje listy uwierzytelniające — rzekł Ellsner, wręczając generałowi plik kartek. Branch przerzucił je, zauważył nominację Ellsnera na Głos Prezydenta w Kosmosie. Ogromny zaszczyt dla tak młodego człowieka.

— Co słysząc na Ziemi? — spytał Branch, aby coś powiedzieć. Wskazał Ellsnerowi fotel i sam też usiadł.

— Jest ciężko — odpowiedział Ellsner. — Obraliśmy planetę z pierwiastków radioaktywnych, by pańska flota mogła działać. Nie mówiąc już o straszliwych kosztach przesyłania jedzenia, tlenu, części zamiennych i innego sprzętu potrzebnego do utrzymywania w polu armii tej wielkości.

— Wiem o tym — stwierdził cicho Branch, a jego szeroka twarz nic nie wyrażała.

— Zacznę od skarg prezydenta — rzekł Ellis, uśmiechając się przeproszająco. — Chciałbym po

prostu zrzucić to brzemień z barków.

— Niech pan mówi — zachęcił go Branch.

— Więc mija już — zaczął Ellsner, zaglądając do kieszonkowego notatnika — jednaście miesięcy i siedem dni, jak przebywacie w Kosmosie. Zgadza się?

— Tak jest.

— W tym czasie miały miejsce drobne utarczki, ale żadnych rzeczywistych działań. Pan — i dowódca przeciwników — zadowalaliście się widocznie wzajemnym obwąchiwaniem, niczym obrażone na siebie psy.

— Nie użyłbym tego porównania — odparł Branch, czując przyływ niechęci do młodego człowieka. — Ale niech pan kontynuuje.

— Proszę o wybaczenie. To było nieszczęśliwe, chociaż nieuniknione porównanie. W każdym razie nie przeprowadzono żadnej bitwy mimo waszej przewagi liczebnej. Nie myślę się?

— Nie myli się pan.

— I wie pan, że utrzymanie tej floty nadweręża zasoby Ziemi. Prezydent pragnie wiedzieć, dlaczego nie stoczono dotychczas bitwy.

— Chciałbym wysłuchać najpierw pozostałych skarg — rzekł Branch.

Zacisnął swe poobijane pięści, ale z godnym podziwu opanowaniem trzymał je opuszczone, przy bokach.

— Dobrze. Rozpatrzmy sprawę morale w armii. Wciąż otrzymujemy od pana meldunki o przypadkach zmęczenia walką, nazywając rzeczy po imieniu — załamań nerwowych. Dane są absurdalne! Dziesięć procent pańskich ludzi siedzi w zamkniętych oddziałach psychiatrycznych szpitali polowych. To znacznie odbiega od normy, nawet jeśli uwzględnić tę stresową sytuację.

Branch milczał.

— Mówiąc krótko — rzekł Ellsner — chciałbym otrzymać odpowiedź na te pytania. Następnie chciałbym pańskiej pomocy przy rokowaniach pokojowych. Ta wojna od początku była absurdalna. Wybuchła nie z winy Ziemi. Prezydent uważa, że zważywszy statyczną sytuację na froncie dowództwo naszych wrogów będzie skłonne do negocjacji.

Pułkownik Margraves wszedł zataczając się. Twarz miał zaczerwienioną. Skończył swą nie zakończoną sprawę. Poprzednio był na wpół pijany — teraz do tej połowy dodał następną ćwiartkę.

— Czyżbym coś słyszał o jakichś rokowaniach pokojowych? — krzyknął.

Ellsner wlepił w niego na chwilę wzrok, a potem znów odwrócił się do Brancha.

— Przypuszczam, że z tym poradzi pan sobie sam. Jeśli skontaktuje się pan z wrogiem dowódcą, spróbuję dojść z nim do porozumienia.

— Oni nie są zainteresowani — odparł Branch.

— Skąd pan wie?

— Próbowałem. Od pół roku próbuję zawrzeć zawieszenie broni. Chcą całkowitej kapitulacji.

— Ależ to nonsens — rzekł Ellsner, potrząsając głową. — Nie mają żadnych atutów. Floty są mniej więcej tych samych rozmiarów. Nie było jeszcze żadnych większych starć. Jak mogą...

— Z łatwością — ryknął Margraves, podchodząc do wysłannika i patrząc mu w twarz dzikim wzrokiem.

— Generale. Ten człowiek jest pijany. — Ellsner zerwał się na nogi.

— Oczywiście, ty mały idioto. Czy tego nie rozumiesz? Wojna jest przegrana! Całkowicie, nieodwracalnie.

Ellsner odwrócił się z gniewem do Brancha. Generał westchnął i powstał.

— To prawda, panie Ellsner. Wojna jest przegrana i wszyscy ludzie we flocie wiedzą o tym. To właśnie przeszkadza w utrzymaniu morale. Po prostu sterczymy tu i czekamy, aż nas zlikwidują.

Floty poruszyły się i przegrupowały. Tysiące punktów unosiło się w przestrzeni w poskręcanych, przypadkowych układach.

Pozornie przypadkowych. Układy przeplotły się, otworzyły i zamknęły. Każda konfiguracja, dynamicznie, delikatnie zrównoważona, była zaplanowanym ruchem na froncie o długości dwustu tysięcy kilometrów. Punkty z drugiej strony przesunęły się i dopasowały do nowego układu.

Po której stronie leżała przewaga? Dla nie wyćwiczonego oka gra w szachy wydaje się bezsensownym rozstawieniem figur. Ale dla szachistów partia może być już wygrana lub przegrana.

Mechaniczni gracze poruszający tysiącami punktów wiedzieli, kto wygrał, a kto przegrał.

— Odprężmy się teraz — powiedział pojednawczo Branch. — Margraves, przyrządź nam parę drinków. Wszystko wyjaśnię.

Pułkownik podszedł do dobrze zaopatrzonej szafki w rogu pokoju.

— Czekam z niecierpliwością — rzekł Ellsner.

— Najpierw przegląd sytuacji. Pamięta pan, jak wypowiedano wojnę dwa lata temu? Obie strony podpisały pakt Holmstead, zakazujący bombardowania planet. Zorganizowano spotkanie flot w Kosmosie.

— To zamierzcha historia — przerwał Ellsner.

— Od niej się wszystko zaczęło. Ziemska flota wystartowała w szyku i poleciała na miejsce spotkania — Branch odchrząknął. — Czy zna pan KPU? Kalkulatory prawdopodobieństw Układów? Są one podobne do szachistów, lecz o zwielokrotnionych możliwościach. One ustawiają flotę w optymalnym układzie zaczepno — obronnym, zależnym od położenia floty przeciwnika. Ustawiono więc pierwszy wzór.

— Nie widzę potrzeby... — zaczął Ellsner, ale Margraves, powróciwszy z drinkami, przerwał mu.

— Poczekaj, chłopcze. Wkrótce doznasz olśnienia.

— Kiedy floty się spotkały, KPU obliczyły prawdopodobieństwa skutków ataku. Obliczyły, że stracimy około osiemdziesiąt siedem procent naszej floty, a przeciwnicy sześćdziesiąt pięć procent. Jeżeli oni zaatakują, stracą siedemdziesiąt dziewięć procent, a my sześćdziesiąt cztery. Tak to wtedy wyglądało. Stosując ekstrapolację można się przekonać, że ich optymalny wzorzec ataku — zgodnie z ówczesnymi danymi — pochłonięliby u nich czterdzieści pięć procent floty. My atakując optymalnie stracilibyśmy siedemdziesiąt dwa procent.

— Niewiele wiem o KPU — przyznał Ellsner. — Moją dziedziną jest psychologia.

Pociągnął drinka, skrzywił się i znowu pociągnął.

— Niech pan ich sobie wyobrazi jako graczy w szachy — kontynuował Branch. — Mogą oszacować prawdopodobieństwo strat podczas ataku, dla każdego układu w dowolnym punkcie czasowym. Mogą ekstrapolować prawdopodobne posunięcia obu stron. Dlatego nie nawiązaliśmy walki, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Żaden dowódca nie wyćwiczonego oka gra w szachy wydaje się bezsensownym rozstawieniem figur. Ale dla szachistów partia może być już wygrana lub przegrana.

Mechaniczni gracze poruszający tysiącami punktów wiedzieli, kto wygrał, a kto przegrał.

— Odprężmy się teraz — powiedział pojednawczo Branch. — Margraves, przyrządź nam parę drinków. Wszystko wyjaśnię.

Pułkownik podszedł do dobrze zaopatrzonej szafki w rogu pokoju.

— Czekam z niecierpliwością — rzekł Ellsner.

— Najpierw przegląd sytuacji. Pamięta pan, jak wypowiedano wojnę dwa lata temu? Obie strony podpisały pakt Holmstead, zakazujący bombardowania planet. Zorganizowano spotkanie flot w Kosmosie.

— To zamierzchła historia — przerwał Ellsner.

— Od niej się wszystko zaczęło. Ziemska flota wystartowała w szyku i poleciała na miejsce spotkania — Branch odchrząknął. — Czy zna pan KPU? Kalkulatory prawdopodobieństw Układów? Są one podobne do szachistów, lecz o zwielokrotnionych możliwościach. One ustawiają flotę w optymalnym układzie zaczepno — obronnym, zależnym od położenia floty przeciwnika. Ustawiono więc pierwszy wzór.

— Nie widzę potrzeby... — zaczął Ellsner, ale Margraves, powróciwszy z drinkami, przerwał mu.

— Poczekaj, chłopcze. Wkrótce doznasz olśnienia.

— Kiedy floty się spotkały, KPU obliczyły prawdopodobieństwa skutków ataku. Obliczyły, że stracimy około osiemdziesiąt siedem procent naszej floty, a przeciwnicy sześćdziesiąt pięć procent. Jeżeli oni zaatakują, stracą siedemdziesiąt dziewięć procent, a my sześćdziesiąt cztery. Tak to wtedy wyglądało. Stosując ekstrapolację można się przekonać, że ich optymalny wzorzec ataku — zgodnie z ówczesnymi danymi — pochłonięły u nich czterdzieści pięć procent floty. My atakując optymalnie stracilibyśmy siedemdziesiąt dwa procent.

— Niewiele wiem o KPU — przyznał Ellsner. — Moją dziedziną jest psychologia.

Pociągnął drinka, skrzywił się i znowu pociągnął.

— Niech pan ich sobie wyobrazi jako graczy w szachy — kontynuował Branch. — Mogą oszacować prawdopodobieństwo strat podczas ataku, dla każdego układu w dowolnym punkcie czasowym. Mogą ekstrapolować prawdopodobne posunięcia obu stron. Dlatego nie nawiązaliśmy walki, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Żaden dowódca nie chciałby, po prostu tak sobie, unicestwiać całej swej floty.

— Dlaczego nie wykorzystaliście waszej przewagi liczebnej? — spytał Ellsner. — Dlaczego nie staraliście się poprawić waszej sytuacji?

— Oto nadchodzi oświecenie — krzyknął Margraves, sącząc drinka.

— Niech mi pan pozwoli wyłożyć to przez analogię — odparł Branch. — Jeśli ma pan dwóch szachistów o jednakowych kwalifikacjach, końcowy wynik jest zdeterminowany, gdy jeden z nich uzyska w pewnym momencie przewagę. Kiedy przewaga już istnieje, drugi gracz nic nie może zrobić, o ile pierwszy gracz nie popełni omyłki. Wynik gry jest przesadzony. Punkt przełomowy może nastąpić po kilku ruchach od rozpoczęcia gry, choć sama gra może się jeszcze ciągnąć godzinami.

— I proszę pamiętać — wtrącił Margraves — przypadkowy widz może nie dostrzec przewagi. Na szachownicy mogą stać wszystkie figury.

— Właśnie to się tutaj wydarzyło — dokończył smutno Branch. — Jednostki KPU obu flot pracują maksymalnie wydajnie. Ale wróg ma przewagę, którą starannie wykorzystuje. I nic nie możemy na to poradzić.

— Ale jak do tego doszło? — spytał Ellsner.

— Komu powinięła się noga?

— KPU dotarły do przyczyny naszej klęski — rzekł Branch. — Koniec wojny był już zapisany w naszej formacji startowej.

— Co chce pan przez to powiedzieć? — spytał Ellsner, odstawiając drinka.

— To proste. W formacji, którą utworzyliśmy lata świetlne od miejsca bitwy, zanim jeszcze nawiązaliśmy kontakt z nieprzyjacielem. Kiedy obydwie floty się spotkały, oni mieli minimalną przewagę pozycji. To wystarczyło. W każdym razie dla KPU.

— Jeśli to jest jakaś pocięcha — wtrącił Margraves — szansę były pół na pół. Równie dobrze my moglibyśmy mieć przewagę.

— Muszę się o tym dowiedzieć czegoś więcej — rzekł Ellsner. — Nie rozumiem jeszcze tego wszystkiego.

— Wojna jest przegrana — warknął Branch.

— Cóż więcej chciałby pan wiedzieć?

Ellsner potrząsnął głową.

— „Zaliż usidlisz mnie przeznaczeniem” — zacytował Margraves — „a potem mój upadek przypiszesz grzechowi?”

Porucznik Nielson siedział przed konsolą kierowania ogniem. Splótł palce — rzecz niezbędna, ponieważ odczuwał trudną do przewyciężenia chęć naciskania guzików. Ślicznych guzików.

Potem zaklął i usiadł na rękach. Obiecał generałowi Branchowi, że będzie się trzymał, i było to ważne. Od trzech dni nie widział generała, ale postanowił się trzymać. Z determinacją utkwiał wzrok w tarczach sterowania ogniem.

Delikatne wskazówki drgnęły i pokazały odległość. Szczeliny świetlne dostosowały się do zasięgu. Statek manewrował. Na wąskich indykatorach wskaźniki podnosiły się i opadały, prawie dochodząc do czerwonej linii, ale nigdy jej nie dotykając.

Czerwona linia oznaczała alarm. Nielson zacząłby strzelać właśnie wtedy, gdy czarna strzałka przetnie czerwoną linię.

Czekał już prawie rok na tę strzałkę. Strzałka. Strzela. Strzałka. Strzela.

Przestań.

Wtedy właśnie zacząłby strzelać.

Porucznik Nielson podniósł dłonie na wysokość oczu i obejrzał swe palce. Starannie usunął odrobinę brudu z paznokcia. Ponownie splótł palce i popatrzył na śliczne guziki, na czarną strzałkę, na czerwoną linię.

Uśmiechnął się do siebie. Obiecał generałowi. Nie dalej jak trzy dni temu.

Udawał więc, że nie słyszy skierowanego do siebie szeptu guzików.

— Nie rozumiem tylko — rzekł Ellsner — dlaczego nie możecie czegoś zrobić z tym ustawieniem? Na przykład wycofać się i przegrupować?

— Ja to wyjaśnię — rzekł Margraves. — Dzięki temu Ed będzie mógł się czegoś napić. Podejdź tutaj.

Powiódł Ellsnera do konsoli z przyrządami. Od trzech dni oprowadzali gościa po statku, głównie dlatego, by złagodzić własne napięcie. Ostatni dzień zmienił się w przedłużoną pijatykę.

— Czy widzisz tę tarczę?

Margraves wskazał jeden z instrumentów. Konsola miała wymiary metr dwadzieścia na sześć metrów. Znajdujące się na niej przyciski i przełączniki sterowały ruchami całej floty.

— Zwróć uwagę na obszar zakreskowany. To granica naszego bezpieczeństwa. Jeżeli użylibyśmy zabronionej konfiguracji, wskaźnik przejdzie tam i rozpęta się piekło.

— A co to jest zakazana konfiguracja? Margraves myślał przez chwilę.

— Zakazane konfiguracje to te, które dają wrogowi przewagę przy ataku. Lub, używając innego sformułowania, te ruchy, które na tyle zmieniają prawdopodobieństwo strat, by sprowokować atak.

— Możecie więc poruszać się tylko w ściśle określonych granicach?

— Tak jest. Z nieskończonej liczby możliwych formacji możemy wybrać jedynie kilka, jeśli nie chcemy ryzykować. To jest jak w szachach. Powiedzmy, że chcemy dojść pionem z szóstego rzędu do końca szachownicy. Potrzeba na to dwóch ruchów. Ale kiedy poruszysz się do siódmego rzędu, twój przeciwnik ma oczyszczoną drogę, prowadzącą w sposób nieunikniony do mata. Oczywiście, jeśli przeciwnik posunie się zbyt śmiało, szansę zmienią się znowu i to my zaatakujemy.

— To nasza jedyna nadzieja — powiedział generał Branch. — Modlimy się, by popełnili błąd. Flota jest w stanie gotowości do natychmiastowego ataku, jeśli nasze KPU wskażą, że w którymś miejscu wróg zbyt rozciągnął swe linie.

— I to jest właśnie przyczyna załamania nerwowego — stwierdził Ellsner. — Każdy człowiek we

flocie czeka na szansę, mając pewność, że ona nie nadejdzie. A jednak musi czekać. To szarpie nerwy. Jak długo jeszcze potrwa taka sytuacja?

— Przesuwanie się i sprawdzanie może zająć nieco ponad dwa lata — wyjaśnił Branch. — Wtedy nasi przeciwnicy osiągną optymalną formację do ataku, z prawdopodobieństwem dwudziestu ośmiu procent strat. Dla nas prawdopodobieństwo to wyniesie dziewięćdziesiąt trzy procent. Będą musieli wtedy zaatakować albo prawdopodobieństwa zaczną się zmieniać na naszą korzyść.

— Biedne chłopaki — rzekł łagodnie Ellsner. — Macie świadomość, że prędzej czy później zostaniecie zmieceni z Kosmosu.

— W tym jest właśnie cała przyjemność — rzekł Margraves, reagując instynktowną niechęcią na współczucie cywila.

W konsoli coś zabrzęczało. Branch podszedł i włączył linię.

— Halo? Tak. Tak... W porządku, Williams. Dobrze.

Rozłączył się.

— Pułkownik Williams musiał pozamykać swych ludzi w pokojach — wyjaśnił Branch. — To już trzeci raz w tym miesiącu. Muszę polecić KPU, by wykombinowały taką formację, żeby można było zdjąć Williamsa z frontu.

Podszedł do ściany i zaczął naciskać guziki.

— Teraz już wiesz. Co planujesz, panie Wysłanniku Prezydenta? — spytał Margraves.

Świecące punkciki przemieszczały się i rozstawiały, posuwały do przodu i cofały, zachowując niezmiennie między sobą barierę czarnego Kosmosu. Mechaniczni szachiści obserwowali każde posunięcie, obliczając jego skutki w dalekiej przyszłości. Figury chodziły tam i z powrotem po wielkiej szachownicy.

Szachiści pracowali bez emocji, znając już wynik gry. W ich ściśle uporządkowanym Wszechświecie nie zdarzały się fluktuacje, głupota czy porażki.

Robili ruch. I wiedzieli. I robili ruch.

— Och, tak — rzekł porucznik Nielson do uśmiechającego się pokoju. — Och, tak. — Co za przyciski, pomyślał, śmiejąc się do siebie.

Tak głupio. Georgia.

Nielson przyjął głęboki błękit świętości, drapując go na ramionach. Skądś dobiegał śpiew ptasząt.

Oczywiście.

Trzy czerwone przyciski. Wcisnął je. Trzy zielone przyciski. Wcisnął. Riverread.

— *Oho, Nielson zwariował.*

— Trójka jest dla mnie — rzekł Nielson i dotknął czoła z najwyższą ukradkowością. Potem sięgnął znowu do klawiatury. Przez mózg pędziły mu niewyobrażalne skojarzenia, wywoływane przez nieprzewidywalne bodźce.

— *Lepiej go złap. Uważaj!*

Delikatne ręce otaczają mnie, kiedy wciskam dwa, są brązowe za mamusię i jeden wysoko za całą resztę.

— *Nie dajcie mu strzelać z tych dział!*

Podniesiono mnie w powietrze, lecę, lecę.

— Czy dla tego człowieka jest jakaś nadzieja? — spytał Ellsner, kiedy już zamknęli Nielsona w lazarecie.

— Któż to wie? — odrzekł Branch. Jego szeroka twarz stężała. Zawężłone mięśnie wypychały mu policzki. Nagle odwrócił się, krzyknął i walnął pięścią w metalową ścianę. Potem chrząknął i uśmiechnął się nieśmiało.

— Wariactwo, prawda? Margraves upija się. Ja wypuszczam parę waląc w ściany. Chodźmy coś zjeść.

Oficerowie jadali oddzielnie. Branch odkrył, że niektórzy z oficerów ginęli z rąk psychotycznych członków załogi. Najlepiej było trzymać ich osobno.

Podczas posiłku Branch zwrócił się nagle do Ellsnera:

— Chłopcze, nie powiedziałem ci całej prawdy. Mówiłem, że taka sytuacja będzie się ciągnąć przez lata? Cóż, ludzie nie przetrwają tak długo. Wątpię, czy zdołam utrzymać flotę w kupie przez następne dwa tygodnie.

— Co proponujesz?

— Nie wiem — odpowiedział Branch.

Wciąż odrzucał myśl o poddaniu się, chociaż rozumiał, że jest to jedyne realne wyjście.

— Nie jestem pewien — rzekł Ellsner — ale być może istnieje pewne rozwiązanie pańskiego dylematu.

Oficerowie przerwali jeźdzenie i popatrzyli na niego. — Czy ma pan dla nas jakąś tajną broń? — spytał Margraves. — Dezintegrator przypięty do piersi?

— Niestety nie mam. Sądzę jednak, iż jesteście tak blisko miejsca wydarzeń, że nie widzicie ich we właściwym świetle. Przypadek lasu, zza którego nie widać drzew.

— Mów dalej — zachęcił go Branch, żując metodycznie kawałek chleba.

— Spójrzcie na świat, tak jak widzą go KPU. Świat, gdzie rządzą ściśle związki przyczynowe. Logiczny, spójny. Każdy czynnik można natychmiast uzasadnić. To nie jest obraz prawdziwego świata. Niektórych rzeczy nie da się w istocie wyjaśnić. KPU mają postrzegać Wszechświat w szczególny sposób i na tej podstawie ekstrapolować.

— Co byś więc zrobił? — spytał Margraves.

— Wytrąciłbym świat z równowagi — rzekł Ellsner. — Wniósł do niego niepewność. Dodał czynnik ludzki, nieobliczalny dla maszyn.

— Jak chcesz wprowadzić niepewność do gry w szachy? — spytał Branch, zaintrygowany nieoczekiwaniem dla samego siebie.

— Może kichając w krytycznym momencie. Jak maszyna mogłaby obliczyć coś takiego?

— Nie musiałaby nic obliczać. Po prostu zaklasyfikowałaby to jako nieistotny hałas i zignorowała go.

— To prawda. — Ellsner myślał przez chwilę. — A ta bitwa... jak długo potrwa, gdy już zaczną się prawdziwe potyczki?

— Około sześciu minut — poinformował go Branch. — Plus minus dwadzieścia sekund.

— To potwierdza mój pomysł. Wasza analogia szachowa jest mylna. To porównanie nie odzwierciedla prawdy.

— To wygodny sposób przedstawiania sobie całej sytuacji — rzekł Margraves.

— Ale to nieprawdziwe przedstawienie. Danie mata królowi nie może być tożsame ze zniszczeniem floty. Inne elementy sytuacji też nie przypominają szachów. W szachach gra się według reguł uprzednio uzgodnionych przez graczy. W tej grze możecie stworzyć swoje własne zasady.

— Ta gra ma własne, wewnętrzne reguły.

— Nie — zaproponował Ellsner. — Tylko KPU mają reguły. — A co sądzicie o takim pomysle? Przypuśćmy, że byście się uwolnili od KPU. Zwrócilibyście każdemu dowódcy jego głowę i kazali mu atakować, kiedy uzna za stosowne, bez z góry ustalonego planu. Co by się stało?

— To by się nie udało — odrzekł Margraves. — KPU mimo to mogłyby zdominować całą scenę,

wykorzystując zdolności planowania, jakie ma przeciętny człowiek. Co więcej, łatwo poradziłyby sobie z atakiem kilku tysięcy drugorzędnych kalkulatorów — ludzi. To jakby strzelać do glinianych gołębi.

— Ale musicie podjąć jakieś próby — powiedział Ellsner błagalnie.

— Posłuchaj — rzekł Branch. — Możesz sobie dowolnie tryskać teoriami. Wiem, co mówią mi KPU, i wierzę im. Nadal dowodzę tą flotą i nie chcę ryzykować życia moich podwładnych, stosując jakieś narwane plany.

— Dzięki narwanym planom czasami wygrywa się wojny — rzekł Ellsner.

— Zwykle się je przegrywa.

— Sam przyznałeś, że wojna jest już przegrana.

— Mogę czekać na pomyłkę przeciwników.

— Czy sądzisz, że się pomylą?

— Nie.

— Więc cóż?

— Mimo to będę czekał.

Reszta posiłku upłynęła w ponurym milczeniu. Potem Ellsner poszedł do swojej kabiny.

— I jak, Ed? — spytał Margraves, rozpinając koszulę.

— Sam sobie odpowiedz — odrzekł generał.

Leżał na łóżku, próbując nie myśleć o niczym. To było już za dużo. Logistyka. Z góry przesądzone bitwy. Nadchodząca klęska. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie walnąć pięścią w ścianę, ale zrezygnował. Ręka już była nadwerżona. Poszedł spać.

Na pograniczu drzemki i snu usłyszał szcęk. Drzwi! Branch wyskoczył z łóżka i szarpnął za klamkę. Potem zawisnął na niej całym ciężarem.

Drzwi były zamknięte.

— Generale, proszę zapiąć pasy. Atakujemy.

Głos Ellsnera dobiegał z interkomu.

— Obejrzałem tę waszą konsolę, generale, i znalazłem magnetyczne zamki do drzwi. Bardzo

przydatne w czasie buntu, prawda?

— Ty idioto! — krzyknął Branch. — Wszystkich nas pozabijasz! KPU...

— Wyłączyłem KPU — stwierdził miłym głosem Ellsner. — Jestem dosyć logicznie myślącym typem i sądzę, że wiem, jak kichnąć, żeby im przeszkodzić.

— On zwariował — krzyknął do Brancha Margraves. Razem taranowali metalowe drzwi.

Potem rzuciło nimi o podłogę.

— Artylerzyści — ogień dowolny! — nadał Ellsner do floty.

Statek był w ruchu. Atak rozpoczął się!

Punkty dryfowały, skupione razem, przekraczając ziemię niczyją w Kosmosie.

Zlały się. Energia rozbłysła i rozpoczęła się bitwa.

Sześć minut — według ludzkiego czasu. Godziny — dla elektronicznie szybkiego szachisty. Przez chwilę sprawdzał swe figury, analizując wzorzec ataku.

Nie było żadnego wzorca!

Połowa walczących figur szachowych wystrzeliła w Kosmos, całkowicie poza teren bitwy. Naprzód wysuwały się całe skrzydła, rozdzielały się, gwałtownie skręcały w przód, rozformowywały szyki, formowały je znowu.

Nie ma wzorca? Musiał być jakiś wzorzec. Szachista wiedział, że wszystko dzieje się według pewnego wzorca. Problem polegał jedynie na tym, by znaleźć go, uwzględnić ruchy, które zostały zrobione, i ekstrapolując je, określić, do czego doprowadzą.

Doprowadzały... do chaosu!

Punkty włączały się i wyłączały, wystrzeliwały pod prostymi kątami z pola bitwy, reflektowały się i wracały, bezsensownie.

Co to ma znaczyć? — zadawał sobie pytanie szachista z elektronicznym spokojem. Czekał, aż wyłoni się rozpoznawalna konfiguracja.

Czekał obojętnie, a jego figury spadały z szachownicy.

— Wypuszczam was teraz z kajut — zawołał Ellsner — ale nie próbujcie mnie powstrzymać. Sądzę, że wygrałem waszą bitwę.

Zamek otworzono. Dwaj oficerowie pobiegli korytarzem na mostek, gotowi rozerwać Ellsnera na strzępy.

Na mostku zwolnili.

Na ekranie masa punktów Ziemi zmiatała rozproszone grupki punktów wroga.

Zatrzymał ich jednak dopiero widok Nielsona. Śmiał się, jego ręce szalały po przełącznikach i przyciskach wielkiej konsoli głównej. KPU buczeniem ogłaszały dotychczasowe straty. Ziemia — osiemnaście procent. Wróg — osiemdziesiąt cztery. Osiemdziesiąt sześć. Ziemia — dziewiętnaście procent.

— Mat! — krzyknął Ellsner. Stał obok Nielsona, trzymając w zaciśniętej dłoni klucz Stillsona. — Brak wzorca. Dostarczyłem wrogiemu KPU czegoś, z czym nie mógł sobie poradzić. Atak bez widocznego wzorca. Formacja bezsensowna!

— Ale co oni robią? — spytał Branch, wskazując na kurczące się kropki wroga.

— Ciągłe polegają na swoim szachiście — rzekł Ellsner. — Ciągłe czekają, aż wynajdzie wzorzec ataku w swym zwariowanym umyśle. Za wiele wiary w maszyny, generale. Ten człowiek tutaj nawet nie wie, że kieruje atakiem.

...i pchnij trzy, co jest dla taty na drzewie oliwnym zawsze chciałem do dwa dwa dwa targ w Danbury z butem na sprzączką brązowym wszystkie brązowe guziki w dole i niech w środku grzech, osiem czerwonych na grzech...

— Po co ten klucz? — spytał Margraves.

— Ten? — Ellsner zważył go w ręce. — Do wyłączenia Nielsona, kiedy skończy się atak.

...I pięć i miłość, i czarne, całe czarne, piękne guziki, co pamiętam, kiedy byłem bardzo młody w ogóle, naciśnij pięć i tam na trawie, och...

Poziom życia

Matka ostrzegała ją.

— Zwariowałaś, Amelio? Dlaczego, na Boga, musisz wychodzić za mąż za tego całego... pioniera? Jak możesz oczekiwać, że tam w głuszy znajdziesz szczęście?

— Czapa to nie głusza, mamó — odparła Amelia.

— Tam nie ma cywilizacji. To surowe, prymitywne miejsce. I na jak długo zadowolili tego twojego pioniera? Znam te typy. Zawsze będzie chciał zdobywać jakieś nowe tereny.

— Więc ja będę je zdobywała razem z nim — odrzekła Amelia, pewna swego własnego pionierskiego ducha.

Matce brakowało tej pewności.

— Życie na pograniczu jest ciężkie, kochanie. Cięższe, niż sobie wyobrażasz. Czy naprawdę jesteś gotowa porzucić przyjaciół, wyrzec się wszystkich obecnych wygod?

Matka pragnęła coś dodać. Od śmierci męża stała się jednak mniej pewna swoich poglądów, mniej zdecydowana, by narzucać je innym.

— To twoje życie — oznajmiła w końcu.

— Nie martw się, mamó. Wiem, co robię — rzekła Amelia.

Wiedziała, że Dirk Bogren nie znosi tłoku. Był dużym mężczyzną i potrzebował wokół siebie przestrzeni, ciszy i powietrza. Opowiedział jej o swym ojcu, który osiedlił się na świeżo uzdatnionej pustyni Gobi. Pękło mu serce, kiedy w tamtych rejonach powstał taki tłok, że władze okręgowe musiały wydać przepisy nakazujące grodzenie ziemi. Starzec umarł z twarzą zwróconą ku gwiazdom.

Dirk był taki sam. Amelia poślubiła go i przeniosła się na prawie bezludną Południową Czapę Polarną.

Jednak za nimi przybyli następni osadnicy i wkrótce Czapa Polarna stała się Czapą — miastem. Później powstały domy towarowe, fabryki i zgrabne małe przedmieścia, ciągnące się po całej, ogrzewanej energią atomową krainie.

Wszystko to nastąpiło wcześniej, niż przewidywali.

Pewnego wieczora siedzieli na werandzie. Dirk patrzył na swoją ziemię. Przez dłuższy czas obserwował wierzchołek wieży radarowej na odległym wzniesieniu.

— Robi się tu tłoczno — rzekł w końcu.

— Tak, trochę — przyznała Amelia.

— Zaraz zbudują tu pole golfowe. Nie sądzisz, że czas, by przenieść się dalej?

— Dobrze — odparła Amelia po nieznacznym wahaniu. I to stwierdzenie wystarczyło.

Sprzedali farmę, kupili używany statek kosmiczny i wpakowali do niego najniezbędniejsze rzeczy. Wieczorem przed startem przyjaciele zaimprovizowali dla Bogrenów pożegnalne przyjęcie.

Zebrali się starzy mieszkańcy, którzy pamiętali czasy, gdy Czapa składała się jeszcze częściowo ze śniegu i lodu. Żartowali z Dirka, zazdroszcząc mu nieco.

— Lecisz na asteroidy, co?

— Tak jest — odparł Dirk.

— Przecież ty jesteś delikatny — zachichotał starzec. — Łatwe życie wciągnęło cię, Dirk.

— Och, nie wiem.

— Czy sądzisz, że wciąż mógłbyś uczciwie przepracować całe pięć godzin dziennie?

Dirk uśmiechał się, popijał piwo i słuchał, jak kobiety udzielają Amelii rozmaitych porad.

— Weź mnóstwo ciepłych rzeczy. Pamiętam jak na Marsie...

— Apteczkę...

— Kłopot z niską grawitacją...

— Dirk! — krzyknął jeden z mężczyzn. — Bierzesz tę ślicznotkę na asteroid?

— Jasne — rzekł Dirk.

— Nie spodoba jej się tam — ostrzegł go inny. — Nie ma przyjąć ani modnych ciuchów, ani świecidełek.

— Ludzie wariują tam z przepracowania.

— Nie wierz im — wtrąciła pośpiesznie starsza kobieta. — Pokochasz tamto miejsce, kiedy się tylko do niego przyzwyczaisz.

— Jestem tego pewna — odrzekła uprzejmie Amelia i miała nadzieję, że to prawda.

Tuż przed startem zadzwoniła do matki, przekazując nowinę.

Matki to nie zdziwiło.

— Cóż, kochanie — rzekła. — Nie będzie ci łatwo. Ale wiedziałaś o tym, zanim za niego wyszłaś. Asteroidy to tam, gdzie chciał polecieć twój ojciec.

Amelia pamiętała swego ojca jako łagodnego człowieka, który nigdy nie podnosił głosu. Każdego wieczora po powrocie z banku czytywał ogłoszenia o sprzedaży używanych statków kosmicznych i układał szczegółową listę wyposażenia potrzebnego podróżnikowi. Matka twardo sprzeciwiała się wszelkim zmianom i nie chciała się przenosić. Otwartych kłótni prawie nie prowadzili, ale pod powierzchnią kryła się gorycz. Aż cała gorycz znikła, kiedy pewnego dnia w samochód, którym ojciec powracał z banku, walnął jakiś śmigłowiec.

— Postaraj się być dla niego dobrą żoną — powiedziała z naciskiem matka.

— Oczywiście — oświadczyła nieco gniewnie Amelia.

Nowe rubieże przesunęły się w Kosmos, gdyż Ziemia była już całkowicie poskromiona i zasiedlona. Dirk studiował dostępne mapy Pasa Asteroidów, ale nie wyczytał z nich zbyt wiele. Nikt jeszcze nie zapuścił się w najdalsze zakątki i ogromne obszary oznaczono po prostu: TEREN NIEZNANY.

Podróż była długa i niebezpieczna, ale tam hen, przed nimi, znajdowały się wolne tereny, tereny do wzięcia i rozległe przestrzenie, jakie tylko człowiek mógł sobie wymarzyć. Dirk z niezmienną cierpliwością wynajdywał drogę pośród zmiennych konstelacji gładów. Statek nieubłaganie oddalał się od Ziemi, choć żadna trasa nie była wytyczona.

— Nie zawrócimy — powiedział Amelii. — Nie ma więc sensu nanosić drogi na mapę.

Skinęła głową, ale dech zaparło jej w piersiach, gdy spojrzała na ponure, martwe punkty światła, ku którym gnali. Niestety, odczuwała lęk przed nowym życiem, przed surową, samotną egzystencją na pograniczu. Zadrzała i położyła dłoń na dłoni Dirka. Uśmiechnął się, ani na chwilę nie odrywając wzroku od wskazań przyrządów.

Znaleźli bryłę skały długą na kilka kilometrów, szeroką na dwa kilometry. Wylądowali na ciemnym, małym, pozbawionym atmosfery świecie, rozstawili kopułę ciśnieniową i włączyli grawitację. Natychmiast gdy jej wartość zbliżyła się do normalnej, Dirk przystąpił do roboty, wypakowując Robota Sterującego. Była to długa, męcząca praca, ale w końcu wsunął taśmę i uruchomił sterowanie.

Robot zabrał się do dzieła. Dirk włączył wszystkie reflektory. Z ładowni statku za pomocą małego dźwigu wyjął Schron Graniczny, umieścił go w pobliżu środka kopuły i zaktywizował. Schron utworzył się jak gigantyczna roślina, rozkwitając przytulnym pięciopokojowym mieszkaniem, wyposażonym w podstawowe umeblowanie, kuchnię, hydraulikę i moduł przerobu odpadów.

To był początek. Ale nie można wszystkiego na raz rozpakować. Regulator temperatury leżał zagrzebany gdzieś w ładowni statku i Dirk musiał ogrzewać dom pomocniczym grzejnikiem

podłączonym do generatora.

Temperatura w Schronie utrzymywała się na poziomie dziesięciu stopni. Amelia była zbyt zziębnięta, by zabrać się do przygotowania obiadu. Nawet w futrze produkcji Explorers Inc. czuła zimno, a ponure światło fluorescentów jeszcze pogłębiało to wrażenie.

— Dirk — zapytała nieśmiało — czy mógłbyś coś zrobić, żeby się tu ociepliło?

— Myślę, że tak, ale spowolniłoby to robota.

— Nie wiedziałam o tym — rzekła Amelia. — Poradzę sobie jakoś.

Praca pod fluorescentami była jednak niemożliwa i Amelia źle ustawiła pokrętła na Podstawowej Racji Żywnościowej. Stek wyszedł zbyt wysmażony, kartofle zbrylone, a szarlotka została tylko nieznacznie podgrzana.

— Chyba niezbyt mi się to udało — rzekła Amelia, z niepewnym uśmiechem.

— Nie przejmuj się — rzekł Dirk, pochłaniając jedzenie, tak jakby to była normalna, ziemska strawa.

Poszli spać. Amelia ledwie mogła zasnąć na twardych, prowizorycznych materacach. Ale czerpała wątpliwą satysfakcję ze świadomości, że również Dirk odczuwał niewygodę. Naprawdę wydelikatniał w czasie ich względnie łatwego życia na Czapie.

Kiedy się zbudzili, wszystko wyglądało znacznie bardziej optymistycznie. Robot Sterujący, pracując przez całą noc, ustawił główny generator oświetleniowy. Posiadali teraz własne małe słońce na niebie i przyzwoitą symulację dnia i nocy. Robot Sterujący wyładował również ciężkie Roboty Rolne, a te z kolei wyładowały Roboty Domowe.

Dirk kierował wytwarzaniem wierzchniej warstwy gleby i koordynował pracę robotów, które zasiewały ekspresowymi nasionami glebę. Przepracował pełną pięciogodzinną dniówkę i kiedy małe słońce opuściło się nad horyzont, wrócił zmęczony do domu.

Tymczasem w ciągu dnia Amelia nagrała podstawowe ciągi żywieniowe i tego wieczora mogła już podać mężowi prostą, lecz posilną ośmiodaniową kolację.

— Oczywiście, nie jest to uczta z dwudziestu dań — tłumaczyła się, kiedy mąż żuł przystawki.

— I tak nie mogłem nigdy zjeść tego całego żarcia — rzekł Dirk.

— Wino też nie jest właściwie schłodzone. Dirk podniósł wzrok i uśmiechnął się.

— Do diabła, kochanie, mógłbym teraz pić ciepłą Oł — Colę i nawet bym tego nie zauważył.

— Nie wtedy, gdy ja tu gotuję — rzekła Amelia.

Jednak dostrzegła już jedną zaletę życia na pograniczu — głodny mężczyzna zje wszystko, co się przed nim postawi.

Dirk pomógł Amelii włożyć naczynia do zmywarki, potem ustawił projektor w salonie. Przez ekran przemykał mini–serial, a oni siedzieli w piankowych fotelach, podobnie jak czyniły to przed nimi poprzednie pokolenia pionierów. Ten związek z przeszłością głęboko poruszył Amelię.

Dirk rozpakował zwykłe łóżko i dostroił pod nim grawitację. Tej nocy porządnie się wyspali. Równie dobrze, jak wysypiali się niekiedy na Ziemi.

Na asteroidzie trzeba było jednak ciężko i nieustannie pracować. Dirk harował pięć, a kilkakrotnie nawet sześć godzin dziennie ze swoimi Robotami Rolnymi — zmieniał taśmy, wyrzaskiwał komendy, w pocie czoła wyciskał z maszyn jak największą wydajność. Po kilku dniach zasiane rośliny zazieleniły się na syntetycznym czarnym ile. Jednak gdy tylko wzeszły, widać było, że plon jest skarłowaciały.

Dirk zagryzł zęby i zagonił roboty do pompowania w głąb pierwiastków śladowych. Majstrował przy swym słońcu, aż zaczęło dawać więcej ultrafioletu. Ale zbiory uzyskane tydzień później okazały się nieudane.

Amelia wyszła tego dnia na pole. Twarz Dirka ostro rysowała się na tle jaskrawo zachodzącego słońca. Trzymał na biodrach zaciśnięte pięści. Patrzył na nędzną, karłowatą, sięgającą do ramion kukurydzę.

Amelia nie miała nic do powiedzenia. Położyła mu pocieszająco dłoń na ramieniu.

— Jeszcze nie przegraliśmy — rzekł cicho Dirk.

— Co teraz zrobisz? — spytała.

— Będę sadił każdego tygodnia, jeśli będzie trzeba. Będę gonił roboty, aż w stawach powstaną im kryształy. Ta gleba musi się poddać. Musi się poddać!

Amelia cofnęła się, zdumiona jego gwałtownymi słowami. Ale rozumiała, co czuł. Na Ziemi farmer po prostu dawał rozkazy Robotowi Sterującemu i po kilku dniach zbiory były gotowe. Dirk harował i obserwował swe nędzne plony przez ponad tydzień.

— Co z tym zrobisz? — zapytała.

— Nakarmię tym zwierzęta — powiedział Dirk nachmurzony. Poszli razem do domu w gęstniejącym półmroku.

Następnego dnia Dirk wyjął zwierzęta domowe z zamrażarek, reanimował je, zbudował dla nich zagrody i kojce. Trzoda z zadowoleniem jadła kukurydzę i pszenicę. Ekspresowe nasiona znowu powędrowały do ziemi — i drugi plon był już normalnych rozmiarów.

Amelia nic miała zbyt wiele czasu, by cieszyć się tym sukcesem. Ich pięciopokojowe mieszkanie,

małe wprowadzie według ziemskich standardów, wymagało jednak sprawnego zarządzania.

Następowało to spore trudności. Amelia wyrosła w zwykłej podmiejskiej rodzinie, gdzie wszystkie czynności domowe ustawione były w zautomatyzowane ciągi czasowe. Tutaj natomiast każdą funkcję wykonywała pojedyncza maszyna. Nie starczało czasu na wycofywanie ich w ściany i ciągle plątały się pod nogami. Psuły całą kompozycję i sprawiały, że dom wyglądał jak warsztat mechaniczny.

Zamiast jednej scentralizowanej konsoli Amelia musiała się posługiwać tarczami, przełącznikami i guzikami rozmieszczonymi prowizorycznie tu i ówdzie. Początkowo każdego dnia spędzała wiele godzin bezustannie polując na właściwe przełączniki do prania na sucho, szorowania podłóg, mycia okien i innych nieodzownych zadań, które w domu traktowała jako rzecz oczywistą. Dirk obiecał, że zmontuje wszystkie obwody razem, ale ciągle pochłaniała go własna praca. Długie, pięciogodzinne dni wypełnione harówką płynęły jeden za drugim. Amelia miała tego dosyć. Zrozpaczona zadzwoniła do matki przez telełącze.

Na małym, pokrytym smugami ekranie zobaczyła matkę siedzącą w swym ulubionym pneumatycznym fotelu przy ścianie ze spolaryzowanego szkła. Obecnie ustawiono ją na przezroczystość i Amelia widziała w tle miasto wyrastające w górę pobłyskującym pięknem.

— Czyżby znów jakieś kłopoty? — spytała matka.

Robot wsunął się za fotel matki i bezgłośnie postawił filiżankę herbaty. Amelia była przekonana, że zrobił to bez żadnego rozkazu. Mechanizm po prostu wyczuwał życzenia, jak to mają w zwyczaju zwykle ziemskie roboty po długim obcowaniu z rodziną.

— Cóż, chodzi o... — niemal histerycznie zaczęła wyjaśniać Amelia.

Jej własny robot przewalił się przez pokój, prawie wyłamując drzwi, gdyż obwody fotoelektryczne nie zareagowały w odpowiednim czasie. Tego było już za wiele.

— Chcę do domu — zapłakała Amelia.

— Wiesz, że zawsze będziesz mile widziana, kochanie. Ale co z twoim mężem?

— Dirk też pojedzie, jestem tego pewna. Znajdziemy mu dobrą pracę, prawda, mamó?

— Tak sędzę. Ale czy on tego właśnie chce?

— Jak to? — spytała zaskoczona Amelia.

— Czy człowiek taki jak on, odnajdzie na Ziemi satysfakcję? Czy zechce wracać?

— Zechce, jeśli mnie kocha.

— A ty go kochasz?

— Mamó, to nie fair — zaprotestowała Amelia, czując się trochę nieswojo.

— To błąd zmuszać mężczyznę do czegoś, czego on nie chce robić — rzekła jej matka. — Twój ojciec... ale mniejsza z tym. Czy sądzisz, że zdołasz to przeforsować?

— Nie wiem. Chyba... Chyba spróbuję.

Polem sprawy poszły lepiej. Amelia nauczyła się żyć w nowym domu. Przestała dostrzegać niewygodę. Wiedziała, że pewnego dnia może on stać się tak samo przyjemnym miejscem, jakim w końcu stała się ich farma na Czapie.

Ale wyjechali z Czapy. Gdy tylko to miejsce zaczęło nadawać się do życia, Dirk zechce wynieść się dalej, w nowy prymityw.

Pewnego dnia Dirk znalazł swą żonę przy ich malutkim basenie, zapłakaną i smutną.

— Hej! — zawołał. — Co jest?

— Nic.

— No, powiedz mi.

— Och, to ta praca. Staram się, żeby dom był przytulny, zakładam firanki, trenuję roboty, a wszystko mając świadomość, że...

— Że co?

— Że pewnego dnia będziesz chciał stąd wyjechać i że to wszystko na nic. — Wyprostowała się i spróbowała uśmiechnąć. — Przepraszam, Dirk. Nie trzeba było o tym mówić.

Dirk myślał dłuższą chwilę. Potem spojrzał na nią z uwagą.

— Chcę, byś była szczęśliwa. Wierzysz w to, prawda? — spytał.

Skinęła głową.

— Chyba już dosyć się przeprowadzaliśmy. To jest nasz dom. Tu pozostaniemy.

— Naprawdę, Dirk?

— Obiecuję.

Uścisnęła go mocno. Potem sobie coś przypomniała.

— Mój Boże! Moje napoleonki! Będą zrujnowane.

Pobiegła do kuchni.

Następne tygodnie były najszcześniejszym okresem w dotychczasowym życiu Amelii. Rankami ich własny świt wybuchał wspaniałością, budząc do porannych trudów. Po obfitym śniadaniu zaczynali

dzień pracy.

Nigdy nie zawitała do nich nuda. Jednego dnia Amelia i Dirk mogli wznosić osłonę przeciw meteorytom, by wzmocnić swą kopułę ciśnieniową. Albo mogli majstrować przy generatorze wiatru, by pomóc reanimowanym pszczołom zapylać kwiaty zbóż.

Wieczorami mieli własne zachody słońca. Czasami Dirk kazał Robotom Polnym inscenizować niezgrabny taniec. Był twardym, ale wyrozumiałym panem; wierzył, że robotom, tak jak ludziom, potrzebna jest odrobina urozmaicenia.

Amelia tylko raz żałowała, że nie mieszka na Ziemi — wtedy, gdy Dirk złapał w telewizji księżycową retransmisję Parady Wielkanocnej. Muzyka i jaskrawe kolory przyprawiły Amelię o ból serca — ale jedynie przez krótką chwilę.

Pierwszą wizytę mieli kilka miesięcy później. Wesoło ozdobiony statek kosmiczny wylądował na prymitywnie wyrąbanym lądowisku Dirka. Na boku statku wymalowano trzymetrowymi literami napis: „OBJAZDOWY SKLEP POTTERA”. Ze statku wygramolił się schludny młody człowiek, powąchał powietrze, pokręcił nosem i pomaszerował do domu.

— Co mogę dla pana zrobić, przybyszu? — spytał Dirk, stanąwszy w drzwiach.

— Dzień dobry, gospodarzu. Jestem Potter — rzekł młody człowiek, wyciągając dłoń, której Dirk nie uściśnął. — Robiłem swój zwykły kurs wokół Marsa, kiedy usłyszałem o was. Pomyślałem, że może chcielibyście kupić trochę rzeczy, by... by uprzyjemnić to miejsce.

— Niczego nam nie trzeba — odparł Dirk. Potter uprzejmie się uśmiechnął, ale widział już surową, nie ozdobioną niczym chatę i spartański basen pływacki.

— A może coś dla żony — spytał Potter, mrugając na Amelię. — Nie będę przelatował w pobliżu przez dłuższy czas.

— Cieszy mnie to bardzo — powiedział Dirk.

Amelii jednak zapłonęły oczy. Chciała obejrzeć cały kram Poltera i powlokła Dirka za sobą.

Jak dziecko próbowała wszystkich sprzętów gospodarstwa domowego, nowoczesnych, oszczędzających czas domowych urządzeń. Patrzyła z tęsknotą na sukienki — wyszukane, delikatne, z automatycznymi la — mówkami i dekolantami — i myślała o swoich monotonnych kreacjach.

Ale potem zobaczyła Aktorów. Roboty zadziwiająco ludzkie z wyglądu, cywilizowane w obejściu. Z niezwykłą ostrością przypomniały jej o domu.

— Czy nie moglibyśmy kupić zespołu? — spytała Dirka.

— Mamy przecież filmy. Były wystarczająco dobre dla mego ojca...

— Ale Dirk, te roboty grają prawdziwe sztuki!

— Ta akurat trupa gra wszystkie najpopularniejsze sztuki od czasów George’a Bernarda Shawa — oświadczył Potter.

Dirk popatrzył z niesmakiem na przystojne, humanoidalne maszyny.

— Co jeszcze one robią?

— Robią? One grają — rzekł Potter. — Bój się Boga, gospodarzu, nie możesz wymagać, żeby dzieło sztuki wykonywało czarną robotę na farmie.

— Czemu nie? — zaoponował Dirk. — Nie wierzę w rozpieszczanie robotów. Praca na farmie jest dobra dla mojego Roboty Sterującego, a założę się, że jest zdolniejszy od tych wichajstrów.

— Pański Robot Sterujący nie jest artystą — odparł Potter wyniośle.

Amelia była tak rozmarzona, że Dirk nabył trupę robotów. Taszczył je do domu — Aktorzy byli zbyt delikatni, by chodzić po kamienistym gruncie — a Amelia w tym czasie kupiła sukienkę.

— Co dziewczyna taka jak pani robi w tej głuszy? — spytał Potter.

— Podoba mi się tu.

— Och, przypuszczam, że da się tu przeżyć. Spartańskie życie wypełnione pracą, przesuwanie granicy naprzód i tym podobne rzeczy. Ale nic ma pani dość lego prymitywu?

Amelia nic odpowiedziała.

— Cóż — rzekł Potter wzruszając ramionami — ten sektor dojrzał do kolonizacji. Niedługo będziecie mieli towarzystwo.

Amelia wzięła sukienkę i wróciła do domu. Potter wystartował.

Dirk musiał przyznać, że Roboty — Aktorzy dają miłą rozrywkę podczas długich, spokojnych wieczorów. Nawet polubił *Człowieka i nadczłowieka*. Po pewnym czasie zaczął udzielać robotom wskazówek reżyserskich, ale oczywiście one je ignorowały.

Nadal jednak był przekonany, że Robot Sterujący mógłby poradzić sobie z tym równie dobrze, gdyby nieco ulepszyć jego aparat głosowy.

Rozrywki stanowiły jednak niewielką część długiego, pięciogodzinnego dnia roboczego. Dirk zbierał inne małe asteroidy i doczepiał je do swej oryginalnej posiadłości. Posadził ekspresowy las, zbudował wodospad i majstrował przy starej maszynie klimatycznej swego ojca.

W końcu uruchomił ją i mógł na planetoidzie symulować pory roku.

Pewnego dnia ożył teleobwód i Dirk otrzymał kosmogram. Od Explorers Inc., ziemskiej firmy, która produkowała kompletne zestawy sprzętu dla pionierów. Zaoferowano Dirкови posadę

kierownika głównego laboratorium testującego i wynagrodzenie tylko nieco mniejsze od zawrotnego.

— Och, Dirk! Co za okazja! — westchnęła Amelia.

— Okazja? O czym mówisz?

— Możesz być bogaty. Możesz mieć wszystko, czego zapragniesz.

— Mam wszystko, czego pragnę — rzekł Dirk. — Powiedz im, że nie, dziękuję.

Amelia westchnęła zrezygnowana. Przekazała firmie odmowę Dirka, ale dodała, że być może jego usługi będą do dyspozycji w późniejszym terminie.

Mimo wszystko nie było sensu palić za sobą mostów.

Podczas długiego lata następny statek przyleciał nad lądowisko. Był starszy i jeszcze bardziej poobijany niż własny statek Dirka. Ostatnie półtora metra po prostu spadł bezwładnie, wstrząsając całą planetoidą. Wygramoliła się z niego para ledwie żywych młodych ludzi.

Byli to Jean i Percy Phillipsowie, którzy osiedlili się kilka tysięcy mil od posiadłości Dirka. Wszystko poszło im źle. Źródła energii im wysiadły, roboty się popsuły, żywność skończyła. Zrozpaczeni, wyruszyli ku farmie Dirka. Byli bliscy śmierci głodowej — przebywali bez jedzenia prawie całe dwa dni.

Dirk i Amelia przyjęli ich z pograniczną gościnnością, otoczyli opieką i wkrótce przywrócili do zdrowia. Natychmiast wyszło na jaw, że Phillipsowie nie znają podstawowych zasad przetrwania.

Percy Phillips nawet nie wiedział, jak postępować z robotami. Dirk musiał mu to wyjaśnić.

— Musisz im pokazać, kto jest szefem — rzekł Dirk.

— A ja sądziłbym, że właściwa komenda, wydana łagodnym głosem...

— To nie tutaj — rzekł Dirk zdecydowanie, potrząsając głową. — Te Roboty Pracujące to głupia, nieodpowiedzialna zgraja. Są powolne i leniwe. Musisz im wbijać komendy do głowy. Kopać je, jeśli trzeba.

Phillips uniósł brwi do góry.

— Maltretować robota?

— Musisz im pokazać, kto tu jest człowiekiem.

— Ale w Szkole Kolonizacji uczono nas, by traktować roboty z godnością — zaprotestował Phillips.

— Pozbędziesz się tutaj wielu ziemskich zasad — stwierdził Dirk bez ogródek. — Teraz posłuchaj

mnie. Wychowywały mnie roboty. Niektórzy z moich najlepszych przyjaciół to i roboty. Wiem, co mówię. Będą ci okazywały szacunek jedynie wtedy, gdy je do tego zmusisz.

Phillips przyznał z powątpiewaniem, że Dirk może mieć słuszość.

— Oczywiście, że mam słuszość! — oświadczył Dirk. — Twierdzisz, że zawiódł generator mocy?

— Tak, ale to nie roboty...

— Nie roboty? One mają dostęp do gniazd załadowczych, prawda?

— Oczywiście. Kiedy są wyładowane, doładowują się same.

— Sądziś, że przestają, kiedy są pełne? Robot będzie ciągnął moc dotąd, aż ją całkowicie wyczerpie. Nie wiedziałeś o tych starych sztuczkach robotów?

— Chyba właśnie wydarzyło się to, co powiedziałaś — rzekł Phillips. — Ale dlaczego miałyby to robić?

— Roboty są urodzonymi pijakami — wyjaśnił mu Dirk. — W wytwórniach wbudowują im tę cechę. W ten sposób spalają się szybciej i musisz kupować więcej robotów. Uwierz mi, wyświadczysz im przysługę, jeśli będą stale zgłodniałe energii.

— Muszę się nauczyć mnóstwa rzeczy — westchnął Phillips.

A Jean, jego żona, musiała nauczyć się jeszcze więcej. Amelia w kółko pokazywała jej, że przyciski same się nie wcisną, że przełączniki się nie zamkną bez ustawienia zegarów, a tarcze nie skoczą z własnej woli na właściwe nastawy. Robotom czyszczącym nic należy powierzać gotowania, a Pucek Wanny, chociaż to instrument uniwersalny, naprawdę nic usmaży konfitur.

— Nigdy nie sądziłam, że jest tego aż tak dużo — rzekła Jean. — Jak ty to wszystko robisz?

— Nauczysz się — zapewniła ją Amelia, wspominając swoje pierwsze dni na pograniczu.

Phillipsowie wyruszyli z powrotem do swej posiadłości. Amelia myślała, że po ich odlocie poczuje się samotnie, ale nie — miło było znowu zostać sam na sam z Dirkiem i wrócić do pracy na farmie.

Ludzie jednak nie chcieli zostawić ich w spokoju. Po pewnym czasie odwiedził ich mężczyzna z Marsjańskiej Wiejskiej Centrali Energetycznej. Osadnicy zasiedlają Pas Asteroidów, wyjaśnił. Systemy energetyczne są rozszerzane. Chciał podłączyć farmę Dirka do bezprzewodowej sieci Marsjańskiej Centrali Energetycznej.

— Nie — odparł Dirk.

— Dlaczego? To niewielki wydatek...

— Sam wytwarzam własną moc.

— Och, te małe generatory — rzekł mężczyzna, patrząc pogardliwie na słońce Dirka. — Ale naprawdę wysoka wydajność...

— Nie jest mi potrzebna. Wystarcza nam obecna.

— Pańskie roboty mogłyby więcej pracować.

— Tylko szybciej by się przez to zużyły.

— Wtedy mógłby pan dostać najnowsze modele.

— Te nowe szybciej się spalają.

— Wobec tego może lepszy system generacyjny — zaproponował mężczyzna. — To pańskie małe słońce nie jest bardzo skuteczne.

— Jest skuteczne na tyle, bym był zadowolony.

— Chyba nigdy nie zrozumieć tych pionierów — rzekł mężczyzna zdziwiony, potrząsając głową. Wsiadł do swego statku i odleciał.

Dirk i Amelia próbowali podjąć swe życie na nowo. Jednak z sąsiednich asteroidów zaczęły mrugać światła, a telewizję księżycową zakłócały lokalne sygnały. Rakieta pocztowa zatrzymywała się co tydzień i pewne biuro podróży zaczęło organizować wycieczki do Pasa Asteroidów.

Na twarzy Dirka pojawił się znajomy wyraz niezadowolenia. Dirk obserwował u — ważne niebo — nacierało, zamykało go w swym wnętrzu. Tracił przestrzeń wokół siebie, a ciszę jego farmy zakłócał płomień przelatujących obok rakiet.

Dał jednak obietnicę Amelii i miał zamiar dotrzymać tej obietnicy, nawet jeśli by to go miało kosztować życie. Twarz mu wychudła, zaczął pracować sześć, siedem, czasami, nawet osiem godzin dziennie.

Odwiedził ich komiwojażer, rozprawdzający maszyny do szycia, potem pewna inteligentna, energiczna kobieta próbowała sprzedać Dirkowi *Encyklopedię solarną*. Trasy statków ustaliły się i długi, niebezpieczny niegdyś szlak stał się teraz autostradą.

Pewnej nocy, gdy Dirk i Amelia siedzieli na ganku, zobaczyli, jak niebo rozjaśnił ogromny świetlny napis. Rozciągał się w Kosmosie na wiele kilometrów i głosił: „CENTRUM HANDLOWE ROSENA. SKLEPY, RESTAURACJA, NAJLEPSZE DRINKI W PASIE ASTEROIDÓW.”

— Sklepy — rzekła cichym głosem Amelia — restauracja! Och, Dirk, nie moglibyśmy tam polecieć?

— Czemu nie? — odrzekł, wzruszając bezradnie ramionami.

Następnego dnia Amelia ubrała się w nową sukienkę, a Dirkowi kazała włożyć jeden z jego szytych na miarę garniturów. Wsiadli do starego statku kosmicznego i ruszyli w drogę.

Centrum Rosena, ruchliwe pograniczne miasteczko, rozciągnięte na czterech połączonych asteroidach, dzielnie walczyło, by stać się wielkim miastem. Na wszystkich ulicach zainstalowano już ciągi transportowe. Miasteczko wypełniali hałaśliwi, energiczni ludzie, a obładowane sprzętem roboty stąpały ciężko w przejściach.

Amelia zabrała męża do restauracji, gdzie podano im ziemski obiad. Dirk nie był nim zachwycony. Czuł lekkie mdłości, wdychając powietrze innych ludzi, a jedzenie, zbyt dla niego delikatne, nie nasyciło mu żołądka. Posiłek skończył się tym, że Dirk zamówił niewłaściwe wino i próbował dać napiwek kelnerowi — robotowi.

Całkiem już nieszczęśliwy, pozwolił się wlec z jednego sklepu do drugiego. Jedyne miejsce, gdzie objawił jakieś zainteresowanie, był sklep z ciężkim sprzętem.

Przyglądał się nowej maszynie antygravitacyjnej. Takiego modelu jeszcze nigdy nie widział.

— To urządzenie do neutralizowania wpływu ciężkich planet — wyjaśnił mu robot — sprzedawca. — Mamy nadzieję, że ta maszyna świetnie się spisze na przykład na księżycach Jowisza.

— Na księżycach Jowisza?

— To tylko przykład, proszę pana — rzekł robot. — Nikt nigdy tam nie był. To zupełnie nie zbadane terytorium.

Dirk z roztargnieniem skinął głową, gładząc wypolerowaną powierzchnię maszyny.

— Posłuchaj, Amelio, czy przypuszczasz, że ta oferta pracy na Ziemi jest nadal aktualna?

— Niewykluczone — odrzekła. — Dlaczego pytasz?

— Równie dobrze mogę mieszkać na Ziemi, jak tutaj. Ci wszyscy ludzie tylko bawią się w pionierów.

— Sądzisz, że będziesz szczęśliwy na Ziemi?

— Całkiem możliwe.

— Bardzo wątpię — rzekła Amelia. Pamiętała, jak zadowoleni i w poczuciu spełnienia wiedli życie na asteroidzie, po prostu tylko oni dwoje, walcząc z dzikim pustkowiem za pomocą swych prymitywnych narzędzi, obywając się bez wielu rzeczy, improwizując.

Tak było, nim nadeszli ludzie, nim hałaśliwa, tłoczna cywilizacja Ziemi znalazła się tuż za ich progiem.

Matka Amelii doświadczyła tego boleśnie i próbowała przekazać córce swą wiedzę. Dirk nigdy

nie będzie szczęśliwy na Ziemi. A dla niej szczęście również stanie się nieosiągalne, jeśli on, tak jak jej ojciec, będzie przez całe życie udręczony, będzie wykonywał pracę, której nienawidzi, i marzył o innym życiu, bardziej satysfakcjonującym.

— Weźmiemy maszynę anty grawitacyjną — powiedziała robotowi. Zwróciła się do Dirka. — Będziemy jej potrzebowali, tam przy Jowiszu.

Zastój w interesach

Gdyby w interesach nie panował zastój, Slobold mógłby odmówić. Ale w interesach panował zastój. Wydawało się, że nikt nie potrzebuje usług damskiego krawca. W zeszłym miesiącu odprawił pomocnika. W przyszłym miesiącu będzie musiał odprawić sam siebie.

Slobold dumiał nad tym, otoczony belami bawełny, wełny i gabardyny, zakurzonymi tekami wykrojów i odzianymi w kostiumy manekinami, kiedy do warsztatu wszedł jakiś mężczyzna.

— To pan jest Slobold? — zapytał gość.

— Tak jest, proszę pana — rzekł Slobold, zrywając się na nogi i wygładzając kamizelkę.

—

— Jestem Bellis. Przypuszczam, że Klish się z panem skontaktowała. W sprawie zamówienia na suknie.

Slobold myślał szybko, patrząc na niskiego, łysiejącego, starannie ubranego mężczyznę. Nic znał nikogo o nazwisku Klish. Bellis trafił nie do tego krawca. Slobold już otworzył usta, by wyjaśnić tę sprawę. Ale zaraz sobie przypomniał, że w interesach panuje ogromny zastój.

— Klish — rzekł w zadumie. — Och tak, wydaje mi się, że tak.

— Mogę to teraz panu powiedzieć — oświadczył surowo Bellis — płacimy bardzo dobrze za suknie. Ale jesteśmy wymagający. Niezwykle wymagający.

— Oczywiście, panie Bellis — odparł Slobold.

Miał lekkie poczucie winy, ale zignorował je. W gruncie rzeczy, powiedział sobie, wyświadczał Bellisowi przysługę, ponieważ niewątpliwie był w mieście najlepszym krawcem o nazwisku Slobold. Później, jeśli odkryją, że jest nie tym człowiekiem, co trzeba, będzie mógł wyjaśnić, że znał jakąś inną Klish.

— To doskonale — powiedział Bellis, ściągając irchowe rękawiczki. — Klish oczywiście zapoznała pana ze szczegółami?

Slobold nie odpowiedział, ale zastosował powolny uśmiech, którym dał do zrozumienia, że zna sprawę i jest rozbawiony.

— Muszę przyznać, że była to dla mnie rewelacja — stwierdził Bellis.

Slobold wzruszył ramionami.

— Cóż, jest pan człowiekiem opanowanym — rzekł z podziwem Bellis. — Przypuszczam, że dlatego właśnie Klish pana wybrała.

Slobold zajął się zapalaniem cygara, ponieważ nie wiedział, jaki ma przyjąć wyraz twarzy.

— A teraz do roboty — powiedział żwawo Bellis, wsuwając rękę do kieszeni na piersiach szarego, gabardynowego garnituru. — Oto lista wszystkich wymiarów pierwszej sukni. Oczywiście nie będzie żadnego przymierzania.

— Oczywiście — rzekł Slobold.

— I rzecz musi być gotowa za trzy dni. Tylko tyle Egrish może czekać.

— Oczywiście — przytaknął znowu Slobold.

Bellis wręczył mu złożony kawałek papieru.

— Klish musiała panu mówić o potrzebie zachowania całkowitej tajemnicy, lecz niech mi wolno będzie to powtórzyć. Żadna informacja nie może się wydostać, dopóki ich sekcja nie ugruntuje swej pozycji. A oto pańska zaliczka.

Slobold tak całkowicie panował nad sobą, że nawet nie mrugnął na widok pięciu szeleszczących banknotów studolarowych.

— Trzy dni — rzekł, wkładając pieniądze do kieszeni.

Pan Bellis stał przez chwilę w zadumie. Potem wzruszył ramionami i szybko wyszedł.

Slobold natychmiast rozwinął kartkę z wymiarami. Ponieważ nikt na niego nie patrzył, pozwolił sobie na to, by szczęka opadła mu ze zdziwienia.

Czegoś takiego jak ta suknia jeszcze nigdy nie widział. Pasowałaby może nieźle na osobę o wzroście dwa i pół metra, gdyby osoba ta zgodziła się poddać swe ciało pewnym modyfikacjom. Ale jakim modyfikacjom!

Po przeczytaniu pięćdziesięciu wymiarów i wskazówek Slobold zdał sobie sprawę, że właścicielka musiałaby mieć rozmieszczone nieregularnie na brzuchu trzy piersi, każda innego kształtu i rozmiarów. Na plecach — kilka wielkich garbów. Talia — tylko dwadzieścia centymetrów, natomiast cztery ramiona — jeśli sądzić po przeznaczonych na nie otworach — miały grubość młodych dębów. Nie zostawiono miejsca na pośladki, ale przewidziano kloszowate rozszerzenie na ogromne uda.

Tkanina — kaszmir. Kolor — smoliście czarny.

Slobold zrozumiał, dlaczego nie będzie żadnych przymiarek.

Patrzył na te wskazówki i delikatnie szarpał dolną wargę.

— To kostium teatralny — rzekł głośno, ale potrzęsnał głową. Wskazówki wykroju kostiumów nigdy nie zawierały pięćdziesięciu oddzielnych pozycji, a kaszmir nie był do tego odpowiednią tkaniną.

Przeczytał znowu kartkę, chmurząc się. Czy to kosztowny dowcip? Wątpliwe. Ten Bellis wyglądał zbyt poważnie.

Slobold czuł całym swym krawieckim instynktem, że suknia przeznaczona jest dla kogoś, kto pasuje do jej kształtu.

Myśl ta przyprawiała o dreszcz. Mimo jasnego dnia Slobold włączył światłówki.

Przyjął roboczą hipotezę, że suknia jest dla bogatej, acz potwornie zdeformowanej kobiety.

Lecz przecież, myślał, historia świata nie zna osoby w taki sposób zdeformowanej.

Ale w interesach panował zastój, a on dostał godziwą zapłatę. Za godziwą zapłatę skłonny był robić szmizjerki dla słoni i fartuszki dla hipopotamów.

Dlatego wkrótce wycofał się na zaplecze i włączywszy całe oświetlenie, zaczął rysować szablony.

Trzy dni później powrócił Bellis.

— Wspaniale — rzekł trzymając suknię przed sobą. Wyciągnął z kieszeni centymetr i zaczął sprawdzać rozmiary. — Nie poddaję w wątpliwość pańskiej pracy — wyjaśnił — ale suknia musi dokładnie pasować.

— Oczywiście — odparł Slobold. Bellis skończył i odłożył centymetr.

— Doskonale — stwierdził. — Egrish będzie zadowolona. Światło ją niepokoiło. Żadna z nich nie jest przyzwyczajona do światła, rozumie pan.

— Uhm.

— Nie jest łatwo, kiedy się spędziło całe życie w ciemności. Ale zaaklimatyzują się.

— Też tak przypuszczam — rzekł Slobold.

— I wkrótce rozpoczną pracę — oznajmił Bellis z pełnym zadowolenia uśmiechem.

Slobold zaczął pakować suknię, próbując gorączkowo znaleźć sens w słowach Bellisa. „Kiedy spędziło się całe życie w ciemności”, myślał, ciągnąc papier pakowy. „Zaaklimatyzują się”, mówił sobie, zamykając pudło.

I Egrish nie była jedyna. Bellis mówił coś o innych. Po raz pierwszy Slobold rozważył hipotezę, że Egrish i cała reszta nie są z Ziemi. Może z Marsa? Nie, tam za dużo światła. A ciemna strona Księżyca?

— Tutaj są rozmiary trzech dalszych sukni — powiedział Bellis.

— Mogę pracować na podstawie tych, które pan mi już dał — stwierdził Slobold, a w myślach wciąż przeglądał inne planety.

— W jaki sposób? — spytał Bellis. — Pozostałe nie zdołałyby zmieścić się w coś, co pasuje na Egrish.

— Och, zapomniałem — rzekł Slobold, usiłując skupić uwagę. — Czy Egrish chciałaby może jeszcze kilku sukien w tym samym fasonie?

— Nie. Po co?

Slobold mocno zacisnął usta. Bellis mógłby nabrać podejrzeń, jeśli strzeli jeszcze jaką gafę.

Obejrzał nowe rozmiary.

Teraz naprawdę musiał wykazać zimną krew, gdyż rozmiary te tak różniły się od rozmiarów Egrish, jak Egrish różniła się od człowieka.

— Czy mógłby je pan skończyć w ciągu tygodnia? — spytał Bellis. — Przykro mi, że pana popędzam, ale chciałbym, by oddział zaczął działać jak najszybciej.

— W ciągu tygodnia? Myślę, że tak — odparł Slobold, patrząc na studolarowe banknoty, które Bellis rozłożył na ladzie. — Tak, jestem pewien, że zdołam.

— Doskonale — powiedział Bellis. — Biedactwa, nie znoszą światła.

— Dlaczego nie zabrały ze sobą swych ubrań? — spytał Slobold i natychmiast tego pożałował.

— Jakich ubrań? — zdziwił się Bellis, kierując na Slobolda zachmurzony wzrok. — Nic mają żadnych ubrań. Nigdy nie miały. I niedługo znów nie będą ich potrzebowały.

— Zapomniałem — rzekł Slobold, pocąc się obficie.

— Dobrze, więc za tydzień. I to akurat wystarczy. — Bellis poszedł do drzwi. — Nawiasem mówiąc — rzekł — Klish wróci za dzień czy dwa z Krainy Ciemności.

I po tych słowach odszedł.

Slobold gorączkowo pracował przez tydzień. Cały czas palił światło w pracowni i unikał ciemnych zakamarków. Szyjąc suknie domyślił się, jak wyglądają jego klientki, i nie pomagało mu to spać po nocach. Szczerze żałował, że usłyszał jakieś aluzje od Bellisa, gdyż już i tak wiedział za dużo, by zachować spokój umysłu.

Wiedział, że Egrish i jej towarzyszkę spędzały życie w ciemnościach. Przybyły zatem ze świata pozbawionego światła.

Jakiego świata? i zwykle nie nosiły odzieży. Dlaczego teraz potrzebowały ubrań?

Czym były? Dlaczego tu przybywały? I co miał na myśli Bellis, mówiąc o zaprzęgnięciu ich do roboty?

Slobold doszedł do wniosku, że szacowna śmierć głodowa jest lepsza od tego typu zatrudnienia.

— Egrish była w pełni zadowolona — powiedział tydzień później Bellis. Skończył właśnie sprawdzanie rozmiarów. — Jestem przekonany, że pozostałe będą również zadowolone.

— Miło mi to słyszeć — odparł Slobold.

— Nie spodziewałem się nawet, że są takie elastyczne — rzekł Bellis. — Już są zaaklimatyzowane. Oczywiście pańska praca będzie ogromnie pomocna.

— Niezmiernie się cieszę — odparł Slobold, uśmiechając się mechanicznie. Pragnął, by Bellis sobie poszedł.

Ale Bellis miał nastrój do rozmowy. Nachylił się nad ladą.

— Przecież nie ma powodu, dlaczego miałyby działać jedynie w ciemności — stwierdził. — To bardzo ogranicza. Właśnie dlatego zabrałem je z Krainy Ciemności.

Slobold kiwnął głową.

— Myślę, że to wszystko — rzekł Bellis, biorąc pudło z ubraniami pod pachę. — A propos — dodał. — Powinien mi pan być powiedzieć, że jest pan niewłaściwym Sloboldem.

Slobold zdołał tylko głupio się uśmiechnąć.

— Ale nic złego z tego nie wynikło — uspokoił go Bellis. — Egrish chce bowiem panu podziękować osobiście.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi. Slobold stał, gapiąc się na wyjście. Potem dotknął studolarowych banknotów w kieszeni.

— To zabawne — rzekł do siebie. Szybko zamknął na klucz drzwi frontowe.

Następnie pośpieszył do tylnych drzwi i zaryglował je. Potem zapalił cygaro.

— Doprawdy zabawne — powiedział głośno.

Na zewnątrz był jasny dzień. Slobold uśmiechnął się do swych lęków i włączył oświetlenie pokoju.

Z tyłu postłyszał delikatny hałas.

Cygaro wysliznęło mu się z palców, ale Slobold nie poruszył się. Nic wydał żadnego dźwięku, choć wszystkie nerwy w jego ciele piszczwały.

— Witam, panie Slobold — powiedział głos.

Slobold stał jak sparaliżowany pośrodku swej jasno oświetlonej pracowni.

— Chciałyśmy panu podziękować za doskonałą pracę — rzekł głos. — My wszystkie.

Slobold wiedział, że jeśli się nie obejrzy, to zaraz zwariuje. Powoli, nieubłaganie, zaczął się odwracać.

— Klish powiedziała, że możemy przyjść — oświadczył głos. — Klish powiedziała, że pan ma być pierwszą osobą, która nas zobaczy. W świetle dnia.

Slobold zakończył swój obrót i spojrzał. Była tam Egrish, i inne też tam były. Bez sukien.

„Bez sukien”. Jak mogły nosić suknie, skoro nie miały ciał? Cztery gigantyczne głowy dyndały przed nim w powietrzu. Głowy? Tak, przypuszczał, że te zniekształcone, wybrzuszone twory są głowami.

Było w nich coś niejasno znajomego.

Przez chwilę Slobold rozpaczliwie usiłował sobie wmówić, że to halucynacja. Nie mógł ich wcześniej widzieć. Bellis twierdził, że przybyły z Krainy Ciemności. Żyły i pracowały w ciemności. Nigdy nie posiadały ubrań i nie będą ich posiadały...

Wtedy Slobold przypomniał sobie. Spotkał je raz, w szczególnie przykrym śnie.

To były zmory.

Całkowicie zrozumiałe, pomyślał z logiką szaleńca. Może tylko dziwić, dlaczego tak późno. Czemużby zmory miały ograniczać się do działań nocnych? Dzień — to przecież ogromny, nie tknięty teren aktywności.

Bellis otworzył oddział zmór dziennych, i oto wynik. Ale po co suknie? Slobold miał przecież świadomość, co szył, a to było dla niego nieco za wiele. Jego umysł zaczął drzeć, dygotać i zawijać się na brzegach. Slobold żałował, że po prostu porządnie nie zwariował.

— Już odchodzimy — rzekła Egrish. — Światło wciąż nas niepokoi.

Slobold zobaczył, jak fantastyczne łby podpływają bliżej.

— Dziękujemy za maski do snu. Doskonale pasują.

Slobold upadł na podłogę.

— Będzie pan nas widywał — oznajmiła Egrish.

Nareszcie sam

Statek odlatujący raz w roku na Io stał już na pozycji startowej. Wokół uwijały się chmary androidów, dopracowując ostatnie szczegóły. Zebrali się ludzie, którzy chcieli poobserwować całe wydarzenie, postać obok siebie w tłumie i rozerwać się trochę. Zabrzmiały rogi, zawyła syrena ostrzegawcza. Z ostatnich nie zamkniętych drzwi posypało się confetti oraz długie srebrne i czerwone serpentyny. Z głośnika dobiegł krzepki głos kapitana — człowieka, oczywiście: „Kto nie leci, ten wysiada”

W sercu tego radosnego zamieszania stał Richard Arwell. Twarz miał pokrytą potem. Dokoła niego gromadziły się rosnące z każdą minutą stosy bagażu. Drogę do statku zagradzał mu śmieszny, mały urzędnik.

— Nie, proszę pana, obawiam się, że będę musiał odmówić pozwolenia — oznajmił urzędnik z niejakim namaszczaniem.

Przepustka w Kosmos dla Arwella była podpisana i zatwierdzona, bilet opłacony, pokwitowania załączone. Aby osiągnąć ten etap, Arwell musiał wystawać przed setką drzwi, objaśniać swą sprawę setce tępych sługusów i jakoś udało mu się przejść ich wszystkich. I teraz, na samym progu sukcesu, stanął wobec klęski.

— Moje papiery są w porządku — podkreślił Arwell ze spokojem, którego nie czuł.

— Wydają się w porządku — podkreślił z naciskiem urzędnik. — Ale pański cci podróży jest tak niedorzeczny...

W tym momencie robot tragarz wgramolił się z kufrem zawierającym osobistego androida Arwella.

— Ostrożnie z tym — powiedział Arwell. Robot postawił skrzynie z głuchym stuknięciem.

— Idiota! — wrzasnął Arwell. — Niezdarny głupiec! — Obrócił się znów do urzędnika. — Czy nie potrafia skonstruować takiego, który słuchałby poleceń?

— Żona zadała mi wczoraj to samo pytanie — rzekł urzędnik, uśmiechając się ze współczuciem. — Właśnie wczoraj nasz android...

— Czy załadować to na siatek, proszę pana? — zapytał robot.

— Jeszcze nie — odpowiedział mały urzędnik.

— Ostatnie wezwanie! Wszyscy wysiadać! — zahuczał głośnik.

Urzędnik znów podniósł papiery Arwella.

— Więc tak. Chodzi o cci pańskiej podróży. Naprawdę chce się pan udać na asteroid?

— Właśnie — oświadczył Arwell. — Mam zamiar mieszkać na asteroidzie, tak jak to stwierdzają dokumenty. Gdyby był pan tak miły, by je podpisać i wpuścić mnie na pokład...

— Ale przecież nikt nie mieszka na asteroidach — rzekł urzędnik. — Nic ma takiej kolonii.

— Wiem o tym.

— Na asteroidach nic ma po prostu nikogo.

— To prawda.

— Będzie pan sam.

— Pragnę być sam — odparł z prostotą Arwell.

Urzędnik z niedowierzaniem wybałuszył na niego oczy.

— Przecież to ryzyko. Nikt dzisiaj nie jest sam.

— Ja będę. Natychmiast, jak podpisze pan ten papier — rzekł Arwell. Spojrzał na statek i zobaczył, że luki właśnie się zamykają. — Proszę!

Urzędnik wahał się. To prawda, papiery były w porządku. Ale samotność — zupełna samotność — to niebezpieczne, to samobójstwo.

A jednak było to bez wątpienia legalne.

Nagryzmolił swe nazwisko.

— Tragarz, tragarz! — zawołał natychmiast Arwell. — Załaduj to na statek. Pośpiesz się! I ostrożnie z androidem!

Tragarz podniósł kufer tak gwałtownie, że Arwell usłyszał, jak głowa androida wali w ściankę. Skrzywił się, ale nie było już czasu na reprimendy. Ostatnie drzwi się zamykały.

— Poczekajcie! — wrzasnął Arwell i pognął po betonowym pasie startowym. Robot — tragarz łomotał tuż za nim. — Poczekajcie! — wrzasnął znowu, gdyż statkowy android metodycznie zamykał luk, nie zwracając uwagi na nieprawomocne rozkazy Arwell a. Wtrącił się jednak inny członek załogi, człowiek, i drzwi na chwilę zatrzymano. Arwell wskoczył do środka, a robot cisnął za nim bagaże. Luk się zamknął.

— Niech się pan położy! — krzyknął człowiek ze statku. — Zapnie pasy. Wypije to. Startujemy.

Statek drżał i wznosił się, a Arwell czuł, jak wysoką falą zalewa go satysfakcja. Udało mu się, zwyciężył i wkrótce, już wkrótce będzie sam!

Ale nawet w Kosmosie kłopoty nadal prześladowały Arwella. Kapitan statku, wysoki, wyprostowany siwiejący mężczyzna, postanowił nie wysadzać go na asteroidzie.

— Nie mogę uwierzyć, że zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan robi — oświadczył. — Błagam pana, niech się pan rozmyśli.

Siedzieli w wyściełanych fotelach, w wygodnym salonie. Patrząc na filisterską, pospolitą twarz kapitana, Arwell czuł niewypowiedziane znużenie. Chwilami miał ochotę udusić tego mężczyznę. Ale to by mu nie przyniosło wymarzonej samotności. Jakoś musi przekonać tego ostatniego już ponurego idiotę.

Robot steward bezgłośnie stanął za kapitanem.

— Drinka, proszę pana? — zapytał ostrym, metalicznym głosem.

Kapitan drgnął.

— Czy naprawdę musisz się w ten sposób skradać? — zapytał robot.

— Przepraszam, proszę pana — odrzekł robot. — Drinka, proszę pana? .

Obaj mężczyźni wzięli drinki.

— Dlaczego — zadumał się kapitan — nie można lepiej wyszkolić tych mechanizmów?

— Sam się nad tym często zastanawiałem — powiedział Arwell z uśmiechem człowieka, który zetknął się już z tym zagadnieniem.

— Ten egzemplarz — ciągnął kapitan — jest idealnym służącym. A jednak ma ten śmieszny zwyczaj podchodzenia do ludzi z tyłu.

— Mojemu androidowi — rzekł Arwell — w denerwujący sposób drży lewa ręka. Opóźnienie synaptyczne, chyba tak nazywają to technicy. Dobrze by było, żeby coś z tym zrobili.

Kapitan wzruszył ramionami.

— Może nowe modele... Szkoda gadać. Pociągnął ze szklanki.

Arwell sączył swojego drinka. Uważał, że udało się wprowadzić nastrój koleżeństwa. Pokazał kapitanowi, że nie jest szalonym ekscentrykiem. Wprost przeciwnie, jego pomysły są zupełnie przeciętne. Teraz przyszedł czas, by z lepszych pozycji przystąpić do ataku.

— Mam nadzieję, kapitanie, że nie ma już żadnych problemów w sprawie tego asteroidu — powiedział.

Na twarzy kapitana odmalowała się udręka.

— Panie Arwell — rzekł — proszę mnie pan o dokonanie, w gruncie rzeczy, czynu aspołecznego. Wsadzenie pana na asteroidzie byłoby z mojej strony osobistą, czysto ludzką porażką. Nikt nie jest samotny w dzisiejszych czasach. Trzymamy się razem. W gromadzie jest wygoda, bezpieczeństwo. Dbamy o siebie wzajemnie.

— Całkowita racja — odparł Arwell. — Ale musi pan wziąć pod uwagę indywidualne różnice. Jestem jednym z tych niewielu, którzy szczerze pragną samotności. Może to niezwykle, ale z pewnością moje życzenie powinno być respektowane.

— Hmm. — Kapitan popatrzył poważnie na Arwella. — Panu się wydaje, że pragnie pan samotności. Ale czy naprawdę jej pan kiedyś doświadczył?

— Nie — przyznał Arwell.

— Aha. Więc nic może pan mieć pojęcia o niebezpieczeństwach, prawdziwych niebezpieczeństwach związanych z tym stanem. Czy nic lepiej, panie Arwell, korzystać z szans, jakie daje nasza epoka?

Kapitan przeszedł do wychwalania Wielkiego Pokoju, który trwał już ponad dwieście lat, i leżącej u jego podstaw równowagi psychicznej. Lekko poczerwieniały na twarzy perorował o zdrowej obustronnej symbiozie pomiędzy Człowiekiem, tym społecznie zintegrowanym zwierzęciem, a jego tworem — radosnym, fachowym mechanizmem. Mówił o największym z zadań Ludzkości — o organizowaniu pracy wytworzonych przez Człowieka istot.

— To wszystko prawda — przyznał Arwell. — Ale nie w moim przypadku.

— Ale czy pan próbował? — spytał kapitan z mądrym uśmiechem. — Czy doświadczył pan wzruszeń, jakie przynosi współpraca? Kierowanie androidami żniwnymi, trudzącymi się na polach pszenicy, nadzorowanie ich zajęć na dnie mórz — zdrowa, satysfakcjonująca praca. Nawet najpodlejsze z zajęć — funkcja kierownika brygady kilkudziesięciu robotów fabrycznych — dostarcza sporo satysfakcji z solidnie wykonanego dzieła. I tę satysfakcję można dzielić i wzmacniać dzięki kontaktom z bliźnimi — ludźmi.

— Wszystkie te rzeczy nie dają mi zadowolenia — powiedział Arwell. — To po prostu nie dla mnie. Pragnę spędzić resztę swego życia sam, czytać książki, oddawać się kontemplacji, być na jakimś niewielkim asteroidzie całkowicie sam.

Kapitan ze znużeniem potarł oczy.

— Panie Arwell — rzekł. — Wierzę, że jest pan przy zdrowych zmysłach i jako taki jest panem własnego losu. Nic mogę pana powstrzymać. Ale proszę rozważyć! Samotność jest niebezpieczna dla nowoczesnego człowieka. Zdradliwie, nieubłaganie niebezpieczna. Dlatego właśnie nowoczesny człowiek nauczył się jej wystrzegać.

— Dla mnie nie będzie niebezpieczna — oświadczył Arwell.

— Mam nadzieję, że się pan nie myli — rzekł kapitan. — Mam szczerą nadzieję.

Minęli orbitę Marsa i dotarli do pasa asteroidów. Z pomocą kapitana Arwell wybrał przyzwoity kawał skały. Statek dostosował do niej swą szybkość.

— Czy na pewno pan wie, co robi? — spytał kapitan.

— Całkowicie! — odpowiedział Arwell, ledwo opanowując emocje spowodowane tak bliską samotnością.

Przez następne kilka godzin załoga w hełmach przenosiła jego graty ze statku na asteroid i zakotwiczyła je. Zamontowali wytwarzacz wody i generator powietrza, załadowali podstawowe komponenty żywności. W końcu nadmuchali twardą plastikową bańkę, pod którą Arwell miał mieszkać, i wzięli się za transport androida.

— Ostrożnie — ostrzegł Arwell.

Nagle skrzynia wyslizgnęła się z niezręcznych, urękawiczonych dłoni robota i zaczęła odpływać.

— Zarzućcie na nią linę — krzyknął kapitan.

— Szybciej — wrzasnął Arwell, obserwując, jak jego cenny mechanizm odpływa w próżnię Kosmosu.

Jeden z ludzi na statku trafił harpunem w skrzynię i przyciągnął ją, objając brutalnie o boki statku. Potem bez dalszych przeszkód skrzynia została zamocowana na asteroidzie.

Nareszcie Arwell mógł objąć w posiadanie swój własny, prywatny mały świat.

— Chciałbym, aby pan nad tym pomyślał — rzekł poważnie kapitan. — Niebezpieczeństwa samotności...

— To wszystko przesady — przerwał mu gwałtownie Arwell, pragnąc zostać jak najszybciej sam. — Nie ma żadnych niebezpieczeństw.

— Za sześć miesięcy wrócę z dalszymi zapasami — oznajmił kapitan. — Niech mi pan wierzy, niebezpieczeństwa istnieją. Nic przez przypadek człowiek nowoczesny unika...

— Czy mogę już iść? — przerwał mu Arwell.

— Oczywiście. I powodzenia.

W hełmie i skafandrze Arwell skoczył na swą drobną kosmiczną wysepkę i stamtąd obserwował odlatujący statek. Kiedy stał się on świetlnym punktem, nie większym od gwiazdy, Arwell zaczął porządkować swój dobytek. Najpierw, oczywiście, android. Miał nadzieję, że nic będzie poobijany mimo brutalnego traktowania. Arwell otworzył szybko skrzynię i uaktywnił robota. Indykator na czole wskazywał, że gromadzi on energię. Prawidłowo.

Rozejrzał się. Asteroid, długa, czarna skała. Zapasy, android, żywność i woda, książki. Dookoła ogrom Kosmosu, zimne światło gwiazd, słabe słońce, absolutna czerń nocy.

Zadrzał z lekka i odwrócił się.

Android był już aktywny. Czekają sporo roboty. Jednak Arwell zafascynowany znów spojrzął w Kosmos.

Statek, ta słaba gwiazda, zniknął z pola widzenia. Po raz pierwszy Arwell doświadczył czegoś, co sobie przedtem jedynie słabo wyobrażał: samotność, idealna, całkowita i wszechogarniająca samotność. Bezlitosne diamentowe kropki gwiazd świeciły nad nim z głębi nocy, która nigdy się nie skończy. Nie było obok żadnego człowieka — z jego punktu widzenia rasa ludzka przestała istnieć. Był naprawdę sam.

Była to sytuacja, która innego człowieka doprowadziłaby do szaleństwa.

Arwell rozkoszował się nią.

— Nareszcie sam! — zawołał ku gwiazdom.

— Tak — rzekł android, wstając chwiejnie na nogi i ruszając na niego. — Nareszcie sami.

Wieczność

Charles Dennison nie powinien przejawiać takiej beztroski, skoro miał aż tyle do stracenia. Wynalazca nie może sobie pozwolić na beztroskę, zwłaszcza gdy jego wynalazek jest niesłychanie cenny, oryginalny i nie ma wątpliwości, że nadaje się do opatentowania. Zbyt wiele chciwych rąk gotowych jest zagarnąć coś, co należy do kogoś innego, zbyt wielu ludzi żeruje na twórczych zdolnościach niewiniątek.

Odrobina manii prześladowczej przydałaby się Dennisonowi, ale nie posiadał on tej tak istotnej dla wynalazcy cechy. Nawet sobie nie uświadamiał rozmiaru swej beztroski, aż kula, wystrzelona z broni z tłumikiem, odłupała kawałek granitowej ściany niecałe dziesięć centymetrów od jego głowy.

Wtedy się dowiedział. Było już jednak za późno. Charles Dennison odziedziczył po ojcu niegorsze dochody. Wstąpił na Harvard, odbył woja w marynarce, potem kontynuował edukację na MIT. Gdy skończył trzydzieści dwa lata, zaczął pracować naukowo we własnym, prywatnym małym laboratorium w Riverdale pod Nowym Jorkiem. Zajmował się biologią roślin. Opublikował szereg znaczących artykułów i sprzedał nowy środek owadobójczy pewnej firmie budowlanej. Spływające regularnie zyski pozwoliły mu na rozwinięcie warsztatu pracy.

Dennison lubił pracować sam. Odpowiadało to jego naturze — surowej, lecz życzliwej ludziom. Dwa lub trzy razy do roku jeździł do Nowego Jorku, oglądał kilka sztuk i filmów i organizował sobie małą pijatykę. Po czym z satysfakcją wracał do swojej pustelni. Był kawalerem i wydawało się, że ten stan jest mu przeznaczony.

Niedługo po swych czterdziestych urodzinach Dennison natknął się na interesujące zjawisko. Idąc jego tropem dotarł do nowej gałęzi biologii. Rozpracował zawartą w nim ideę, rozwinął ją powoli w hipotezę. Po trzech dalszych latach szczęśliwy przypadek włożył w jego ręce ostateczne dowody.

Dennison wynalazł niezwykle skuteczny środek zapewniający długowieczność. Nie uodporniał on człowieka — na śmierć mu zadaną. Jeśli jednak pominąć ten niedostatek, środek z czystym sumieniem można było nazwać eliksirem nieśmiertelności.

Teraz należałoby wykazać ostrożność, ale lata odosobnienia sprawiły, że Dennison nie miał się na baczności przed ludźmi. Nie obchodził go zbytnio otaczający świat. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że ten świat nie darzy go podobną obojętnością.

Dennison myślał wyłącznie o swym eliksirze. Odkrycie było cenne i nadawało się do opatentowania. Ale czy należało je ogłosić? Czy świat jest gotów do przyjęcia środka zapewniającego nieśmiertelność?

Nigdy nie lubił tego rodzaju spekulacji. Jednak od czasu bomby atomowej wielu uczonych musiało poddać ocenie etykę swego zawodu. Dennison poddał ocenie swoją etykę i doszedł do wniosku, że nieśmiertelności uniknąć się nie da.

Od kiedy istniała, ludzkość, wielokrotnie usiłowano zgłębić tajniki przyrody, próbując zorientować się, jak działa świat. Jeśli jakiś człowiek nie wynalazłby ognia, zasady działania dźwigni, prochu, bomby atomowej czy nieśmiertelności, inny człowiek wynalazłby to wszystko. Ludzie pragnęli poznać tajemnice przyrody i nie było sposobu, by odkrycie utrzymać w sekrecie.

Uzbrojony w tę posępną, lecz pocieszającą filozofię Dennison zapakował do teczek swoje wzory i dowody, wsunął fiolkę z produktem do kieszeni marynarki i o zmierzchu opuścił laboratorium w Riverdale. Miał zamiar spędzić noc w dobrym śródmiejskim hotelu, obejrzeć jakiś film, a następnego dnia pojechać do Urzędu Patentowego w Waszyngtonie.

W metrze pograżył się w lekturze gazety. Ledwie uświadamiał sobie obecność dwóch mężczyzn siedzących z obu jego boków. Zdał sobie w pełni sprawę z tego sąsiedztwa dopiero wtedy, gdy mężczyzna po prawej szturchnął go mocno w żebra.

Dennison spojrział w tym kierunku i zobaczył perkaty nos małego pistoletu automatycznego, który zasłonięty gazetą przed wzrokiem innych pasażerów, opierał się o jego bok.

— Co to ma znaczyć? — spytał Dennison.

— Daj nam to — rozkazał mężczyzna.

Dennison osłupiał. Skąd ktokolwiek mógł się dowiedzieć o jego odkryciu? I jak oni śmieją rabować w pełnym pasażerów wagonie metra?

Potem zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie chodzi im tylko o pieniądze.

— Nie mam przy sobie wiele — rzekł ochryple Dennison, sięgając po portfel.

Mężczyzna po lewej nachylił się i poklepał teczkę.

— Nie pieniądze — rzekł. — Tę całą nieśmiertelność.

W jakiś niewyjaśniony sposób dowiedzieli się. Co będzie, jeśli odmówi oddania teczek? Czy ośmielą się strzelać w metrze? Broń była bardzo małego kalibru. Jej huk może zostać zagłuszony przez stukot pociągu. Prawdopodobnie uznali, że warto podjąć ryzyko dla tak cennego łupu jak zawartość teczek Dennisona.

Obrzucił ich szybkim spojrzeniem. Byli ludźmi o łagodnym wyglądzie, w stonowanych, ciemnych ubraniach. Coś w ich aparycji budziło w pamięci Dennisona nieprzyjemne skojarzenia, ale nie był to czas i miejsce na wspominki. Lufa wwiercała mu się boleśnie w żebra.

Pociąg wjeżdżał na stację. Dennison spojrział przelotnie na mężczyznę z lewej i zobaczył błysk światła na małej strzykawce.

Wielu wynalazców, zajętych głównie swymi rozmyślaniami, odznacza się wolnym refleksem. Ale Dennison, niedysiejszy oficer artylerii w marynarce, miał praktykę w szybkim działaniu. Niech go diabli, jeśli odda swój wynalazek tak łatwo.

Wyskoczył z siedzenia i strzykawka przebiła mu rękaw płaszcza, tylko odrobinię chybiając ramienia. Zamachnął się teczką na mężczyznę z pistoletem, trafiając go metalowym okuciem w czoło. Gdy drzwi otworzyły się, pognął obok wytrzeszczającego oczy konduktora, po schodach na ulicę.

Dwaj mężczyźni pobiegli za nim. Jeden broczył krwią z czoła. Dennison uciekał, gorączkowo rozglądając się za policjantem.

— Łapać złodzieja! — wrzeszczał jeden z prześladowców. — Policja! Policja! Zatrzymać tego człowieka!

Widocznie byli przygotowani, że w razie spotkania z policją oświadczą, iż teczka i fiolka są ich własnością. Doprawdy śmieszne! Jednak ich donośne głosy, pobrzmiwające tonem pewnego siebie oburzenia, denerwowały Dennisona. Całe zajście bardzo mu się nie podobało.

Mimo wszystko spotkanie policjanta byłoby najlepszym wyjściem. Teczkę wypełniały dowody tożsamości Dennisona. Nawet jego nazwisko było widniało na zewnątrz teczki. Jedno spojrzenie przekona każdego...

Dostrzegł błysk metalu i ciągle biegnąc spojrział w dół. Wstrząsnął nim widok przymocowanej do cielej skóry metalowej plakietki. Przykrywała ona jego inicjały. Musiał to zrobić w metrze mężczyzna po lewej, kiedy klepnął teczkę.

Dennison uchwycił plakietkę końcami palców, ale nie dawała się usunąć.

„Własność Edwarda Jamesa Flaherty’ego z Instytutu Smithfielda”, głosił napis na plakietce.

Spotkanie policjanta może nie być, mimo wszystko, takie pomocne.

Problem czysto teoretyczny, gdyż Dennison i tak nie widział żadnego policjanta na zatłoczonej ulicy Bronxu. Biegł, a ludzie ustępowali mu z drogi, gapili się ani nie przeszkadzając, ani nie pomagając. A mężczyźni z tyłu wciąż krzydzeli:

— Łapać złodzieja! Łapać złodzieja!

Zaalarmowali całą ulicę. Ludzie niczym leniwe zwierzęta, niechętnie dające się zagonić do pracy, zaczęli z ociąganiem iść w kierunku Dennisona, pobudzeni rozpaczliwymi krzykami jego prześladowców.

Musi coś zrobić, by zrównoważyć szale ludzkich opinii, bo jakiś gorliwiec wkrótce go zatrzyma. Dennison pokonał swoją dumę i nieśmiałość.

— Pomóżcie mi! Chcą mnie obrabować! Zatrzymajcie ich! — zawołał.

Ale jego głosowi brakowało tego moralnego oburzenia, tego absolutnego przekonania, jakie brzmiało w przenikliwych krzykach jego obydwu prześladowców. Dennisonowi zastąpił drogę barczysty młody człowiek, ale w ostatniej chwili odciągnęła go jakaś kobieta.

— Nie mieszaj się do tego, Charley.

— Dlaczego nikt nie wzywa policji?

— Taak, gdzie jest policja?

— Słyszałem, że przy wielkim pożarze na 178 ulicy.

— Powinniśmy zatrzymać tego faceta.

— Dobrze, jeśli ty też tego chcesz.

Czterej kilkunastoletni chłopcy uśmiechając się zastąpili nagle drogę Dennisonowi. Mieli na sobie czarne skórzane kurtki motocyklowe i buty z cholewami. Podniecała ich okazja do małej rozróby, rozkoszowali się możliwością pobicia kogoś w imię prawa i porządku.

Dennison zobaczył ich, skręcił gwałtownie i ruszył sprintem przez jezdnię. Wyrosła przed nim sylwetka autobusu.

Rzucił się, ustępując mu z drogi, upadł, znowu wstał i pobiegł dalej.

Strumień pojazdów opóźnił pościg. Przenikliwe głosy prześladowców ucichły, kiedy Dennison skręcił w bok. Przebiegł jedną ulicę, potem następną.

Znajdował się wśród masywnych bloków mieszkalnych. Miał w płucach wielki piec hutniczy, a lewy bok był jak zszyty rozpalonym do czerwoności drutem. Nie mógł nic zrobić — musiał odpocząć.

I właśnie wtedy pierwsza kula, wystrzelona z broni z tłumikiem, odłupała kawałek granitowej ściany niecałe dziesięć centymetrów od jego głowy. Właśnie wtedy Dennison uświadomił sobie cały rozmiar swojej beztroski.

Wyciągnął fiolkę z kieszeni. Żywił przedtem nadzieję, że przeprowadzi więcej eksperymentów z eliksirem, nim wypróbuje go na ludziach. Teraz nie miał już wyboru.

Wyciągnął korek i wysączył zawartość.

Natychmiast znów pobiegł i wtedy druga kula drasnęła granitową ścianę. Wielkie bloki mieszkalne wyłaniały się przed nim bez końca, ciche i obce. Na ulicach nie było przechodniów, jedynie on, Dennison. Biegł już nieco wolniej wzdłuż ogromnych, obojętnych fasad.

Z tyłu nadszedł długi, czarny samochód. Jego reflektory — szperacze przeszukiwały bramy i zakamarki. Czy to policja?

— To on! — rozległ się ostry, irytujący głos jednego z prześladowców.

Dennison dał nura w wąski przesmyk między budynkami, pognał przez niego i wypadł na sąsiednią

ulicę.

Tutaj z przeciwnych kierunków nadjeżdżały dwa samochody. Oświetlały się wzajemnie reflektorami, by złapać Dennisona w środek. Przejście między domami było teraz jasno oświetlone szperaczami pierwszego samochodu. Dennison został okrążony.

Podbiegł do najbliższego bloku i szarpnął drzwiami. Zamknięte. Dwa samochody prawie się z nim zrównały. Patrząc na nie Dennison przypomniał sobie o nieprzyjemnym skojarzeniu, które naszło go w metrze.

Te samochody to karawany.

Tamci mężczyźni o poważnych twarzach, poważnie ubrani, w stonowanych krawatach, mówiący przenikliwymi, oburzonymi głosami przypominali mu przedsiębiorców pogrzebowych. Oni byli przedsiębiorcami pogrzebowymi!

Jasne! Jasne! Kompanie naftowe mogą blokować odkrycie taniego nowego paliwa, które pozbawiałoby je zysków; kompanie metalurgiczne mogą hamować rozwój niedrogich, trwalszych niż stal tworzyw sztucznych. ..

Natomiast produkcja eliksiru nieśmiertelności pozbawi zysków przedsiębiorstwa pogrzebowe.

Postępy badań Dennisona i tysiący innych biologów musiały być obserwowane. I kiedy on dokonał odkrycia, przedsiębiorcy byli przygotowani.

Karawany zatrzymały się i ponurzy, wzbudzający szacunek mężczyźni w czarnych garniturach i perłowszarych krawatach wysypali się z nich i schwytali Dennisona. Wyrwano mu z ręki teczkę. Poczul ukłucie igły w ramię. Potem, bez żadnych przejściowych zawrotów głowy, stracił przytomność.

Kiedy przyszedł do siebie, siedział w fotelu. Z obu stron otaczali go uzbrojeni ludzie. Przed nim stał mały, pulchny, niepozornie wyglądający mężczyzna w ciemnym ubraniu.

— Nazywam się Bennet — oznajmił pulchny człowieczek. — Chciałbym prosić pana o wybaczenie, panie Dennison, z powodu gwałtu, jaki panu zadano. Dowiedzieliśmy się o pańskim odkryciu dopiero w ostatniej chwili i dlatego musieliśmy improwizować. Kule miały pana przestraszyć i powstrzymać. Nie chcieliśmy popełniać morderstwa.

— Chcieliście tylko skraść moje odkrycie — stwierdził Dennison.

— Wcale nie — oświadczył Bennet. — Już od dość dawna posiadamy sekret nieśmiertelności.

— Rozumiem. Więc chcecie skryć istnienie nieśmiertelności przed społeczeństwem, by chronić wasze cholerne karawaniarskie interesy!

— To chyba dosyć naiwny pogląd? — spytał z uśmiechem Bennet. — Tak się składa, że ani ja, ani moi współpracownicy wcale nie jesteśmy przedsiębiorcami pogrzebowymi. Przebraliśmy się, by

bardziej przekonująco brzmiały nasze motywy, gdyby plan pochwylenia pana nie wypalił. Inni uwierzyliby wówczas dokładnie i wyłącznie w to, co pan sobie właśnie pomyślał — że naszym celem jest ochrona własnych interesów.

Dennison nachmurzył się i czekał z napięciem.

— Przebieranie się przychodzi nam z łatwością — wyjaśnił Bennet, wciąż się uśmiechając. — Może słyszał pan pogłoski o nowym gaźniku ukrytym przez rafinerie albo o nowej substancji odżywczej zatajonej przez dostawców żywności, lub o nowym tworzywie sztucznym, pośpiesznie zniszczonym przez firmy sprzedające bawełnę. To byliśmy my. Wszystkie wynalazki kończą się tutaj.

— Próbuje pan zrobić na mnie wrażenie — stwierdził Dennison.

— Z pewnością.

— Dlaczego powstrzymaliście mnie od opatentowania mojego eliksiru nieśmiertelności?

— Świat nie jest jeszcze gotowy do jego przyjęcia — wyjaśnił Bennet.

— Nie jest gotowy do wielu rzeczy — rzekł Dennison. — Dlaczego nie zablokowaliście bomby atomowej?

— Próbowaliśmy. W przebraniu właścicieli kopalni i szybów naftowych. Ale nie udało nam się. Jednak udało nam się w zdumiewająco wielu innych przypadkach.

— Ale jaki to wszystko ma cel?

— Dobro Ziemi — stwierdził pośpiesznie Bennet. — Niech pan pomyśli, co by się wydarzyło, gdyby ludzie dostali pański prawdziwy eliksir nieśmiertelności. Problemy z przyrostem naturalnym, produkcją żywności, przestrzenią życiową — wszystkie by się zaostrzyły. Wzrosłyby napięcia, groziły wojny...

— Więc cóż z tego? — spytał wyzywająco Dennison. — Tak się właśnie rzeczy mają obecnie, bez nieśmiertelności. Ponadto wołania na temat zagłady podnosiły się przy każdym nowym wynalazku czy odkryciu. Proch, prasa drukarska, nitrogliceryna, bomba atomowa — wszystko to miało zniszczyć rasę. Ale ludzkość nauczyła się, jak sobie z tym radzić. Musiała! Nie można cofnąć zegara, a wy nie możecie zakrywać odkryć. Jeśli już coś odkryto, ludzkość musi sobie z tym radzić!

— Tak: bałaganiarsko, krwawo, nieefektywnie — rzekł Bennet z niesmakiem na twarzy.

— Cóż, właśnie taka jest natura Człowieka.

— Nie, jeśli się go odpowiednio poprowadzi — oświadczył Bennet.

— Nie?

— Na pewno nie — stwierdził Bennet. — Widzi pan, eliksir nieśmiertelności rozwiązuje problem

władzy politycznej. Stabilne rządy oświeconej elity są z całą pewnością najlepszą formą rządów. Nieskończenie lepszą niż rażąca niekompetencja demokracji. Ale w ciągu całej historii ta elita — monarchia, oligarchia, dyktatura czy junta, nie mogła zapewnić sobie ciągłości. Przywódcy umierają, ich następcy walczą o władzę i szybko następuje chaos. Z pomocą nieśmiertelności ta ostatnia usterka zostanie naprawiona. Nie będzie nieciągłości przywództwa, gdyż przywódcy będą zawsze ci sami.

— Nieustanna dyktatura — rzekł Dennison.

— Tak. Nieustanna, dobroczynna władza małej, starannie dobranej elity, opartej na t jedynym i wyłącznym dostępie do nieśmiertelności. To jest historycznie nieuchronne. Pozostaje jedynie pytanie, kto pierwszy obejmie władzę. |

— Warn się wydaje, że to właśnie wy? — zapytał Dennison.

— Oczywiście. Nasza organizacja jest wciąż mała, ale skonsolidowana. Umacniają każde nowe odkrycie, które wpada nam w ręce, i każdy uczony, który się do nas przyłącza. Nasz czas nadejdzie, Dennison! Chcielibyśmy, by był pan z nami, pośród elity!

— Chcecie, bym właśnie ja do was dołączył? — spytał osłupiały Dennison.

— Tak jest. Nasza organizacja potrzebuje twórczych, naukowych umysłów, pomocnych w naszej pracy, pomocnych w dziele ocalenia ludzkości przed nią samą.

— Na mnie nie liczcie — rzekł Dennison. Serce biło mu szybko.

— Nie przyłączy się pan?

— Chciałbym zobaczyć was wszystkich na szubienicy.

Bennet kiwnął głową w zamyśleniu.

— Zażył pan swój własny eliksir, prawda?

Dennison przytaknął.

— To chyba oznacza, że teraz mnie zabijecie?

— Nie zabijamy — oświadczył Bennet. — Czekamy tylko. Myślę, że jest pan rozsądnym człowiekiem i przypuszczam, że zacznie pan widzieć sprawy tak jak my. Będziemy tu dłuży czas. Pan też. Zabierzcie go.

Dennisona odprowadzono do windy i zwieziono głęboko pod ziemię. Powiedziano go długim korytarzem, obstawionym uzbrojonymi ludźmi. Przeszli przez cztery masywne drzwi. Przez piątę wepchnięto samego Dennisona. Drzwi za nim zamknięto na klucz.

Znajdował się w obszernym, starannie umeblowanym apartamencie. Było tu może ze dwudziestu ludzi. Podeszli, by się z nim przywitać.

Jeden z nich, barczysty brodacz, był starym kolegą szkolnym Dennisona.

— Jim Ferris!

— Tak jest — rzekł Ferris. — Witaj w Klubie Nieśmiertelnych, Dennison.

— Czytałem, że w zeszłym roku zginąłeś w wypadku samolotowym.

— Ja tylko zniknąłem — oświadczył Ferris ze smutnym uśmiechem. — Po wynalezieniu eliksiru nieśmiertelności. Tak jak inni.

— Wszyscy?

— Piętnastu ludzi wynalazło eliksir niezależnie od siebie. Pozostali to szczęśliwi wynalazcy z innych dziedzin. Naszym najstarszym członkiem jest doktor Li, odkrywca eliksiru, który tu przybył z San Francisco w roku 1911. Jesteś ostatnim nabytkiem. To pomieszczenie klubowe jest prawdopodobnie najlepiej strzeżonym miejscem na Ziemi.

— Tysiąc dziewięćset jedenasty — rzekł Dennison. Zalała go rozpacz. Usiadł ciężko w fotelu. — Więc nie ma szans na ratunek?

— Żadnej. Dano nam do wyboru jedną z czterech możliwości — wyjaśnił Ferris. — Niektórzy nas opuścili i dołączyli do Grabarzy. Inni popełnili samobójstwo. Kilku zwariowało. My pozostali utworzyliśmy Klub Nieśmiertelnych.

— Po co? — spytał osłupiały Dennison.

— Żeby się stąd wydostać! — rzekł Ferris. — Żeby uciec i dać światu nasze odkrycia. By zatrzymać tych napalonych dyktatorów na górze.

— Oni muszą się orientować, co planujecie.

— Oczywiście. Ale zostawiają nas przy życiu, ponieważ od czasu do czasu jeden z nas rezygnuje i się do nich przyłącza. Nie wierzą, że zdołamy się wyrwać. Są na to zbyt zarozumiali i pewni siebie. To zasadnicza wada wszystkich elit władzy i przyczyna ich końcowego upadku.

— Powiedziałeś, że to jest najlepiej strzeżone miejsce na Ziemi?

— Tak jest — potwierdził Ferris.

— I że niektórzy z was od pięćdziesięciu lat próbują się stąd wyrwać? Zanim uciekniemy, upłynie wieczność!

— Dysponujemy właśnie wiecznością — rzekł Ferris — Ale mamy nadzieję, że nie potrwa to aż tak długo. Każdy przybysz dostarcza nowych pomysłów i planów. Któryś z nich musi się powieść.

— Wieczność — powiedział Dennison, kryjąc twarz w dłoniach.

— Możesz pójść na górę i przyłączyć się do tamtych — stwierdził Ferris, a w jego głosie pobrzmiwały twarde nutki — albo możesz się zabić lub usiąść w kącie i spokojnie zwariować. Wybieraj.

Dennison podniósł wzrok.

— Muszę być uczciwy w stosunku do was i do siebie. Nie wierzę, byśmy zdołali uciec. Co więcej, wątpię, czy ktokolwiek z was w to wierzy.

Ferris wzruszył ramionami.

— Ale pomijając ten szczegół — rzekł Dennison — myślę, że to cholernie dobry pomysł. Jeżeli zapoznacie mnie z aktualnym stanem spraw, wniosę swój wkład do projektu „Wieczność”. I miejmy nadzieję, że tamci będą nadal trwali w błogim samozadowoleniu.

— Będą — odparł Ferris.

Przygotowania do ucieczki nie zajęły oczywiście całej wieczności. Po stu trzydziestu siedmiu latach Dennison i jego koledzy podjęli pomyślną próbę wydostania się i ujawnili Sprzysiężenie Grabarzy. Grabarze stanęli przed Sądem Najwyższym, gdzie zostali oskarżeni o porwania, spisek mający na celu obalenie rządu oraz o nielegalne posiadanie nieśmiertelności. Uznano ich winnymi wszystkich zarzutów i skazano na łączną karę śmierci. Wyrok wykonano.

Dennison i jego koledzy również nielegalnie posiadali nieśmiertelność, co jest przywilejem jedynie naszej elity rządzącej. Ale w stosunku do nich kara śmierci została uchylona z powodu zasług Klubu Nieśmiertelnych dla Państwa.

Łaska okazała się jednak przedwczesna. Po kilku miesiącach członkowie Klubu Nieśmiertelnych zeszli do podziemia, ślubując obalenie Rządów Elity i upowszechnienie nieśmiertelności wśród mas. „Projekt Wieczność”, jak go nazwali, poparty został przez pewnych dysydentów, których dotychczas nie ujęto. Nie można go uważać za poważną groźbę.

Te wywrotowe poczynania nie umniejszają jednak chwały należnej Klubowi za ucieczkę od Grabarzy. Pomysłowy sposób, w jaki Dennison i jego koledzy wyrwali się z pozornie absolutnego więzienia, używając tylko stalowej sprzączki do pasa, włókna wolframowego, trzech jaj kurzych i dwunastu substancji chemicznych łatwo otrzymywanych z ludzkiego ciała, jest zbyt dobrze znany, by go tu przytaczać.

Zamiatacz z Loray

— To absolutnie niemożliwe — oświadczył profesor Carver.

— Ale przecież sam widziałem — odrzekł Fred, jego towarzysz i ochroniarz. — Zeszłej nocy. Widziałem to! Nieśli tego łowcę... miał pół głowy oderwane... i oni...

Chwileczkę — przerwał mu profesor Carver, nachylając się wyczekująco.

Opuścili statek kosmiczny jeszcze przed świtem. Chcieli być świadkami ceremonii wschodu słońca w wiosce Loray na planecie o tej samej nazwie. Ceremonie witania słońca, oglądane z właściwej odległości, są często niezwykle barwne i mogą zapełnić cały rozdział w książce antropologa. Loray jednak, jak zwykle, rozczarowała.

Słońce wzeszło bez fanfar, w odpowiedzi na modły odbyte ubiegłej nocy. Powoli podniosło ponad horyzont swoją jednolicie czerwoną płachtę, ogrzewając najwyższe gałęzie ogromnej tropikalnej dżungli, która otaczała wioskę. A tubylcy spali dalej...

Nie wszyscy tubylcy. Zamiatacz był już na ulicy i miotłą z gałązek usuwał gruz spomiędzy szalasów. Włókł się powoli, ukształtowany jak człowiek, ale niewypowiedzianie obcy. Twarz Zamiatacza wypełniała stylizowana pustka, jak gdyby natura nakreśliła tam wstępny szkic stworzenia inteligentnego. Głowę miał dziwnie guzowatą, a skórę zabarwioną na brudnoszare.

Zamiatacz śpiewał coś do siebie podczas pracy, głosem niskim i gardłowym. Od swoich ziomeków, Lorayan, odróżniał się tylko jednym: na twarzy miał namalowany szeroki, czarny pas — znak jego statusu, najniższego możliwego statusu w tym prymitywnym społeczeństwie.

— Zjawisko, które opisujesz — rzekł profesor Carver, kiedy słońce wzeszło bez żadnych niespodzianek — nie mogło zajść. Zwłaszcza na takiej nędznej, lichej planetce jak ta.

— Co widziałem, to widziałem — upierał się Fred. — Nie bujam, profesorze. Sam widziałem. Chce pan to przepuścić — pańska sprawa.

Oparł się o sękaty pień stabikusa, skrzyżował ręce na wątych piersiach i patrzył groźnie na wioskowe strzechy. Przebywali na Loray już prawie dwa miesiące i Fred z każdym dniem coraz bardziej nienawidził tej wioski.

Był wątym, nieładnym młodzieńcem. Uczesanie na jeża sprawiało, że jego czoło wydawało się bardzo wąskie. Towarzyszył profesorowi od prawie dziesięciu lat, odbył z nim podróże na kilkadziesiąt planet i widział wiele dziwnych i cudownych rzeczy. Jednak wszystko, co zobaczył, zwiększało tylko jego pogardę dla całej galaktyki. Pragnął jedynie powrócić — bogaty i słynny, lub bogaty i nieznany — do swego domu w Bayonee, w New Jersey.

— Moglibyśmy się na tym wzbogacić — stwierdził oskarżycielsko Fred. — A pan chce to przepuścić koło nosa.

Profesor Carver z namysłem ściągnął usta. Oczywiście, bogactwo to coś miłego. Ale profesor nie chciał przerywać swych prac naukowych, by szukać kwiatu paproci. Kończył właśnie wielkie dzieło, mające w pełni podkreślić i udokumentować tezę, którą wysunął w swoim pierwszym artykule *Daltonizm wśród ludu Thang*, rozwinął w książce *Brak koordynacji u rasy Drang*, uogólnił w monumentalnym dziele *Niedostatki inteligencji w Galaktyce*, w którym ostatecznie dowiódł, że inteligencja nieziemców maleje liniowo wraz z kwadratem odległości ich planety od Ziemi.

Teza ta w pełni rozkwitła w ostatniej pracy Carvera, w jego podsumowaniu, które miało nosić tytuł: *Podstawowe przyczyny wrodzonej niższości ludów nieziemskich*.

— Jeżeli się nie mylisz... — rzekł Carver.

— Niech pan popatrzy — zawołał Fred. — Niosą następnego! Niech pan sam zobaczy!

Profesor Carver zawahał się. Ten postawny, imponujący mężczyzna o czerwonych policzkach lubił poruszać się wolno i z rozmysłem. Nosił ubiór badacza tropików, chociaż Loray leżała w strefie umiarkowanej. W dłoni trzymał prostą, pokrytą skórą laseczkę z metalowymi okuciami, a do pasa miał przypięty duży rewolwer, taki sam jak u Freda.

— Jeśli masz rację — rzekł z wolna Carver — byłoby to niezłe trofeum.

— Chodźmy! — ponaglił Fred.

Czterej łowcy bderów nieśli ранego towarzysza do szałasza szamana. Carver i Fred dogonili ich i poszli razem z nimi. Myśliwi byli najwyraźniej wyczerpani. Musieli wędrować całe dni, by przynieść przyjaciela do wioski, gdyż polowania na bdery odbywały się głęboko w dżungli.

— Wygląda na gotowego, no nie? — szepnął Fred.

Profesor Carver skinął głową. W zeszłym miesiącu sfotografował bdera z punktu obserwacyjnego na bardzo wysokim i grubym drzewie. Znał bdery jako wielkie, zwinne bestie o niemiłym usposobieniu, z przerażającym zestawem szponów, zębów i rogów. Na planecie było to jedyne zwierzę o jadalnym mięsie, nie objęte przy tym tabu. Tubylcy musieli zabijać bdery lub ginąć z głodu.

Tym razem myśliwy nie wykazał dostatecznej zręczności we władaniu dzidą i tarczą i bder rozpruł go od gardła do miednicy. Mężczyzna wykrwawił się obficie, mimo że ranę pośpiesznie przewiązano suchą trawą. Na szczęście dla siebie nie był przytomny.

— Facet nie ma szans — zauważył Carver. — To cud, że żyje tak długo. Sam szok, nie wspominając już o głębokich i rozległych obrażeniach...

— Zobaczy pan.

Wioska przebudziła się nagle. Kobiety i mężczyźni, szaroskórzy, o guzowatych głowach,

obserwowali w milczeniu myśliwych maszerujących do chaty szamana. Zamiatacz przerwał pracę, by popatrzeć. Jedyne dziecko w wiosce stało przed szałasem rodziców i z kciukiem w ustach gapiło się na procesję. Deg, szaman, wyszedł naprzeciw myśliwym, ubrany już w maskę ceremonialną. Tancerze—uzdrowiciele zebrali się, szybko nakładając farby na twarze.

— Czy sądzisz, że zdołasz go naprawić, doktorku? — spytał Fred.

— Można mieć nadzieję — odrzekł pobożnie Deg.

Weszli do źle oświetlonego szałasu szamana. Zraniony Lorayanin został troskliwie ułożony na barłogu z traw i tancerze zaczęli przed nim swój występ. Deg zaintonował uroczystą pieśń.

— To się nigdy nie uda — oznajmił Fredowi profesor Carver, z miną człowieka obserwującego z zainteresowaniem pracę pogłębiarki. — Zbyt późno na leczenie wiarą. Posłuchaj jego oddechu. Płytszy, nie wydaje ci się?

— Z całą pewnością.

Deg skończył swą pieśń i nachylił się nad rannym myśliwym. Lorayanin oddychał z ogromnym trudem. Coraz wolniej, coraz bardziej nieregularnie...

— Czas nadszedł! — krzyknął szaman. Wyjął z sakwy małą drewnianą rurkę, odkorkował ją i przystawił do ust umierającego. Myśliwy pił.

Po chwili myśliwy zaczął mocniej oddychać. Carver zamrugał, a Fred uśmiechnął się z triumfem. Wielkie rozcięcie zaskorupiło się, potem zabiłiżniło, wreszcie stało się prawie niewidzialną białą linią.

Myśliwy usiadł, podrapał się w głowę, głupio uśmiechnął i poprosił o coś do picia, najlepiej wódki.

Deg ogłosił natychmiast rozpoczęcie obchodów.

Carver i Fred odeszli na skraj dżungli, by odbyć naradę. Profesor kroczył jak lunatyk. Wysunął naprzód zwisającą dolną wargę i od czasu do czasu potrząsał głową.

— No i co? — spytał Fred.

— To nieprawdopodobne — rzekł oszołomiony Carver. — Żadna substancja w przyrodzie nie ma prawa tak działać. I ty widziałeś to samo również zeszłej nocy?

— A jakże — potwierdził Fred. — Przynieśli tamtego myśliwego — miał odłupane pół głowy. Przełknął trochę tego cholerstwa i wyzdrowiał na moich oczach.

— Odwieczne marzenie człowieka — zamyślił się Carver. — Panaceum.

— Moglibyśmy sprzedać taką rzecz za każdą cenę — powiedział Fred.

— Owszem. Jednocześnie spełnilibyśmy nasz obowiązek wobec nauki — przypomniał mu surowo profesor Carver. — Tak, Fred, myślę, że powinniśmy zdobyć nieco tej substancji.

Zawrócili i pewnym krokiem pomaszerowali ku wiosce. Nadal występowali tam tancerze, przedstawiciele rozmaitych kultów zwierzęcych. Właśnie popisywali się Sathgohani, czciciele jeleniopodobnego zwierzęcia średniej wielkości. Można ich było rozpoznać po trzech czerwonych kropkach na czole. Na swoją kolejkę czekali Dresfeyxi i Taganyowie, czciciele innych zwierząt leśnych. Zwierzęta podlegające kultowi stawały się tabu i obowiązywał ścisły zakaz ich zabijania. Carver nie potrafił racjonalnie wyjaśnić tych zasad. Lorayanie odmawiali rozmowy na ten temat.

Szaman Deg zdjął maskę obrzędową. Siedział przed swą chatą, obserwując tańce. Wstał, gdy podeszli Ziemianie.

— Pokój z wami — powitał ich.

— Jasne — odrzekł Fred. — Nielichą robótkę odwaliłeś dziś rano.

Deg uśmiechnął się skromnie.

— Bogowie raczyli łaskawie wysłuchać naszych modłów.

— Bogowie? — spytał Carver. — Chyba głównie zadziałało tu serum.

— Serum? Ach, sok sersi! — Deg wykonał rytualny gest wypowiadając tę nazwę. — Tak, sok sersi jest matką ludu lorayańskiego.

— Chcielibyśmy kupić tego trochę — rzekł Fred bez ogródek, ignorując wyraz dezaprobaty na twarzy Carvera. — Co byście wzięli za pięć litrów?

— Przykro mi — odpowiedział Deg.

— Może trochę paciorków? Lusterek? A może parę stalowych noży?

— To niemożliwe — zapewnił szaman — Sok sersi jest święty. Można go używać tylko do świętego uzdrawiania.

— Nie wciskaj mi kitu — rzekł Fred, a na jego żółtawe policzki wypłynął rumieniec. — Wyszukajcie, że uda się wam...

— W pełni to rozumiemy — przerwał mu gładko Carver. — Wiemy o świętych rzeczach. Rzeczy święte są święte. Nie powinny być profanowane przez niepowołane ręce.

— Czy pan zwariował? — szepnął Fred po angielsku.

— Jest pan mądrym człowiekiem — powiedział poważnie Deg. — Rozumie pan, dlaczego muszę wam odmówić.

— Oczywiście. Ale tak się składa, Deg, że w moim kraju jestem szamanem.

— Ach! Nie wiedziałem o tym!

— Tak właśnie jest. W gruncie rzeczy, w mej szczególnej dziedzinie jestem szamanem najwyższym.

— Więc musi być pan bardzo świętym człowiekiem — rzekł Deg, skłaniając głowę.

— Człowieku, on dopiero jest święty! — wtrącił z emfazą Fred. — Tak świętego człowieka nigdy nie zobaczysz w tych stronach.

— Proszę cię, Fred — rzekł Carver, mrugając skromnie. — To prawda — zwrócił się do szamana — chociaż nie lubię o tym słuchać. Rozumiesz, że w tych okolicznościach nie byłoby niewłaściwe, gdybyś dał mi nieco soku sersi. Wprost przeciwnie, danie mi go to twój kapłański obowiązek.

Szaman rozmyślał nad tym przez dłuższy czas, a sprzeczne uczucia ledwie dostrzegalnie przemykały po jego pozbawionej wyrazu twarzy.

— To możliwe — rzekł w końcu. — Niestety, nie mogę spełnić waszej prośby.

— Dlaczego?

— Ponieważ mamy tak mało soku sersi, tak strasznie mało. Ledwie starczy dla wioski.

Deg uśmiechnął się smutno i odszedł.

Życie w wiosce toczyło się swym zwykłym, niezmiennym trybem. Zamiatacz chodził powoli, machając miotłą. Myśliwi wędrowali, tropiąc bdery. Wioskowe kobiety przygotowywały jedzenie i opiekowały się jedynym dzieckiem w wiosce. Kapłani i tancerze modlili się co noc do słońca, by wzeszło rankiem. Wszyscy byli zadowoleni na swój pokorny, uległy sposób.

Wszyscy prócz Ziemi.

Rozmawiali jeszcze kilkakrotnie z Degiem i powoli poznali całą historię o soku sersi i związanych z nim kłopotach.

Krzak sersi był mały i chorowity. W stanie dzikim nie czuł się dobrze, jednak opierał się udomowieniu i nie znosił przesadzania. Najlepsze, co można było zrobić, to dokładnie usuwać wokół niego chwasty i mieć nadzieję, że w końcu zakwitnie. Mimo tych zabiegów większość krzaków sersi walczyło przez rok czy dwa, a potem oddawało ducha. Niewiele z nich zakwitało, a jeszcze mniej dożywało wieku, w którym wytwarzały charakterystyczne, czerwone jagody.

Z jagód sersi wyciskano eliksir, dla ludu Loray oznaczający życie.

— I musicie wziąć pod uwagę — podkreślał Deg — że krzaki sersi rosną bardzo rzadko. Czasami szukamy przez całe miesiące, nim znajdziemy pojedynczy krzak z jagodami. A te jagody mogą

uratować życie tylko jednego, a najwyżej dwóch Lorayan.

— To smutne, bardzo smutne — zgodził się Carver. — Ale z pewnością intensywne nawożenie...

— Wszystkiego już próbowano.

— Rozumiem — rzekł poważnie Carver — jak ważny jest dla was sok sersi. Ale dajcie nam trochę — choćby pół litra czy litr. Zabralibyśmy go na Ziemię, dali do analizy, zsyntetyzowali. Wtedy moglibyście mieć go tyle, ile wam potrzeba.

— Nic poważamy się dać ani kropli. Czy zauważyliście, jak mało mamy dzieci?

Carver skinął głową.

— Urodzeń jest bardzo mało. Nasza egzystencja to ciągła walka z groźbą unicestwienia naszej rasy. Dopóki nie pojawi się nowe dziecko, musimy podtrzymywać życie każdej jednostki. A to z kolei możemy osiągnąć jedynie przez ciągłe poszukiwanie jagód sersi. Nigdy nie ma ich dość. — Szaman westchnął. — Nigdy nie ma dość.

— Czy sok leczy naprawdę wszystko? — spytał Fred.

— Nawet więcej. Ci, którzy spróbują sersi, przedłużają swe życie o pięćdziesiąt naszych lat.

Carver otworzył szeroko oczy. Pięćdziesiąt lat lorayańskich równało się mniej więcej sześćdziesięciu trzem ziemskim.

Sersi — to coś więcej niż lekarstwo. To również eliksir długowieczności.

Przez chwilę rozmyślał nad perspektywą przedłużenia swego życia o dodatkowe lata. Potem zapytał:

— Co się dzieje, kiedy jakaś osoba ponownie zażyje sersi po następnych pięćdziesięciu latach?

— Nie wiemy — odpowiedział Deg. — Nikt nie zażyłby tego po raz drugi, skoro nie starcza na bieżące potrzeby.

Carver i Fred spojrzeli po sobie.

— Posłuchaj mnie uważnie, Deg — rzekł profesor Carver.

Mówił o świętym obowiązku nauki. Nauka, mówił do szamana, jest ponad rasami, ponad wiarą, ponad religiami. Postęp nauki był ważniejszy niż samo życie. Jakież znaczenie miało to, że umrze dodatkowo paru Lorayan? I tak w końcu by umarli. Najważniejsze, by ziemską naukę otrzymała próbka sersi.

— Niewykluczone, że jest tak, jak mówisz — rzekł Deg. — Ale mój wybór jest jasny. Ja, kapłan religii Sunniheriat, mam święty obowiązek zachowania życia moich ludzi. Nie mogę sprzeniewierzyć

się temu obowiązкови.

Odwrócił się i odszedł. Rozczarowani Ziemianie wrócili do swego statku.

Po wypiciu kawy profesor Carver otworzył szufladę i wyjął manuskrypt *Podstawowych przyczyn wrodzonej niższości ludów nieziemskich*. Rozkoszując się tekstem przeczytał ostatni rozdział poświęcony niedostatkom charakteryzującym Lorayan. Potem odłożył rękopis.

— Prawie skończyłem, Fred — poinformował asystenta. — Jeszcze tydzień pracy, góra dwa!

— Uhm — rzekł Fred, patrząc na wioskę przez iluminator.

— To zakończy sprawę — stwierdził Carver. — Ta książka udowodni, raz i na zawsze, naturalną wyższość Ziemian. Udowodniliśmy to siłą naszej broni i udowodniliśmy to naszą techniką. Teraz dostarczamy dowodu z pomocą obiektywnej logiki.

Fred kiwnął głową. Wiedział, że profesor cytuje wstęp swej książki.

— Nic nie może przeszkadzać w tej wielkiej pracy — rzekł Carver. — Zgadzasz się z tym, prawda?

— Jasne — odparł Fred z roztargnieniem. — Książka przede wszystkim. Trzeba ustawić te szuwaksy na swoim miejscu.

— Cóż, niezupełnie to miałem na myśli. Ale wiesz, o co mi chodzi. W tych okolicznościach może powinniśmy zapomnieć o sersi. Może powinniśmy zakończyć zaczęłą pracę.

Fred obrócił się ku swemu pracodawcy.

— Profesorze, ile spodziewa się pan zarobić na tej książce?

— No cóż, ostatnia, jak pamiętasz, rozeszła się całkiem nieźle. Ta powinna mieć jeszcze większe powodzenie. Dziesięć, może dwadzieścia tysięcy dolarów! — Pozwolił sobie na uśmiezek. — Widzisz, mam szczęście: mieszkańcy Ziemi są dość zainteresowani moją dziedziną, co jest dla uczzonego satysfakcjonujące.

— Przypuśćmy, że zarobi pan nawet pięćdziesiąt tysięcy. To pestka! Czy wie pan, ile moglibyśmy zarobić na próbówce z sersi?

— Sto tysięcy? — rzekł Carter niepewnie.

— Pan żartuje? Przypuśćmy, że bogaty facet jest umierający i tylko my mamy środek, który może go uleczyć. Da wszystko, co posiada! Miliony!

— Chyba masz rację — zgodził się Carver.

— I to rzeczywiście byłoby wartościowe osiągnięcie naukowe... Ale niestety szaman nam tego nie

odda.

— Kupowanie nie jest jedynym sposobem. Fred wyjął rewolwer z kabury i sprawdził komorę.

— Rozumiem, rozumiem — rzekł Carver, lekko blednąc. — Ale czy mamy prawo?

— A jak pan myśli?

— Cóż, oni naprawdę są niżsi. Chyba to ostatecznie udowodniłem. Można rzeczywiście stwierdzić, że ich życie nie wpływa bardzo | na porządek rzeczy. Hmm, tak... tak, moglibyśmy tym ocalać życie Ziemiom!

— Moglibyśmy ocalić swe własne życie — odparł Fred. — Kto chciałby przedwcześnie zrezygnować?

Carver wstał i zdecydowanym ruchem odpiął kaburę.

— Pamiętaj — powiedział Fredowi — robimy to dla nauki i dla Ziemi.

— To się rozumie samo przez się, profesorze — odrzekł Fred, ruszając z uśmiechem do luku.

Znaleźli Dega obok jego szałas.

— Musimy dostać trochę sersi — zaczął Carver bez ogródek.

— Przecież już wam to wyjaśniałem — odparł szaman. — Mówiłem wam, dlaczego jest to niemożliwe.

— Musimy to mieć — rzekł Fred.

Wyciągnął rewolwer z kabury i popatrzył wściekle na Dega.

— Nie.

— Czy myślisz, że żartuję? — spytał Fred. — Czy wiesz, co można zrobić tą bronią?

— Widziałem, jak jej używałeś.

— Może wydaje ci się, że nie użyję jej w stosunku do ciebie?

— To nie ma dla mnie znaczenia. Nie dostaniecie sersi.

— Będę strzelał — ostrzegł go Fred gniewnie podniesionym głosem. — Przysięgam ci, że strzelę.

Wieśniacy z Loray, szaroskórzy, z guzami na głowie, powoli i cicho gromadzili się za swoim szamanem. Myśliwi nieśli dzidy, inni uzbroili się w noże i kamienie.

— Nie możesz dostać sersi — oświadczył Deg.

Fred z wolna podniósł rewolwer.

— Posłuchaj, Fred — rzekł Carver. — Jest ich tu mnóstwo. Czy naprawdę myślisz...

Chude ciało Freda sprężyło się, a palec na cynglu zbiełał. Carver zamknął oczy.

Nastąpiła chwila martwej ciszy. Potem rewolwer wystrzelił. Carver ostrożnie otworzył oczy.

Szaman stał wciąż wyprostowany, chociaż nogi mu się trzęsły. Fred odciągał zamek rewolweru. Wieśniacy nie wydawali żadnych dźwięków. Upłynęła chwila, zanim Carver zorientował się, co zaszło. I w końcu zobaczył Zamiatacza.

Zamiatacz leżał twarzą do dołu. W wyciągniętej lewej dłoni wciąż trzymał miotłę. Nogi drżały mu lekko. Krew ciekła z czoła, z dziury wywierconej precyzyjnie przez Freda.

Deg schylił się nad Zamiataczem, a potem wyprostował się.

— Nie żyje — stwierdził szaman.

— To tylko pierwszy — ostrzegł Fred, celując w jednego z myśliwych.

— Nie! — krzyknął Deg.

Fred popatrzył na niego, unosząc brwi.

— Dam ci to — powiedział Deg. — Dam wam cały sok sersi. Potem musicie odejść.

Wbiegł do chaty szamana. Po chwili pojawił się znowu z trzema drewnianymi rurkami, które wcisnął w ręce Freda.

— Dobra nasza, profesorze — rzekł Fred. — Wynośmy się stąd.

Pomaszerowali obok milczących wieśniaków do statku.

Coś błysnęło w słońcu. Fred wrzasnął i upuścił rewolwer. Profesor Carver podniósł go pośpiesznie.

— Jeden z tych czarnuchów dziabnął mnie nożem — krzyknął Fred. — Niech pan mi da rewolwer!

Dzida wleciała wysokim łukiem i zaryła się w ziemię u ich stóp.

— Jest ich za dużo. Uciekajmy — ponaglił Carver.

Pomknęli do swego statku. Wokół nich świstały dzidy i noże. Udało się dotrzeć bezpiecznie i zaryglować luk.

— Mało brakowało — rzekł Carver, opierając się o zamknięte drzwi i z trudem łapiąc oddech. — Masz serum?

— Mam je — odparł Fred, pocierając ramię.

— Cholera!

— Co jest?

— Moja ręka. Cała zdrętwiała.

Carver zbadał ranę, ściągnął w zamyśleniu usta, ale nic nie powiedział.

— Zdrętwiała — powtórzył Fred. — Ciekaw jestem, czy zatruwają te dzidy.

— To całkiem możliwe — przyznał Carver.

— Zatruwają! — krzyknął Fred. — Niech pan spojrzy, skaleczenie już zmienia kolor!

Brzeg rany nabierał czarnego koloru zakażenia.

— Sulfamidy i penicylina — rzekł Carver.

— Nie martwiłbym się tym tak bardzo. Nowoczesne ziemskie leki...

— Mogą wcale nie skutkować. Niech pan otworzy jedną z tych rurek!

— Ależ, Fred — sprzeciwił się Carver — Mamy tego tak mało.

— Do diabła z tym — warknął Fred. Wziął jedną z rurek i odetkał ją zębami.

— Poczekaj, Fred!

— Nie będę czekał!

Wypił zawartość, a rurkę cisnął na podłogę.

— Chciałem jedynie przypomnieć — rzekł Carver z irytacją — że serum powinno być zbadane, zanim użyje go Ziemianin. Nie wiemy, jak działa ono na ludzi. Dla twego własnego dobra.

— Z pewnością zostało zbadane — powiedział kpiąco Fred. — Niech pan popatrzy tylko, jak to reaguje.

Szczerniała rana znów przybrała kolor ciała i zamykała się. Wkrótce zastąpiła ją linia białego strupa. Potem nawet ona znikła, zostawiając pod spodem różową skórę.

— Całkiem nieźle, co? — triumfował Fred z lekką histerią w głosie. — To działa, profesorze, działa! Wypij też jedną, chłopie, będziesz żył dodatkowo sześćdziesiąt lat. Czy pan sądzi, że potrafimy to zsyntetyzować? To jest warte milion, dziesięć milionów, bilion. A jeśli się nie uda, zawsze istnieje stare, dobre Loray. Możemy tu wpadać co pięćdziesiąt lat po następny zapas. Ta rzecz nawet nieźle smakuje, profesorze. Smakuje jak... Co jest?

Profesor Carver wybałuszył na Freda zdziwione oczy.

— O co chodzi? — spytał Fred z uśmiechem. — Czy przekrzywił mi się krawat? Na co pan się tak gapi?

Carver nie odpowiedział. Usta mu drżały. Powoli się cofał.

— Co, u diabła, nie gra?

Fred patrzył gniewnie na Carvera. Potem pobiegł do toalety i spojrział w lustro.

— Co się ze mną dzieje?

Carver próbował coś powiedzieć, ale miał ściśnięte gardło. Patrzył, jak rysy Freda powoli zmieniają się, wygładzają, jak z jego twarzy znika wszelki wyraz, tak jak gdyby przyroda nakreśliła na niej wstępny szkic stworzenia inteligentnego. Na głowie Freda pojawiły się dziwne guzy. Jego cera zwolna zmieniała się z różowej na szarą.

— Mówiłem ci, byś zaczekał — westchnął Carver.

— Co się dzieje? — Głos Freda brzmiał jak przestraszone skomlenie.

— Cóż — rzekł Carver — to jakiś składnik tego sersi. U Lorayan nie ma prawie przyrostu naturalnego. Nawet dysponując tym leczniczym sersi rasa powinna była już dawno wymrzeć. Gdyby serum nie służyło również innemu celowi: zmienianiu niższych form zwierzęcych w formę Lorayan.

— To bezpodstawne przypuszczenie!

— To robocza hipoteza oparta na oświadczeniu Dega, że sersi jest matką ludu Lorai. Obawiam się, że takie właśnie jest prawdziwe znaczenie kultu zwierząt i przyczyna, dla której zwierzęta te są tabu. Pewne grupy lud lorayańskiego, a może cały ten lud pochodzą od rozmaitych stworzeń. Nawet ten temat jest tabu. Z całą pewnością tkwi tu zakorzenione poczucie niższości, spowodowane tym, że ta niedawno wzniesli się ponad świat zwierzęcy Carver ze znużeniem potarł czoło.

— Możemy zaryzykować stwierdzenie — ciągnął swój wywód — że sok sersi ma kluczowe znaczenie dla kontynuacji rasy. Moglibyśmy teoretyzować...

— Do diabła z teorią — rzekł Fred i przeraził się, słysząc jak grubo i gardłowo brzmi jego głos, zupełnie jak głos Lorayanina. — Profesorze, niech pan coś zrobi!

— Nie mogę nic zrobić.

— Może ziemską naukę...

— Nic, Fred — stwierdził spokojnie Carver.

— Co takiego?!

— Fred, proszę cię, zrozum. Nie mogę cię zawieźć z powrotem na Ziemię.

— Co masz na myśli? Musiałeś zwariować!

— Wcale nie. Gdybym sprowadził cię na Ziemię, musiałbym dołączyć cały ten fantastyczny komentarz. Wszyscy uważaliby tę historię za gigantyczne oszustwo.

— Ale...

— Posłuchaj mnie. Nikt by nie uwierzył! Raczej uważaliby, że jesteś niezwykle inteligentnym Lorayaninem. Sama twoja obecność, Fred, obaliłaby główną tezę mojej książki!

— Nie możesz mnie zostawić — rzekł Fred. — Po prostu nie możesz.

Profesor Carver wciąż trzymał oba rewolwery. Jeden zatknął za pas, wycelował drugi.

— Nie mam zamiaru ryzykować dzieła mego życia.. Wychodź, Fred.

— Nie!

— Mówię poważnie. Wychodź!

— Nie wyjdę, będziesz musiał mnie zastrzelić!

— Zrobię to, jeśli będę musiał — zapewnił go Carver. — Zastrzelę cię i wyrzucę.

Wymierzył. Fred cofnął się do luku, odryglował go. Wieśniacy spokojnie czekali na zewnątrz.

— Co oni ze mną zrobią?

— Naprawdę mi przykro, Fred — rzekł Carver.

— Nie pójdę tam! — zapiszczał chłopak, chwytając obiema dłońmi brzeg luku.

Carver popchnął go w oczekujące ręce tłumu i wyrzucił za nim pozostałe rurki sersi.

Potem szybko, nie chcąc widzieć, co się stanie, zaryglował luk. Po godzinie opuszczał już atmosferę planety.

Na Ziemi jego książka *Podstawowe przyczyny wrodzonej niższości ludów nieziemskich* została uznana za kamień milowy antropologii porównawczej. Ale niemal natychmiast napotkał trudności.

Kapitan statków kosmicznych, niejaki Jones, powrócił na Ziemię i utrzymywał, że na planecie Loray odkrył tubylca, który był pod wieloma istotnymi względami równy Ziemianom. Jones miał ze sobą nagrania i film dowodzące tej tezy.

To podważyło na pewien czas twierdzenie Carvera, dopóki sam Carver nie przejrzał tych rzekomych dowodów. Następnie wskazał z nieubłaganą logiką, że ten tak zwany Super lorayanin, ten

wzorzec Lorayanina, ten rzekomo równy Ziemianom tubylec zajmuje najniższą z możliwych pozycji w lorayańskiej hierarchii, pozycję Zamiatacza, o czym świadczy szerokie czarne pasmo namalowane na jego twarzy.

Kapitan przyznał, że to racja.

Więc dlaczego, grzmiał Carver, nic zdołał ten Nadlorayanin, mimo swych tak zwanych zdolności, osiągnąć jakiegoś wyższego statusu w nędznym społeczeństwie, którego był członkiem?

Pytanie to uciszyło kapitana i jego popleczników; co więcej, zniszczyło cały krytyczny nurt i carveriańska doktryna o naturalnej niższości nieziemców została przyjęta przez każdego rozsądnego Ziemianina w Galaktyce.

Specjalna ekspozycja

Muzeum jest dziś rano wyjątkowo puste, myślał pan Grant, prowadząc panią Grant przez wyłożony marmurem westybul. W tej sytuacji — to sprzyjająca okoliczność.

— Dzień dobry panu — rzekł rumiany dozorca muzeum.

— Dzień dobry, Simons — odpowiedział pan Grant. — To jest pani Grant.

Nadaśana pani Grant skinęła głową i oparła się o wojenne canoe Indian z Ameryki Środkowej. Jej ramiona znajdowały się na jednym poziomie z ramionami wioślarza z *papier-mâché*. Były jednak o wiele szersze. Pan Grant patrzył na te dwie postacie i zastanawiał się, czy Specjalna Ekspozycja odniesie skutek. Czy może podziałać na kobietę tak dużą, tak silną, tak zdecydowanie hołdującą określonym zwyczajom?

Miał taką nadzieję. Niepowodzenie byłoby śmieszne.

— Witamy w naszym muzeum — powiedział dozorca. — Panią, zdaje się, gościmy po raz pierwszy?

— Nie byłam tu od dzieciństwa — odrzekła pani Grant, tłumiąc dłonią ziewnięcie.

— Pani Grant nie jest specjalnie zainteresowana zmagazynowaną przeszłością — wyjaśnił pan Grant, opierając się na laseczce. — Moja praca z ornitologii nie robi na niej wcale wrażenia. Zgodziła się jednak towarzyszyć mi w zwiedzaniu Specjalnej Ekspozycji.

— Specjalnej Ekspozycji, proszę pana? — spytał dozorca. Zajrzał do notesu. — Chyba nie...

— Oto moje zaproszenie — rzekł pan Grant.

— Tak, proszę pana. — Dozorca uważnie obejrzał kartę, a potem ją oddał. — Mam nadzieję, że będzie się panu podobało. Specjalnej Ekspozycji nie pokazuje się często. Ostatnio oglądał ją doktor Carver z żoną.

— Wiem o tym — rzekł pan Grant.

Znał dobrze łagodnego, łysiejącego Carvera. A chuda, swarliwa, ruda żona Carvera to dobra przyjaciółka pani Grant. Ekspozycja musiała odnieść skutek, gdyż ostatnio w pracy Carver był bardziej radosny. Specjalna Ekspozycja z pewnością znacznie skuteczniej rozwiązywała problemy niż poradnictwo małżeńskie, psychiatria, psychoanaliza czy choćby nawet zwykła wyrozumiałość.

Pomysł i realizacja należały wyłącznie do Muzeum. Muzeum chciało, by jego pracownicy byli szczęśliwi i zadowoleni, ponieważ jedynie wtedy mogli należycie służyć wiedzy. Ponadto Specjalna Ekspozycja pełniła funkcje edukacyjne i wypełniała wyraźną lukę w programie Muzeum.

Szeroka publiczność nie została o niej poinformowana, gdyż szeroka publiczność wykazuje zbyt konserwatywny w obliczu naukowej konieczności. Ale tak właśnie powinno być, powiedział sobie pan Grant.

Stróż wyłowił z kieszeni klucz.

— Niech pan mi go na pewno zwróci, proszę pana — rzekł.

Grant skinął głową i poprowadził panią Grant holem, obok gablot zamieszkałych przez tygrysy syberyjskie i pandy olbrzymie. Bawół wodny łypał na nich szklanym okiem, a rodzina jeleni pasła się nieustannie w wiecznym spokoju.

— Ile czasu to zajmie? — spytała pani Grant.

— Niewiele — rzekł pan Grant wspomniawszy, że Specjalna Ekspozycja była znana ze swej szybkości.

— Oczekuję pewnych przesyłek — rzekła pani Grant — I mam kilka ważnych spraw do załatwienia.

Przechodząc obok muntjaka i jeleni plamistych pan Grant pozwolił sobie na chwilę zastanowienia, jakie to mogą być ważne sprawy. Zainteresowania pani Grant zdawały się ograniczać do telewizji we dnie i filmów w nocy.

Jeśli zaś chodzi o przesyłki — była to prawda.

Pan Grant westchnął. Stanowili tak źle dobraną parę. Pomyśleć, że on, niewysoki, subtelny facet — wielki intelekt dobrowolnie poślubił tę posagową kobietę o ciasnej umysłowości. Zdarzało się to jednak również innym — na przykład doktorowi Carverowi.

Pan Grant uśmiechnął się blado na myśl o tym, jak fałszywa jest ta cała romantyczna teoria o przyciągających się przeciwieństwach. Czy praca ornitologa nic go nie nauczyła? Czyż czyżyk kopuluje z kondorem? Jeden szaleńczy kaprys! O ileż lepiej, myślał, gdyby wstąpił do Legii Cudzoziemskiej albo prowadził burzliwe życie, trwoniąc dziedzictwo, albo zajął się wudu. O takich przedsięwzięciach można z czasem zapomnieć. Ale o małżeństwie? Nigdy. Nie z osobą tak lubiącą wygodę jak pani Grant.

Jeśli oczywiście Specjalna Ekspozycja nie...

— Tędy — rzekł cicho pan Grant.

Wprowadził żonę do korytarza, którego wejście ukryte było za gablotami.

— Gdzie jest ta ekspozycja? Muszę być w domu i czekać na przesyłki.

— Tuż zaraz — odpowiedział pan Grant, otwierając drzwi z napisem „Wstęp wzbroniony”. Zastanawiał się nad tymi przesyłkami. Wydawało się, że jest ich całe mnóstwo. A doręczyciel

pozostawiał w popielniczkach podły gatunek cygar.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł pan Grant. Otworzył zamknięte na klucz żelazne drzwi. Weszli do ogromnego pomieszczenia. Wystrój symulował polanę w dżungli. Na wprost drzwi stał pokryty strzechą szałas. Z tyłu znajdował się mniejszy szałas na wpół zasłonięty.

Paru dzikusów rozłożyło się na porośniętej pnączami ziemi, gwarząc ze sobą.

— Oni są żywi! — wykrzyknęła pani Grant.

— Oczywiście. To jest eksperyment z antropologii opisowej.

Na stronie siedziała stara, pomarszczona kobieta i dorzucała drewna do ognia trzeszczącego pod wielkim kotłem. W kotle coś bulgotało.

Wojownicy wstali, kiedy zobaczyli Grantów. Jeden z nich ziewnął i przeciągnął się. Mięśnie mu zatrzeszczały.

— Wspaniałe typy — szepnęła pani Grant.

— Tak — przyznał pan Grant. Wiedział, że ona to zauważy.

Na ziemi, przed pierwszym z szałasów, leżały ozdobne drewniane miecze, długie, wysmukłe łuki, ostre trzcinowe noże. Pomieszczenie wypełniał ciągły świergot w tle, zagłuszany gorączkowym gdakaniem. Odezwał się jakiś ptak. Coś odpowiedziało mu z zarośli. Pani Grant zapytała:

— Czy możemy już iść — och!

Jeden z tubylców, dziki i dziwny ze swymi długimi, grubymi czarnymi włosami i wymalowaną twarzą, stanął przy niej. Patrząc na tę grupę, pan Grant myślał, jak dzika w gruncie rzeczy jest pani Grant ze swym ostrym makijażem, futrem z lisów i pobrząkującymi ozdobami.

— Czego oni chcą? — spytała pani Grant, łypiąc na półnagich mężczyzn ze szczególnym wyrazem twarzy. Nie był to w każdym razie strach.

— Chcą, byś zwiedziła wioskę — wyjaśnił pan Grant. — To część wystawy.

Pani Grant zauważyła, że pierwszy tubylec patrzy na nią wzrokiem pełnym uwielbienia, i pozwoliła, by ją poprowadzono naprzód.

Pokazano jej kocioł do gotowania, broń, dekoracje pierwszej chaty. Potem tubylcy poprowadzili ją do drugiego szałas, a jeden z nich mrugnął i zaprosił ją do środka.

— To pouczające — rzekła, mrugając w odpowiedzi, i weszła za nim. Dwaj inni tubylcy weszli również. Jeden z nich zabrał maczetę.

— Nie powiedziałeś mi, że to mają być łowcy głów! — Głos pani Grant dobiegał słabo z szałas.

— Czy widziałeś te wszystkie zmniejszone głowy?

Pan Grant kiwnął sobie potakująco. Zdumiewające, jak trudno było dostać takie głowy. Władze południowoamerykańskie zaczęły wprowadzać ograniczenia na ich eksport. Specjalna Ekspozycja była najprawdopodobniej jedynym istniejącym jeszcze źródłem tej unikatowej sztuki ludowej.

— Jedna jest rudowłosa. Wygląda jak pani...

Nastąpił wrzask, a potem odgłosy wściekłej szamotaniny. Pan Grant wstrzymał oddech. Na wszelki wypadek było ich trzech, ale pani Grant to bardzo silna kobieta. Z pewnością nie zdołałaby...

Jeden z tubylców wyszedł tańcząc z szałas, a jędza przy ogniu wybrała kilka złowieszczych przyrządów i weszła do środka. To co znajdowało się w kotle, bulgotało radośnie dalej.

Pan Grant westchnął z ulgą i uznał, że zobaczył już dosyć. Mimo wszystko antropologia nie była jego dziedziną. Zamknął za sobą żelazne drzwi na klucz i skierował się ku działowi ornitologii. Doszedł do wniosku, że przesyłki pani Grant nie są aż tak ważne i nie wymagają jego obecności.